

- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI 4 W górę i naprzód
- WILLIAM SHAKESPEARE 5 Tymon z Aten w nowym przekładzie
Antoniego Libery
- JORGE GUILLÉN 16 *** *(Co za jasność! Ćwierkanie...)*
17 *** *(Być, tylko tyle. Basta...)*
w przekładzie Krystyny Rodowskiej
- OSIEMDZIESIĄTA PIĄTA ROCZNICA URODZIN KRYSZTOF RODOWSKIEJ
z KRYSZTOFĄ RODOWSKĄ 19 „Duch przebrał miarę”? Skazani na
rozmawia cudzojęzyczność
- MAREK KĘDZIERSKI 34 *** *(chciałbym, żeby moja miłość umarła...)*
SAMUEL BECKETT 34 *** *(przychodzą...)*
35 *** *(co zrobiłbym bez tego świata bez twarzy bez
pytań...)* • *** *(i tak na próżno...)*
36 *** *(niech żyje umarły mój jedyny sezon...)*
*** *(tak tak jest taki kraj...)*
37 Mucha • *** *(muzyka obojętności...)* • *** *(pij
sam...)* w przekładzie Krystyny Rodowskiej
- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI 39 Thorn
- SETNA ROCZNICA URODZIN ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO
- ARTUR MIĘDZYRZECKI 61 Wylicznika • To samo
62 Czarne łąki
- RYSZARD KRYNICKI 63 Kryptonim „Renegat” (dokumenty z teczki)
- CHARLES BUKOWSKI 76 Radio z jajami
77 Wiertarka
78 Nic nie jest tak efektywne jak kłęska
79 Jajko
w przekładzie Andrzeja Szuby
- DANA GIOIA 81 Wzgórza Kalifornii w sierpniu
82 Nic nie ginie
83 Droga • Strzeż się rzeczy podwójnych
84 Przesłuchanie w południe
w przekładzie Krystyny Lenkowskiej
- ARTUR PRZYBYŚLAWSKI 85 Krytyka Proustowskiego umysłu, czyli
Towarzystwo Becketta

ANDRZEJ SZUBA	97	Postscripta
BOGUSŁAW KIERC	101	Bóg z tobą
	102	Nawias • Życzenia
	103	Amen
	104	Pan • Laboga
BOGUSŁAW KIERC	105	Niechętny Dantemu
LESZEK SZARUGA	111	Ważki
	112	Ogród
	113	Pustosłowie
KAZIMIERZ NOWOSIELSKI	114	Osika • Minął czas
	115	Powroty • O podróżowaniu
	116	W drodze
KAZIMIERZ NOWOSIELSKI	117	Dedykacje
GRZEGORZ WRÓBLEWSKI	124	Obrzęd pokłonu • Odcinki
	125	Umiarkowany optymizm
	126	Sirsasana • %
PIOTR PIASZCZYŃSKI	127	Zew • E-maile
	128	66
BOGDAN TOSZA	129	Powrót Fedry
	130	Na wystawie Hammershoia
VARIA		
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	133	Widnoksiąg (9)
STEFAN CHWIN	141	Dziennik 2022 (4)
MAREK KĘDZIERSKI	150	Marginalia (2)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	154	Komora (4)
LESZEK SZARUGA	158	Świat, w którym żyłem (7)
PIOTR SZEWC	165	Z powodu i bez powodu (68)
ARTUR SZLOSAREK	166	Notatki do zapomnianych podróży (13)
RECENZJE		
LESZEK SZARUGA	176	Nienazywanie
ADRIANA SZYMAŃSKA	182	Znaki szczególne istnienia
KATARZYNA BIENKOWSKA	184	Wielokrotne życie poety
MACIEJ WRÓBLEWSKI	186	Fantomy miewają ciężar
PIOTR SOBOLCZYK	190	Ponowienie natreszczenia
MARTA TOMCZOK	195	Fachowiec
ALEKSANDER FIUT	197	Wypowiedzieć niewypowiadalne
NOTY O AUTORACH	203	
NOWE KSIĄŻKI	208	



W górę i naprzód

„Kwartalnik Artystyczny” na kolejnej granicy i my w nim ruszamy w czwarte dziesięciolecie. Tyle tygodni, miesięcy, lat, sto szesnaście numerów, pięć dodatków, dwadzieścia jeden tomów Biblioteki, setki autorów, tysiące utworów i tekstów.

Na przełomie wieków i tysiącleci, w wirach artystycznych i politycznych zmian, w wichrach, burzach, huraganach i na spokojnych przestrzeniach. Wpatrzeni w znaki, wierni przeszłości, zajęci teraźniejszością, z nadziejami na przyszłość, przygotowani na najgorsze i najlepsze.

Wiedząc, jakie zadania miały pisma literackie w dwudziestolecu międzywojennym i pamiętając, ile w Peerelu znaczyły „Twórczość” Iwaszkiewicza, „Dialog” Puzyny, „Tygodnik Powszechny” Turowicza, „Kultura” Giedroycia, częściowo „Literatura na Świecie” i „Literatura”.

W przyjaznym zgromadzeniu, z otwierającymi się perspektywami, wśród zagrożeń, katastrof wiszących na włosku, widzeń i łaski.

Początek w 1993 roku w Teatrze Polskim na Mickiewicza w Bydgoszczy, potem w WOK-u na Toruńskiej, na Ikara, na placu Kościeleckich i w Toruniu w Książnicy Kopernikańskiej na Słowackiego.

Prawie niezmienny zespół, Ewa Bathelier jako autorka okładek i to, co w środku w rozpiętości i różnorodności, działaniu i stanowieniu.

Ostatnie dekady życia Miłosza, Szymborskiej, Różewicza, Hartwig, Błońskiego, przyjaźnie z nimi, przedtem Andrzejewski, epizod z Herbertem. I Beckett jak cień, w przekładach, tłumaczeniach, wspomnieniach.

Pod niebem jasnym i ciemnym i tym, co ponad nim, wysoko. W górę i naprzód, w znane i nieznanne, do celu.

Krzysztof Myszkowski

WILLIAM SHAKESPEARE

Tymon z Aten

w nowym przekładzie Antoniego Libery

Trzy sposoby na wykręcenie się od udzielenia pożyczki
akt III, sceny 1–3

SCENA PIERWSZA

*Ateny. Dom Lukullusa.
Flaminiusz czeka na posłuchanie.
Wchodzi Sługa Lukullusa.*

SŁUGA

Powiadomiłem pana, żeś już przyszedł. Zaraz tu przyjdzie.

FLAMINIUSZ

Dziękuję.

SŁUGA

Już jest.

Wchodzi Lukullus.

Jeden z późnych dramatów Shakespeare'a, uchodzący za tzw. komedię problematyczną. Pisany w roku 1606, ukończony prawdopodobnie w 1607, a po raz pierwszy wydany w Folio w 1623. Po raz pierwszy wystawiony w adaptacji Thomasa Shadwella w 1674, a w oryginalnej wersji autorskiej dopiero w 1761. Shakespeare, pisząc ten utwór, opierał się na *Życiu Alcybiadesa* Plutarcha i *Tymonie mizantropie* Lukiana. Nie wyklucza się, że sztuka ma współautora w osobie Thomasa Middletona.

LUKULLUS

na stronie

865 Ktoś od Tymona. Pewnie z jakimś darem. Cóż, nic dziwnego: czyż nie śniły mi się srebrna miednica i dzban – dzisiaj w nocy?

Do Flaminiusza

Witam serdecznie, miły Flaminiuszu! Moje uszanowanie!
Witaj, witaj!

Do Sługi

Przynieś nam wina.

Sługa wychodzi.

I jakże się miewa nasza wielmożność – nasz ateński pan, nasz niezrównany, czcigodny dobrodziej?

FLAMINIUSZ

Zdrowie, odpukać, na razie mu służy.

LUKULLUS

870 To doskonale. Bardzo mnie to cieszy. – A cóż tam trzymasz pod okryciem, panie?

FLAMINIUSZ

Nic szczególnego. Szkatułkę. Lecz pustą. – Pan Tymon przysłał mnie do ciebie z prośbą, abys łaskawie zechciał ją napełnić. Znalazł się nagle w przykrych tarapatach i potrzebuje pięćdziesiąt talentów. Jest przekonany, że mu nie odmówisz.

LUKULLUS

„Jest przekonany”, powiadasz. No, no! – Bardzo mi przykro, niestety się myli.

Twój pan z pewnością jest dobrym człowiekiem, wielce szlachetnym i wspaniałomyślnym, ale prowadzi zbyt wystawne życie.

Jak często – podczas obiadów u niego – z troską zwracałem mu na to uwagę. I ileż razy, jeszcze tego dnia, zjawiałem się u niego na kolacji, by go odwozić od szastania groszem. Lecz cóż, nie słuchał; odrzucał przestrogi.

875 Nie ma człowieka bez wady, rzecz jasna. Jego polega na zbytnej hojności. Usiłowałem mu to uprzytomnić, ale niestety daremnie – bez skutku.

Wraca Sługa z butelką wina.

SŁUGA

Oto i wino, najłaskawszy panie.

LUKULLUS

Mój Flaminiuszu, zawsze cię widziałem jako człowieka z głową. – Twoje zdrowie!

Wypija łyk wina.

FLAMINIUSZ

Bardzo pan łaskaw.

LUKULLUS

Ale, co ty mówisz! Po prostu stwierdzam fakt, a mianowicie, że cię cechuje roztropność i spryt, i zawsze umiesz w porę wykorzystać dobrą okazję, gdy ta się nadarza. To bardzo cenne!

Do Sługi

880 Idź już. Jesteś wolny.

Sługa wychodzi. Do Flaminiusza

Proszę cię, podejdź bliżej.

Jak już mówiłem, twój pan jest człowiekiem wybitnie hojnym i wspaniałomyślnym; ty jednak mając łeb nie od parady, rozumiesz chyba – chociaż tu przyszedłeś – że to nie moment, aby mu pożyczać – ot tak, z przyjaźni, bez żadnej poręki.

Masz tu, mój miły, trzy srebrne monety, zapomnij o nich,
rzecz jasna, i powiedz, żeś mnie nie zastał. – A teraz już
bywaj!

FLAMINIUSZ

Czy to możliwe, by świat się tak zmienił,
885 Gdy my żyjemy, jak żyliśmy przedtem?
Wstrętne srebrniki, wracajcie natychmiast
Do swego pana, który was tak wielbi!

Odrzuca monety.

LUKULLUS

Cóż, teraz widzę, żeś jednak niemądry – po prostu dureń,
godny swego pana.

Wychodzi.

FLAMINIUSZ

Niech te srebrniki z resztą twej mamony
890 Stopią się w kotle w metaliczny ukrop
I obyś wpadł do niego na swą zgubę –
Ty gnido żerująca na przyjaźni,
Ty pseudo-przyjacielu, niewdzięczniku!
Czy przyjaźń jest aż tak efemeryczna,
895 Żeby z dnia na dzień mogła wyparować?
Jak przykre będzie to dla mego pana!
Jeszcze nie strawił kolacji, łachudra,
Którą się u nas opychał jak świnia,
I teraz ten posiłek krew mu krzepi –
900 Tę krew, co przemieniła się w truciznę!
Oby to wszystko, czym się u nas tuczył,
Wpędziło go w chorobę jak najszybciej,
A jednocześnie, gdy już będzie konał,
Nie dało łatwo zdechnąć, lecz wzmacniało –
905 Tak by to ścierwo długi czas cierpiało!

Wychodzi.

SCENA DRUGA

Plac w Atenach.

Wchodzą Lucjusz, Hostyliusz i dwaj inni Cudzoziemcy.

LUCJUSZ

Kto, Tymon? – To serdeczny mój przyjaciel i wielki pan...

CUDZOZIEMIEC 1

wpadając w słowo

To wszystko o nim wiemy, choć nie poznaliśmy go osobiście. Niemniej słyszymy tu od niejednego, że okres jego świetności już minął; że tej ogromnej fortuny już nie ma; że ma kłopoty.

LUCJUSZ

E, nic podobnego! Nie wierzcie temu, to jest niemożliwe.

HOSTYLIUSZ

A jednak mówią, że dopiero co ktoś z jego ludzi był u Lukullusa i usiłował pożyczyć od niego niemałą sumkę, ileś tam talentów; i że choć prosił, a nawet nalegał, niestety odszedł z kwitkiem.

LUCJUSZ

910 Jak to, z kwitkiem?

HOSTYLIUSZ

Zwyczajnie: nie otrzymał tych pieniędzy.

LUCJUSZ

Nie chce się wierzyć! Bogowie, widzicie? Płonę ze wstydu. Odmówić wsparcia takiemu mężowi? Doprawdy trzeba być bez krzty honoru. Szczególnie po tym czy w obliczu tego, ile Lukullus od niego dostawał!

Ja w porównaniu z nim byłem pariasem. Te drobne kwo-ty, precjoza i srebra, które pan Tymon dawał mi czasami,

były doprawdy fraszką przy tym wszystkim, czym obsypywał ciągle Lukullusa.

A jednak gdyby, zawiódłszy się na nim, do mnie zawiatał z prośbą o pożyczkę, to w żadnym razie bym mu nie odmówił i nie poskąpił tych kilku talentów.

Wchodzi Serwiliusz.

SERWILIUSZ

na widok Lucjusza

915 No, jest nareszcie! – Ale się spociłem, szukając wszędzie wielmożnego pana! Mam jednak szczęście! – Najtąskawszy panie...

LUCJUSZ

A, to Serwiliusz! Miło cię zobaczyć. Bądź zdrow i kłaniaj się swojemu panu, o którym zawsze jak najcieplej myślę i który jest mi wyjątkowo bliski.

SERWILIUSZ

Czcigodny panie, proszę mnie wysłuchać. Mój pan przysłał...

LUCJUSZ

wpadając w słowo

Przysłał!... Cóż znowu? Tyle już mam od niego, a on dalej! Doprawdy, to już nadto, to za wiele!

Powiedz mi raczej, w jaki sposób mógłbym odwdziaczyć mu się. – A co tam przysłał?

SERWILIUSZ

920 Przysłał mnie tym razem z wielką prośbą o pilną pomoc waszej wielmożności: żebyś pożyczył mu kilka talentów.

LUCJUSZ

To chyba jakiś żart! Kilka talentów!

On nawet pięćset... ba, i pięć tysięcy
Znajdzie bez trudu.

SERWILIUSZ

Na razie cię prosi
O znacznie mniej, lecz za to bardzo serio.
925 Bo znalazł się w okropnym położeniu.

LUCJUSZ

Poważnie mówisz?

SERWILIUSZ

Przysięgam na duszę.

LUCJUSZ

Coś okropnego! Ależ ja mam pecha, że oto w chwili, gdy mógłbym nareszcie odwdziaczyć mu się, to jestem bez grosza! Co za fatalny zbieg okoliczności! Akurat wczoraj kupiłem dla zysku pewien majątek (nie wiem, czy korzystnie), i oto dziś (z pewnością niekorzystnie) doznaję wielkiej ujmę na honorze.

Mój Serwiliuszu, przysięgam na bogów: nie mogę spełnić tej prośby, lecz wierz mi, że wskutek tego czuję się okropnie – jak jakiś nędznik, ba, o wiele gorzej, bo chciałem właśnie o to samo prosić pana Tymona – *wskazując na Cudzoziemców* – niech oni zaświadczą.

930 Lecz w danej sytuacji nie ma mowy: w żadnym wypadku nie pozwolę sobie na taką śmiałość, by go o to prosić.

Przekaż mu moje najniższe ukłony, jakoż wyrazy mego uwielbienia. Głęboko wierzę, że ta przykra sprawa – iż wbrew mej woli nie mogę mu pomóc – nie spotka się z urazą z jego strony. Tak czy inaczej podkreśl z całą mocą, że jest to dla mnie okropne przeżycie: nie móc odwdziaczyć się takiemu panu – tak szlachetnemu i tak mi bliskiemu – to niewyobrażalna wprost udręka!

Oddasz mi tę przysługę, Serwiliuszu, i powiesz mu to wszystko, co tu mówię?

SERWILIUSZ

Tak, powiem, panie.

Wychodzi.

LUCJUSZ

za wychodzącym

Czeka cię nagroda!

Do Hostyliusza i pozostałych

Miałeś więc rację: Tymon w piętkę goni.

935 Nic przed upadkiem już go nie uchroni.

Wychodzi.

CUDZOZIEMIEC 1

do Hostyliusza

Widzisz to wszystko?

HOSTYLIUSZ

O, aż nazbyt dobrze.

CUDZOZIEMIEC 1

Lecz cóż dziwnego? Już taki jest świat;

I taka właśnie natura pochlebców.

940 Że je ktoś z tobą z jednego talerza?

O, to na pewno jeszcze nie przyjaciel.

 Podobno Tymon był dla tego typu

Jak drugi ojciec: spłacał mu kredyty,

Wspierał majątek, utrzymywał służbę

945 I obsypywał bez przerwy srebrami,

Tak że ilekroć pan Lucjusz coś pije,

Nie może nie pić z kielicha lub czary,

Których by niegdyś nie otrzymał w darze.

 A jednak – cóż to za czarna niewdzięczność! –

950 W godzinie próby odmawia pomocy,
Chociaż jej wartość równa jest mniej więcej
Temu, co zwykle daje się żebrakom.

CUDZOZIEMIEC 2

Gdy czci się bogów i ma się ich w sercu,
W obliczu takich rzeczy chce się wyć!

CUDZOZIEMIEC 1

955 Ja, choć nie miałem okazji go poznać,
A zwłaszcza zyskać miana przyjaciela
I zaznać takich czy innych dobrodziejstw,
Muszę rzec jednak, że mając na względzie
Jego szlachetność i wspaniałomyślność,
960 Zrobiłbym wszystko, co jest w mojej mocy,
Aby mu pomóc, gdyby mnie poprosił.
Majątek swój podzieliłbym na części
I ofiarowałbym mu najcenniejszą.
Do tego stopnia wielbię jego serce.
965 Lecz dziś, jak widzę, co innego w cenie.
Liczą się korzyść i zysk – nie sumienie.

Wychodzą.

SCENA TRZECIA

*Pokój w domu Semproniusza.
Wchodzi Semproniusz i Sługa Tymona.*

SEMPRONIUSZ

No dobrze, ale dlaczego właściwie
Do mnie pierwszego przychodzi z tym teraz;
A nie do Lukullusa czy Lucjusza?
970 Albo do Wentydusza, który dzisiaj
Naprawdę jest bogaty, a któremu
Pomógł wydostać się kiedyś z więzienia.
To oni zawdzięczają mu majątek.

SŁUGA TYMONA

Niestety okazali się niewdzięczni.
975 Poodmawiali. Wszyscy.

SEMPRONIUSZ

Jak to? Oni?
Wentydusz i Lukullus odmówili?!
I on po ich odmowie śle cię do mnie?
To pokazuje, kim dla niego jestem:
Ostatnią deską ratunku – kimś takim,
980 Na kogo już się w zasadzie nie liczy.
Tamci trzech przyjaciele, jak lekarze,
Najpierw się spaśli na jego pieniądzach,
A potem, gdy zaniemógł, porzucili.
I teraz ja mam go leczyć. Ratować!
985 To mi uwłacza; to jest obraźliwe.
Czym zasłużyłem na tak marne miejsce?
Do mnie pierwszego powinien się zwrócić.
Czyż nie pierwszego mnie obdarowywał?
Ale by prośbą o pomoc zaszczyć –
990 O, to już zgłasza się na samym końcu!
Dlaczego tak krzywdząco mnie traktuje,

Że wręcz wystawia mnie na pośmiewisko?
Gdyby ode mnie zaczął, to z pewnością
Pożyczyłbym mu parokrotnie więcej,
995 Niż mu potrzeba – bo zawsze marzyłem,
By mu się kiedyś w trójnasób odwdziaczyć.
Lecz skoro tak, to powiedz swemu panu,
Że przykro mi, lecz kto mnie tak traktuje,
Nie może liczyć, że go poratuję.

Wychodzi.

SŁUGA TYMONA

1000 Pięknie, doprawdy! Co za wstrętny typ wyszedł z naszego
wielmożnego pana!

Nie wiedział diabeł, co robi z człowiekiem, kiedy mu da-
wał lekcje sofistyki. Ukręcił powróż na samego siebie: bo za
pomocą tych wszystkich wybiegów człowiek oszuka i sa-
mego diabła.

Ależ on kręcił, żeby się wykrećić! I jak upiększał swą pod-
łość i małość! Jak się drapował w szaty cnotliwego, aby
tym bardziej pograżać się w bagnie! Jak owi zapaleńcy, co
z nadmiaru płomiennej wiary i nadgorliwości gotowi są
podpalić i królestwo.

Oto jak blagier kultywuje przyjaźń.
Mój pan z nim łączył największą nadzieję.
1005 Co będzie teraz, gdy ta się rozwieje?
Gdy tak niewdzięcznie go potraktowano,
Tylko bogowie już mu pozostaną.
Cóż, trzeba będzie pozamykać drzwi,
By mu nie truli i tak smętnych dni.
1010 Cóż, tak się kończy zbyt szeroki gest.
Plajtą i biedą. Tak to już z tym jest.

Wychodzi.

JORGE GUILLÉN

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Co za jasność! Ćwierkanie
takie pośród liści,
jakby pragnęły wszystkie
zaszumieć złościście

Splatają się powiewy
między topolą a niebem
I cała przestrzeń
wibruje bez przerwy

Światło odwieczne
popołudni błogie
nie może umrzeć.
Moje, już jest moje!

Prędko, osiodłaj prędko
najlepszego konia!
Droga tutaj szeroka
poniesie mój tętent!

Być, tylko tyle. Basta.
To szczęście doskonałe.
Z milczącą esencją świata
tak wiele jest tożsame.

Przez bieg przypadków co włada
losem pisanym stadu
wyrzucić się spośród wieków
dosięgnąć wyżyn bytu.

Siłą, przemocą się złączyć
z wielością odgłosów
wytrwałych: tak, tak, o tak!
Słowo morskiej wody!

Wszystko mi zwierza sekrety.
Zwycięzca, stałem się światem.
Energia jego przejawień
Realną bez reszty.

Jestem, istnieję. Oddycham.
Powietrze jest głębią czystą.
Rzeczywistość mnie zmyśla.
Jestem jej mitem. Witam!

Elzbieta Lempp



„Duch przebrał miarę”? Skazani na cudzojęzyczność

z Krystyną Rodowską o poezji dwujęzycznej rozmawia Marek Kędziński

Marek Kędziński: Kiedy poeta, pisze Claude Esteban, staje się tłumaczem poezji, usiłuje dokonać niemożliwego. Wydaje się wierzyć – a przynajmniej robi taką minę – że dwa rozdzielne systemy, „absoluty” języka, są w stanie nawiązać między sobą komunikację, i właśnie ten błąd logiczny, który wszystkich poza poetą-tłumaczem powinien paraliżować, staje się motorem jego „bezrozumnego” przedsięwzięcia. „Od Hölderlina do Mandelstama, od Baudelaire’a do Guilléna, Octavio Paza, czy Yvesa Bonnefoy, u nich wszystkich widzę ten zapal, dziki, a jednocześnie zrezygnowany, by przekroczyć granicę nieprzekładalnego, i wypowiedzieć to, co w istocie nie ma imienia poza językiem, który je zrodził, jest jednak tak ważne, że domaga się przełożenia na słowa, które choć wciąż są niewierne, kryją w sobie wierność”. To z tekstu *Traduire*, programowego eseju Estebana o przekładzie poetyckim.

Ów przekład nie jest znajdowaniem ekwiwalentu słów, w stylu „jeden do jednego”, lecz odtwarzaniem aury, zabarwienia emocją, wytworzonych historycznie skojarzeń, no i oczywiście muzyki (w) wypowiedzi poetyckiej. No tak, wszyscy o tym wiemy – ale te ogólne wywody tłumaczą się same, nabierają „cielesności”, na konkretnych przykładach. A tych dostarcza Esteban we wszystkim, co pisze, jako że, w pewnym sensie, za wypowiedzią w jednym języku czai się wersja w drugim. Z wywodów tego dwujęzycznego poety i tłumacza poezji, wynikałoby, że nie ma bardziej odległego od hiszpańskiej liryki literackiego uniwersum niż poezja francuska. W naszej rozmowie sprzed kilku miesięcy, w jakimś sensie stanowiącej komentarz do przełożonego przez ciebie poematu Claude’a Estebana *Pora ogołocona*, poruszyliśmy tę tematykę. W tym numerze drukujemy twoje przekłady wierszy Jorge Guilléna, który był jednym z mistrzów Estebana. To, moim zdaniem, doskonała okazja, abyś, zaprawiona w boju tłumacza tak poezji francuskiej, jak hiszpańskiej,

Ciąg dalszy rozmowy z numeru 112.

porównała trzy wersje tych wierszy i podzieliła się swymi refleksjami. Może uda się na konkretnym przykładzie unaocznić sens tej „bezrozumnej” ambicji przekroczenia w poezji granicy jednego języka.

Krystyna Rodowska: Esteban był nie tylko dwujęzycznym poetą-tłumaczem. W jego szczególnym przypadku dwujęzyczność „mimo woli” – jak zauważał, była frustrującym doświadczeniem egzystencjalnym: jego język francuski, wysany z mlekiem matki, nigdy go w pełni nie zadowalał, pod powierzchnią francuskich słów wyczuwał obecność innego języka, co sprawiało, że czuł się „cudzoziemcem dla samego siebie”, jak pisał w eseju *Traduire*. (Pamiętajmy, że we francuskim słowie *étranger* (cudzoziemiec) kryje się słowo *étrange*, czyli dziwny). Esteban, już jako dojrzały pisarz, poeta, był niebywale wyczulony na tę „cudzojęzyczność”, która naruszała jego poczucie tożsamości, destabilizowała jego zakorzenienie w języku francuskim – języku wybranym, w którym pisał. Tłumacząc jego przecież młodzieńczy poemat *Pora ogołocenia*, dziwiłam się jakimś immanentnemu tragizmowi, który naznaczał przestrzeń i pejzaże tego utworu, podczas gdy życie dostarczało w tym czasie autorowi wielu przeżyć osobistych, jak najbardziej pozytywnych. Wiedząc już coś niecoś o jego *partage des mots*, przeżywanym bardzo głęboko rozdarciu między dwoma językami – francuskim i hiszpańskim – zawieramy autentyczności remedium, które odnalazł w końcu poeta-tłumacz. Otóż Esteban, dla którego słowo *tenedor* (widelec) nie oznaczało tego samego przedmiotu, co *fourchette*, odwrócił w końcu znaczenie *partage* – rozdzielenia, rozdarcia – na zmysł udziału, jak by powiedziała Szymborska – na równoprawną wymianę i dialog. Esteban-poeta musiał w końcu – tak to widzę – zostać tłumaczem poezji hiszpańskiej i hiszpańskojęzycznej.

Zastanówmy się teraz razem, na konkretnych przykładach, jak mu to wychodziło, co się dzieje między językiem wyjściowym, „źródłowym”, a „docelowym”, pozbawiając ową docelowość pierwotnej wojowniczości. Esteban w swoich rozważaniach mówił o języku, który przewycięża rozdarcie i konflikt, dążąc do stania się językiem „gościnnym”, *hospitalier*, tym, który przyjmuje...

M.K.: Przemyslenia na temat „przekładalności” poezji stanowią jeden z naczelných tematów w krytycznych tekstach Estebana. Jeżeli wypowiedź poetycka jest rodzajem nadbudowy nad zwyczajnym komunikatem językowym, a bardziej precyzyjnie: nie czymś nad-budowanym, tylko w-budowanym w materię komunikatu, funkcją poetycką nie dodaną, lecz wbudowaną w komunikat, to do uchwycenia natury poezji niewiele służy tak dobrze jak praktyka przekładu – w jego wypadku z hiszpańskiego na francuski lub *vice versa*. W rygorystycznym sensie, prawdziwa

poezja jest nieprzekładalna. Zbadanie, dlaczego jest nieprzekładalna, powinno być równoznaczne ze znalezieniem jej – jak to się kiedyś mówiło – istoty. Dlaczego poezja opiera się próbom przekładu? – tę kwestię podejmuje Esteban od napisania swego pierwszego wiersza do końca życia. Jednocześnie w każdym okresie twórczości sporo przekładając. Jakie to Beckettowskie, muszę iść dalej, nie mogę iść dalej, więc pójdę dalej. Może następnym – kolejnym – razem odniosę porażkę mniej porażającą. Wiarygodne to było zwłaszcza w sytuacji, w której do zdefiniowania poezji poeta wciąga, jak to określasz, swoje „doświadczenie egzystencjalne”. Frustrujące, ale i budujące, zwłaszcza z punktu widzenia czytelnika, który ma szansę podziwiać kunsztowność jego sztuki. Równocześnie, jeśli jest Francuzem, poznając arcydzieła poezji języka hiszpańskiego, od Góngory do Pere Gimferera (ur. 1941), w dwujęzycznych wydaniach.

Obcowanie z poezją jest dla Estebana odkrywaniem szyfru poetyckiego, wbudowanego w językowy komunikat. W *Partage des mots* pisze o swym młodzieńczym odkryciu – że „każdy język był zaszyfrowany, a klucza, już wtedy dobrze wiedziałem, nie powinno się szukać w słownikach”. Nie w słownikach to nie znaczy: nie skupiać się na poszczególnych słowach, tylko widzieć je w siatce stwarzanej przez poetę całej sieci powiązanych z sobą znaczeń, wytworzonych „poetycko”. Bo trzeba skupić się na poszczególnych słowach, aby potem połyskiwały one w rozwijanej wypowiedzi. Słowa mają niesłychany koloryt, potencjał wzbudzania emocji czy refleksji myślowej. Słowa kłują, tak jak słowa koją. To jest banał. Ale Esteban od początku do końca nie potrafił uniknąć dziwnego rozdzielenia, między dwoma językami, ale i dwoma kosmosami.

Parafraza fragmentu o dziecięcym zwyczaju poety ze wspomnianego eseju *Partage des mots*: „Wypowiadałem jakieś słowo, artykułowałem je z wolna w jednym z moich języków, dając mu wibrować, aż odezwie się w moim umyśle cały zawarty w nim rezonans. Następnie próbowałem to samo uczynić z jego ekwiwalentem semantycznym w drugim języku – w przeciwnym idiomie! Porównywałem ich siłę ewokacji, ich potencjał melodyczny. Do tych eksperymentów poetyki tonalnej świetnie nadawały się najprozaiczniejsze terminy. Ów smak jakiegoś słowa”.

To było odkrywanie „niemal fizycznego smaku” wziętego na warsztat słowa. Wymawiając *cheval*, Esteban czuł mocno „ową siłę i swawolną radość”, którymi emanowało w języku francuskim, tak „fizycznie, jak etycznie”. Wsłuchując się w słowo *caballo*, znajdował w nim głównie okrytą cieniem masywność, ciężar łagodny i spokojny, natomiast zdecydowanie brakowało w nim „dziarskiego rozbrykania”. Choć etymologicznie bliskie, bo oba wywodzą się od łacińskiego *caballus*, dla membrany ucha Estebana dzieliła je przepaść. Podobny rozdźwięk zauważał

poeta między łagodnością *lumière* a hiszpańskim *luz*, ewokującym niemal tragiczną eksplozję.

K.R.: Podobną przepaść sugeruje porównanie wspomnianego przeze mnie na początku hiszpańskiego słowa *tenedor* i francuskiego *fouchette* (widelec). *Tenedor* dla mojego ucha brzmi patetycznie, monumentalnie, co najmniej, jak *conquistador*...

M.K.: ...bądź *torreador*... po polsku, bo po hiszpańsku raczej *torero*.

K.R.: ...czy posągowy i dramatyczny „Comandor”, nawiedzający niepoprawnego uwodziciela don Juana, podczas gdy *fouchette* ma w sobie lekkość i kokieteryę, przypisaną postaciom sprytnych i swawolnych pokojówek, znanych ze sztuk Marivaux i Moliera. Z kolei polski „widelec”, pozbawiony tego rodzaju literackich konotacji, nawiązuje oczywiście do wideł, narzędzia pomocnego przy pracach w ogrodzie i na polu, sprowadzonego do roli praktycznych widełek, ułatwiających codzienną konsumpcję. Słowa w każdym języku mają nie tylko znaczenie, ale swoją historię, swój niepowtarzalny koloryt i swoją jedyną w świecie dźwięków muzykę. Poeta-tłumacz, mierząc się z nieprzekładalnością oryginału, musi mieć świadomość czy intuicję wpisanej w jego wspinaczkę na niedostępny szczyt porażki, a jednak nie rezygnuje... Czego więc tu spodziewać się od paralelnego, polskiego wiersza, jakiej niemożliwej „wierności”? Co zbudowała „gościnność” transferu z jednego świata do drugiego? To pytanie czyha na każdym kroku przekładu.

M.K.: Wracając do „cielesności” na konkretnych przykładach, zacznę od „konia” i „światła”, słów, które znalazłem w wierszu Guilléna *Co za jasność!* z cyklu *Cántico*. Jak porównać zadanie tłumacza z hiszpańskiego na francuski z tym, co przekazałaś czytelnikowi w polskiej wersji? I czy refleksje na temat przekładu pozwolą nam lepiej „zrozumieć” ten wiersz?

K.R.: Na początek, kilka zdań o tym poecie, mistrzu Estebana, podziwianym wzorcem języka i formy, które – zmagając się z ich nieprzekładalnością – chciał przenieść w swoim przekładzie do francuszczyzny... Jorge Guillén, laureat Nagrody Cervantesa, hiszpańskiego Nobla w dziedzinie literatury i innych wysokich odznaczeń, to postać już bądź co bądź historyczna (1893–1984), wybitny hiszpański poeta – reprezentant głośnego Pokolenia 1927, do którego należeli między innymi Federico Garcia Lorca, noblista Vicente Aleixandre, Rafael Alberti, by wymienić tylko poetów najbardziej znanych polskim miłośnikom poezji hiszpańskiej. Wyróżnikiem poezji Guilléna, przynajmniej tej, którą tworzył do wybuchu wojny domowej i decyzji udania się na emigrację do Stanów Zjednoczonych, była entuzjastyczna afirmacja

rzeczywistości, samego istnienia, którą konsekwentnie wyrażał w kolejnych edycjach swego kluczowego dzieła *Cántico*, w połączeniu z dążeniem do doskonałości formalnej – odbicia pożądanego pełni istnienia. Ten słoneczny koloryt wierszy Guilléna jest czymś niezwykłym, zwłaszcza w zderzeniu z dominującą nutą przeżyć tragicznych w dwudziestowiecznej poezji polskiej i wcześniejszej. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania fragmentu krótkiego wiersza z *Cántico* (w moim przekładzie), który dla mnie jest kwintesencją filozofii euforycznej afirmacji rzeczywistości przez poetę. Wiersz nosi tytuł – a jakże! – *Doskonałość (Perfección)*:

Niebo obręcz zamyka.	Queda curvo el firmamento
Dzień się błękitem uszczelnia.	Compacto azul. Sobre el día.
Południe blask przenika	Es el redondeamiento
Najwyższy: czasu pełnia [...]	Del esplendor: mediodía.
I tak się Teraz roztula	Y tanto se da el presente
Że stopa wędrowca uczuła	Que el pie caminante siente
Planety jednię	La integridad del planeta.

M.K.: Ciekawe, że stopa poczuła planety „jednię” – w oryginale jest *la integridad*, natomiast Esteban we francuskim przekładzie używa tu słowa dosyć rzadkiego *inentamé*, a więc planeta nie naruszona, nie napoczęta. „*Si fort que le pied ressent, / Inentamée, la planète*”. Tutaj akurat „jednia” i „nienapoczętość” są mniej suche niż *integridad* – ale to jest zgodne z tonem wierszy Guilléna, zwłaszcza tych z lat trzydziestych, ich zacięciem filozoficznym, powiedziałbym: fenomenologicznym. Jak Husserl w przebraniu poety. Podobnie intelektualno-abstrakcyjne *redondeamiento* (zaokrąglenie?) na szczęście upoetyzowane *del esplendor*, zaokrąglenie splendoru, czyli najwyższego stopnia doskonałości. Po francusku: „*C'est le circle qui s'ajoute / à la spendeur: midi pur*”, „koło (lub okrąg), które się dodaje do świetności”. Na końcu Esteban łagodzi bezpośrednio *mediodía*, przedłużając o połowę krótszy słownikowy ekwiwalent „południa”, *midi*, klasyfikatorem *pur* – południe staje się czyste. No ale pasuje do zasadniczego tonu myślowego tego utworu. Odczytuję te wiersze jako produkt czy wynik obserwacji tego, co otacza poetę w odartym z wszelkich wstępnych założeń świecie, intelektualne badanie świata, *hic et nunc*, zmysłami poety. Który zresztą chce z tej obserwacji usunąć własną subiektywność. Ta głośna afirmacja świata i witalności jest bardzo szczególna – i nie taka prosta. „*Oh! claridad*” zaczyna się wołaczem: „O, jasności!”. Esteban to wezwanie całkiem zignorował.

K.R.: Dobrze, że zmierzając do konkretności, przeszedłeś do tego wiersza z *Cántico*. Mnie największą trudność przekładową, odnosząc się do oryginału hiszpańskiego i wersji francuskiej, sprawiła pierwsza strofka. Początek wiersza po hiszpańsku

„*Oh! claridad*” jest ekstatyczny, podczas gdy wersja francuska tej strofy rozwija się spokojnie, opisowo przez cztery wersy. Wybrałam emocjonalność hiszpańskiego oryginału „Co za jasność!”. A dalej kolejny szkopuł: z kolorem liści. Zarówno w hiszpańskim oryginale, jak w przekładzie na francuski, liście chcą, pragną być żółte! – inaczej: jasne, słoneczne! Ale jest jeszcze asonans, królujący w poezji hiszpańskiej i w tym wierszu Guilléna – i on w moim przekładzie wygrywa: „Ćwierkanie takie pośród liści / jakby pragnęły wszystkie / zaszumieć złościście”.

I ostatnia strofka: jednym słowem w ostatnim wersie tekstu poety hiszpańskiego zadała mi klina rzeczownikiem *porfía*, obdarzonym mnogością znaczeń, a wszystkie wskazują na upór, zadzierzystość, zawziętość, hardość, zuchwałość. Tutaj wiązały się z koniem, *caballo*, i to najlepszym, znakomitym, takim z charakterem, zapewne narowistym, ale ujarzmionym przez jeźdźca: usłyszałam tętent jego kopyt na szerokiej drodze: „*El camino es ancho / Para mi porfía*”. A więc: „Droga tutaj szeroka / Poniesie mój tętent!”. A w przekładzie na francuski Estebana droga jest wprawdzie szeroka, „*Le chemin est vaste*”, ale jazda spokojna, bez naddatku dynamiki zawartego w tekście hiszpańskim, po prostu *une avancée*.

M.K.: Drugi wiersz, *Ser, nada más*, jest podobnie fenomenologiczny. Uniesienie, egzaltacja usuwają moim zdaniem poetę, choćby jego biografę, na dalszy plan, wbrew zaimkom ja, mnie, moje – mamy tu do czynienia tylko z tą cząstką osoby, która afirmuje byt, istnienie, *per se*.

Strofy formalnie bliskie doskonałości, przez dobór słów, ich muzyczne uwrażliwienie (bo nie chcę powiedzieć wrażliwość poety), rymy zewnętrzne i wewnętrzne, asonanse, aliteracja. Perfekcyjność! Słownik zasadniczo filozoficzny, ale zdania jakąż poezją oddychają! Choćby trzeci i czwarty wers: „*Con la esencia en silencio / Tanto se identifica. Esencia, silencio*”, wymawiam sobie powoli te słowa i myślę, że to już jest poemat. A do tego *en silencio*, „w milczeniu”, składniowo może się łączyć tak z esencją, jak z czasownikiem „identyfikować” – „z esencją” (czy istotą rzeczy na przykład) „w milczeniu / tyle się utożsamia”. Słowa, nanizane na nić linijek jak koraliki, które wzajemnie pobłyskują dyskretnym blaskiem dochodzącym od bliższych i dalszych sąsiadów. A w drugiej zwrotce, otwierające – nieprzypadkowo! – „*Al azar*” (u ciebie: „przez bieg przypadków”) przekazuje swój blask początkowi czwartej linijki, „*Alzarse*”, „powstawać, podnosić się”, by za chwilę cząstka *se* pojawiła się w *el ser*, wyciszona spółgłoską *r*. *El ser*, „byt”, niemiecki filozof powiedziałby *das Wesen*. Istota. Esencja. Czy istnienie?

Ser, con el ser, para ser, soy – ten główny czasownik egzystencjalny pojawia się tyle razy. „Być”. Skonfrontowane w ostatniej strofie z *estoy*. No właśnie, mówiąc o nieprzetłumaczalności poezji z jednego języka na inny – tu trafiliśmy na coś,

czego nie zobaczymy ani w przekładzie francuskim, ani w polskim, ani w większości innych przekładów. Myślę o czymś tak fundamentalnym jak strukturalne elementy języka hiszpańskiego. Obiecałaś „dobrać się” do tych *ser* i *estar*? Bo to się u Guilléna powtarza, w różnych kontekstach.

K.R.: Tak, ten symptomatyczny tylko dla języka hiszpańskiego dualizm *ser* i *estar* powtarza się w poezji Guilléna i zarówno Esteban, jak i tłumacz na język polski zderzają się tutaj niemal ze ścianą. Ani we francuszczyźnie, ani w polszczyźnie nie ma takiego rozróżnienia, tak istotnego niuansu, już nie tylko językowego, ale *par excellence* filozoficznego! *Être* to *être*, być to być!

W ostatniej strofie wiersza *Ser, nada más*, czytam to zdumiewające dla polskiego oka i ucha *soy, más, estoy*, czyli „jestem, co więcej, istnieję”; między dwoma wariantami bycia w pierwszej osobie *soy* i *estoy* jest jeszcze oczywisty nacisk poety na tę dwoistość: „co więcej”, który wyparował z wersji francuskiej i polskiej! Można by złożyć ten brak na karb wymagań rytmu, który pod ciężarem dodatkowych trzech sylab, zamiast jednej w hiszpańskim oryginale – *más* – załamałby się. Pozostaje jednak faktem, że nieistniejące w językach francuskim i polskim (może jeszcze i w innych) rozróżnienie na rozmaite kategorie i odcienie bytu, na niewzruszone w trwaniu *ser* (jestem Polakiem, Hiszpanem, jestem katolikiem, agnostykiem etc.) i na podatne na wszelakie zmiany, wahnięcia, nastroje *estar* (jestem w dobrym humorze, jestem głodna, chora etc.) wymaga od tłumacza wsłuchania się w towarzyszące tej właśnie odmianie bycia konteksty. *Estoy* – „istnieję” w inkryminowanym wersie przywołanego tutaj wiersza Guilléna skutecznie uwydatnia inną jakość bytu, niż znieruchomiałe „jestem”, stawia na zmienne pulsowanie życia. Tu trzeba być czujnym: nie ma reguł dla sposobów bycia *ser* i *estar*. *Estoy cansado* (jestem zmęczony) mówi o zmęczeniu chwilowym, właśnie w tym momencie, ale już *soy cansado* mówiącego wskazuje na stan chronicznego zmęczenia, życiem, czy zmęczenia chorobowego. Fakt, że taka sugestia w języku jest możliwa, ukazuje w tym wypadku większe bogactwo leksykalne, podglebie psychologiczne, filozoficzne hiszpańszczyzny. Francuska część tożsamości Estebana, arcyświadomego inności, nieprzekładalności elementu hiszpańskiego, zmuszona jest niejednokrotnie do kapitulacji w trakcie przekładu. Stąd rozdarcie, o którym mówiliśmy, w najlepszym wypadku głębia niedosytu, skazanie na cudzojęzyczność. A co z polszczyzną? Pocięszam się świadomością wielości jej innych rejestrów, choćby tych dotyczących całego wachlarza doznań myślowych...

M.K.: Guillénowi przyświecała idea jednego zbioru, w stylu *Kwiatów zła* Baudelaire’a czy *Żdźbeł trawy* Walta Whitmana. *Cántico* to cykl wierszy, który rósł,

uzupełniany przez całe dziesięciolecia, choć jego zrab stanowią teksty z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Wtedy powstały wiersze, które bierzemy teraz pod lupę. W wielu jest taki sam punkt wyjścia. Weźmy na przykład, taką strofę (*¿Hubo un caos?*): „A ranek swym ciężarem / wibruje nad moimi oczami. / Co znowu ujrzą? (To, co). Nadzwyczajne: *Wszystko*”. „*Lo extraordinario: todo*”. Otworzą się na Niezwykłe. Czyli wszystko. Co jest. A punkt dojścia? W ostatniej strofie tego samego wiersza, krew pędzi z „chciwością” fatalną, zaś poeta po omacku zbiera, na ślepo gromadzi cząstki swego losu – a potem jest dwukropek i konkluzja: *quiero ser*. Znowu to słowo-klucz *ser*. *Ser i estar*. Fatalizm i los.

K.R.: Proponuję trochę bardziej uporządkowany (czytelny) przekład tych kilku powyższych linijek, które napocząłeś: zgadzasz się?

A ranek cięży	Y la mañana pesa
Wibruje mi w oczach	Vibra sobre mis ojos,
Które znów ujrzą	Que volverán a ver
Tę niezwykłość: wszystko.	Lo extraordinario: todo.

I w ostatniej strofie:

Krew płynie, płynie	Corre la sangre, corre
Nieuchronnie, chciwie	Con fatal avidez.
Ja ciułam na oślep	A ciegas acumulo
Swój los: pragnę być	Cestino: quiero ser.

M.K.: Mówisz o „kwintesencji filozofii euforycznej afirmacji rzeczywistości” przez poetę. Absolutnie! Mamy do czynienia ze swoistym panteizmem. W tych wierszach fenomenologiczne, jak je określiłem, poszukiwanie przez Guilléna związku między jaźnią a światem zewnętrznym spełnia się w akcie spokojnej i nieuprzedzonej, na razie jeszcze radosnej „kontemplacji” tego, co otacza go tu i teraz, w tym unikalnym momencie, który przenosi nas do wieczności. Dla mnie fascynujące jest to, że owo poetyckie przeniesienie do wieczności, owa transpozycja partykularnego w uniwersalne, odbywa się za sprawą jakiegoś radykalnego sprowadzenia języka do słów podstawowych, do form prostych, nie mylić z „uproszczonymi”. Tak samo fundamentalne jak jego spojrzenie na niebo jest użycie przez Guilléna słowa „jestem”, słowa „być”.

Ale to właśnie, owo zakorzenienie wywodu poetyckiego w słowach wywodzących się od fundamentalnego, egzystencjalnego czasownika „być”, jest nierozdzielnie związane z językiem ojczystym Guilléna. W przekładzie na francuski Esteban, który jak mało kto lub nikt inny „czuje” oba języki, wiele musi zmieniać. Nie

tylko ze względu na strukturalne cechy obu języków, ich niekompatybilną kompatybilność, ale i – akurat przy tych słowach-kluczach – także ze względu na tradycję kultury. Choćby dlatego, że być, istnieć, egzystować, byt, istnienie, egzystencja to terminy, które przez tyle wieków obrosły konotacjami filozoficznymi. Więc tłumacz na francuski musi być świadomy rozróżnienia między *l'être* a *l'existence*, Sartre się wciąż kłania, więc przy poemacie filozoficznym bardzo trzeba się zastanawiać, czy to ma być *l'être* czy *l'existence*. No, a w polszczyźnie robi się jeszcze trudniej. Byt czy bycie czy bytowanie, istnienie, egzystencja, esencja, istota – te podstawowe terminy, rozmaicie, podkreślam: w dyskursie filozoficznym, były tłumaczone, i przekładane, z różnych języków. Nie można zignorować niemieckich terminów, czy *Sein*, czy *Wesen*, do tego jeszcze uwzględniając warianty w rodzaju heideggerowskiego *Dasein*. A cofając się od Hegla do Augustyna, Marka Aureliusza, Platona – słownik filozoficzny to czasami nieforemna masa, gdzie, nie tylko w polszczyźnie, lepią się z sobą przeciwieństwa, mieszają istoty i istnienia.

Ale wracając do konkretnego, zanim oderwiemy się od Guilléna – pytanie do ciebie jako znawczyni (i wydawczyni) poezji języka hiszpańskiego. Jak scharakteryzowałabyś pracę nad jego tekstami, co w nich cię fascynuje, w czym jest unikalny?

K.R.: Wiersze Guilléna z *Cántico* przekładałam i publikowałam w „Literaturze na Świecie”, gdzie wówczas byłam zatrudniona jako redaktor, prawie czterdzieści lat temu! Do tamtych siedmiu, chyba siedmiu tekstów doszły teraz dwa, przetłumaczone na świeżo dla „Kwartalnika Artystycznego”. Zafascynowała mnie już wtedy, na początku lat osiemdziesiątych, niebywale jasna, wręcz ekstatyczna tonacja tych tekstów: żaden z poetów hiszpańskich, czy francuskich, nie wspominając o polskich, tak nie pisał! Nie żądał dla siebie i innych tak kategorycznego zakorzenienia w bycie, nie czerpał z niego takiej radości! To była radość z budowania duchowej wspólnoty. „Nie ma samotności. Światło między nami. Wasz jestem” – oznajmiał w króciutkim tekście *Afirmacja*. W innym wierszu z tamtego czasu, w moim przekładzie, *Muzyka, tylko muzyka*, Guillén pisał w uniesieniu: „Duch przebrał miarę. / Mieszkamy w zachwycie. / Nieśmiertelność jest życiem / Dotrzymanym”. Przy tym, ta imponująca zwięzłość, oszczędność w słowach, niesamowita dyscyplina formalna! Ale praca nad przekładaniem tych wierszy była i jest niewyobrażalnym trudem. Ich tworzywo jest z kamienia niepoddającego się obróbce, a ten kamień ma latać i śpiewać! Nie znam ostatnich tomów poezji Guilléna, tych pisanych już po wojnie domowej i emigracji.

M.K.: Co ci się lepiej przekłada? Co ci bardziej „leży”, poezja hiszpańska czy poezja francuska? Pytanie w stylu: Kogo bardziej kochasz? Mamusię czy tatusia?

(śmiech). A tak poważnie(j), wiem, że to zależy od bardzo wielu czynników, ale generalnie, do czego (którego języka) wyrывa się twoja dusza translatorska, (a w nim) ku czemu ciąży, ku czemu chce się wznosić?

K.R.: Od pewnego momentu, od kiedy miałam okazję zanurzyć się głębiej w języku hiszpańskim i w obszarach poezji, którą przynosił ten język, czyli od moich dwóch długich, dziesięciomiesięcznych pobytów stypendialnych w Meksyku, w latach 1974–1975 i 1977–1978, moja dusza poetycka – bo to ona przede wszystkim dokonywała tam odkryć, nawet jeśli zaczynała od eksploracji strony prozy – skłaniała się coraz bardziej ku poezji języka hiszpańskiego. A byłam przecież iberystką „samozwącną”! – jak zwykłam siebie określać, bo przecież nie miałam za sobą formalnych studiów iberystycznych. A doszło do tego, że Universidad Autónoma de México wydała w czasie mojego drugiego pobytu stypendialnego w tym mieście – Meksce artystów, którzy znaleźli w nim parasol ochronny i atmosferę sprzyjającą twórczości, moją szczupłą, ale ważną antologię współczesnej poezji polskiej. Początkowo broniłam się ile sił przed propozycją zaprezentowania bodaj kilku wybranych wierszy ważnych dla mnie współczesnych poetów polskich. Argument był, zdawało mi się, nie do odparcia: przecież hiszpański nie jest moim językiem! Jednak presja i zaciekawienie drugiej strony – kilku wybitnych poetów meksykańskich, z których co najmniej jeden czytał poezję Herberta w przekładach na angielski, były tak wielkie, że zgodziłam się skorzystać z ich pomocy, w charakterze moich konsultantów. Wybrałam i przełożyłam, dzięki takiemu językowemu wsparciu i serdecznej przyjaźni moich konsultantów – wspaniałych poetów, niestety już dziś nieżyjących – wiersze Juliana Przybosa, Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, Stanisława Grochowiaka i – trzymaj się mocno! – Mirowa Białoszewskiego, tego z wczesnego etapu, jeszcze jakoś do przeprowadzenia w obcojęzyczny żywioł hiszpańszczyzny. Towarzyszyły tym przekładom moje *Noty o poetach*, pisane bezpośrednio po hiszpańsku. Książka czy książeczka – bo nieduża – miała sto tysięcy egzemplarzy nakładu, adresowanych do studentów nauk humanistycznych na całym kontynencie, z wyjątkiem Brazylii! Ta publikacja przetrwała mi ścieżki do dalszych „wyczynów” translatorsko-eseistycznych: pokazałam Meksykanom poezję Peipera, fantastycznie brzmiącą po hiszpańsku, Bienkowskiego, ze dwa, trzy wiersze Karpowicza, którym w tym czasie się bardzo interesowałam i cały blok poetów Nowej Fali: Zagajewskiego, Kornhausera, Karaska, Markiewicza, Szarugi. Osobną prezentację miał Wojacek i Barbara Sadowska, z którą się wówczas przyjaźniłam. Tej poezji towarzyszyły eseje krytyczne. Zainteresowanie młodych pisarzy i poetów meksykańskich było bardzo duże; to ja byłam osobą egzotyczną na tym gruncie. Palacio de Bellas Artes – odpowiednik naszego Ministerstwa

Kultury organizował warsztaty – jak dziś powiedzielibyśmy – kreatywnego pisania, które prowadziłam, opowiadając uczestnikom do późnej nocy w różnych miastach, do których mnie wysyłano, jak i co się w Polsce pisze, a czego nie Lzia (w tamtym czasie). Pisałam także wiersze po hiszpańsku (ostały się z tego może dwa lub trzy). Brałam udział we wspólnych wieczorach, tak wielką miałam wówczas potrzebę dzielenia się, choć byłam pisklęciem wyklutym z obcego, kukułczego jaja... To był czas! Zaprowadził mnie na międzynarodowe festiwale poezji w Nikaragui, na Kubie, w Argentynie, w Kolumbii i na łamy tamtejszych pism... Poznawałam tam latyno-amerykańską, europejską, japońską i inną elitę literacką, sama także dawałam się poznać, dostawałam mnóstwo książek, wśród których przebierałam po powrocie do domu. Wciąż jeszcze odkrywam przeoczone skarby... Przeceniam, nie doceniam, odchodzę...

A zaczęło się od Francji i Hiszpanii. Ale to Ameryka Łacińska i jej poezja przyćmiła z czasem Francję, choć poezja francuska była moim pierwszym wyborem. Długo trwało „przesiewanie” poetów francuskich, krystalizowanie się kryteriów wyboru wierszy do ewentualnego przetłumaczenia, akceptacja pasowała się z finalnym odrzuceniem, niemal w ostatniej chwili zmieniła mi się koncepcja całego tomu przygotowywanej przez dobrych parę lat antologii, gdy dojrzywałam do zobaczenia w eksperymencie *proèmes* Ponge’a, już przecież jakoś znanego, tłumaczonego – i to przez Miłosza!, także przez Jacka Trznadla – ojca wywrotowego nurtu w poezji francuskiej, zbuntowanego przeciw „ojcostwu” Mallarmégo... W końcu tak się jakoś ułożyło, że z literatury francuskiej tłumaczyłam przede wszystkim prozę, a z hiszpańskojęzycznej – poezję, która do tej pory nie zaprzepaściła więzi z naturą, kosmosem, historią, folklorem, imponując swobodą i rozmachem, a do tego – doskonałą znajomością kultury europejskiej, której czuje się pełnoprawną dziedziczką... Dotyczy to także rewaloryzacji twórczości rdzennych narodów Ameryki Łacińskiej, z którą miałam okazję się zetknąć choćby ostatnio w Kolumbii, podczas Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Medellin. Poznałam tam osobiście znakomitego poetę, to Juan Manuel Roca, którego wiersze prezentowałam już także w „Kwartalniku”, w „Odrze”, w „Wyspie”. Jest szansa, że przedstawię tę twórczość szerzej w przyszłym roku, w edycji książkowej...

M.K.: Wnoszę z tego, co powiedziałaś, choć tego nie powiedziałaś, że sercem jesteś po stronie iberyjskiej. I że jakbyś miała wybrać na bezludną wyspę albo francuski, albo hiszpański, na stałym lądzie zostałby francuski. Ale gdybyś na niej została z francuskim, to choć *gros* twojego dorobku stanowi poezja, nie miałaś trwogi zmierzyć się z prozą, na gigantyczną skalę. Wyobrażam sobie, że restytucja

„utraczonego” czasu wymagała zupełnie innego planu dnia pracy niż przekłady liryki. Że Ponge to było małe piwo w porównaniu z Proustem.

K.R.: Oczywiście, praca nad Proustem przysparzała problemów diametralnie innych. Po pierwsze, to jest proza, ale bardzo specyficzna, zbudowana ze zdań, które się nie kończą, jej płynność usprawniają przecinki, średniki, myślniki. Boy – pierwszy i długo jedyny tłumacz Prousta – tej struktury nie respektował, obawiając się, że czytelnik zagubi się w tym gąszczu, nie zechce lub nie potrafi podążać za tak wymagającym autorem. Traktował *A la recherche du temps perdu* jako postbalszakowską, realistyczną w sumie powieść psychologiczną, której tłumacz miał postawić na zrozumiałość. Ja, z perspektywy przeszło osiemdziesięciu lat, dzielących ukazanie się nowego, mojego przekładu pierwszego tomu *Poszukiwania* od tłumaczenia Boya, pokusiłam się o odwzorowanie struktury narracji w tekście Prousta, rezygnując przy tym z licznych anachronizmów językowych i stylistycznych w tekście przekładu najbardziej ambitnego i wszechstronnego tłumacza w tamtym czasie. To było prawdziwe wyzwanie, trzeba było nieźle kombinować, porównywać, a także... ryzykować!

Nowy przekład, po tylu latach powielania, wręcz lansowania tego jedyne go istniejącego, wywołał u jednych czytelników duży aplauz, u innych falę ataków ze strony niezłomnych zwolenników „starego” tłumaczenia. Śledziłam to wszystko w internecie. Polemizowałam także – w „Literaturze na Świecie” – z wybitnym krytykiem przekładu, a obecnie także tłumaczem czwartego tomu siedmioksiągu Prousta, na temat stosunku do przekładu Boya...

Chodziło mi też o to, by dopuścić do głosu poetycki wymiar prozy Prousta, zgodnie z intencjami jego samego wyrażonymi wcześniej, w niedokończonyj, jawnie autobiograficznej powieści *Jean Santeuil*: autor wyrażał tam pragnienie bycia przede wszystkim poetą. Opisy misteriów zachodzących w przyrodzie, te kwitnące głogi, owocujące jabłonie i inne cudowności, to wszystko było już gotowe do spożytkowania w *Poszukiwaniu*, niemal skatalogowane w *Jeanie Santeuil*! Toteż rozmyślnie poszłam tym tropem, wskazanym przez samego Prousta.

M.K.: Samuel Beckett, człowiek niezmiernie uprzejmy dla czytelników, tych, którzy go gloryfikowali na równi z tymi, co odsądza li go od czci, usłyszawszy od kogoś z tej pierwszej kategorii: „Mistrzu, przeczytałem wszystko, co pan napisał”, skonstatował: „Musi pan być bardzo zmęczony”. Wyobrażam sobie, że przekład Prousta to nie był relaks.

K.R.: Pytasz o rolę wysiłku fizycznego przy tłumaczeniu *W stronę Swanna*. Po wiem więcej: to był ogromny wysiłek psychofizyczny, a chwilami – syzyfowa praca! Bo co z tego, że chciałam wprowadzić jakąś systematyczność w zmaganiu się z ilością stron, że – dajmy na to – zaplanowałam sobie na następny dzień, nawet czytałam dwie, trzy strony oryginału zapisanego malutką czcionką w edycji Plejady, kiedy efekt finalny – tłumaczenie – był nie do zaakceptowania! Zrozumiałam w końcu, że muszę zasiadać do pracy... w stanie natchnienia. Może zabrzmiało to pretenjonalnie, ale taka była prawda. Musiałam być w miarę wypoczęta, gotowa do lotu poza granice czy nawet możliwości mojego języka, mojej ekspresji! Czasem pomagało odprężenie w czasie słuchania muzyki, dłuższy spacer nad brzegami Rodanu czy malowniczymi uliczkami starego Arles na południu Francji, gdzie najlepiej pracowało mi się nad tłumaczeniem *W stronę Swanna* w trakcie części trzymiesięcznego pobytu stypendialnego we Francji w roku 2013...

M.K.: Kiedy przygotowywałaś Prousta, linearnie posuwając się do przodu, wyobrażam sobie, że ważne było, by jakieś charakterystyczne zdanie czy fraza z końca powieści były przetłumaczone tak, jak już przetłumaczyłaś jakieś podobne na początku tekstu. Ale jak to ogarnąć? Ja, tłumacząc prozę Thomasa Bernharda, wpadałam czasem w panikę. Przy jednej powieści, *Korekcie*, to było kilkaset stron po części maniakalnego powtarzania, sporządziłam sobie coś w rodzaju bazy danych, listę słów i zwrotów, którymi Bernhard uporczywie obracał w oryginale – i używał z wielką dozą idiosynkrazji. Komputer niby miał pomóc, ale prześlizgiwanie się oddzielnie po obu tekstach wcale nie okazało się owocne, najczęściej pozostawałam przy dokonanym już wyborze, często bez konsekwencji, ale konsekwentnie ze świadomością, że sprawdziłam. I że wyjąłem sobie parę tygodni z życiorysu. Czy jesteś przy dłuższych przekładach nowoczesna? Z techniką jesteś za pan brat? Do jakiego stopnia?

K.R.: Tak, oczywiście, były takie problemy z koniecznością powtórzeń takich samych czy podobnych fraz, sytuacji, na przykład przy kilkakrotnym pojawianiu się *la petite phrase*, wprawiającej w uniesienie Swanna, czy w trakcie obserwacji przez niego za szczupłej – według jego kanonów estetycznych – twarzy Odetty. Ale nie sporządzałam bazy danych, ani listy słów i zwrotów. Głowiłam się, czasem w poczuciu porażki, nad jakimś jednym słowem, użytym przez Prousta, które w moim odczuciu wręcz zadziwiająco nie pasowało do charakterystyki postaci, w tym wypadku postaci Swanna – *mufferie*, a które Boy tłumaczył uparcie jako „chamstwo”...

W stronę Swanna to był najdłuższy przekład, także w sensie czasu trwania pracy nad nim. Zawieszony ciągnął się, z jedenastoletnią przerwą na poetyckie podróże,

prawie przez dwadzieścia lat! Ciężki był powrót do tej żmudy po takim upływie czasu, ale wiedziałam, że musi nastąpić. Pracowałam od razu na komputerze, to było nieporównywalne z pisanem na maszynie; mogłam natychmiast widzieć tekst i poprawiać.

M.K.: Pamiętam, w latach osiemdziesiątych na Zachodzie zaczęły się spory, czy w sztuce słowa powinno się używać zdobyczy techniki, które rzekomo redukowały rolę geniuszu poetyckiego w kreacji artystycznej. Takim zagrożeniem było użycie komputera. Niemieckie media zapytały o to G.M. Marqueza. Odpowiedź była jednoznaczna. Komputer oszczędza mi sześćdziesiąt procent czasu przy „kreacji” tekstu. Przy tłumaczeniu na inny język jest to jeszcze więcej. Marquez przestał wtedy pisać na maszynie.

K.R.: Często jednak, gdy zdanie Prousta obfitowało w zbyt wiele meandrów i trudno było ustalić na pierwszy, czy drugi rzut oka, co bardziej, a co mniej ważne, jaki synonim, szyk wybrać, zapisywałam różne wersje na kartce. Wiersze jednak, tak jak przekłady poezji, zapisuję w specjalnym notesie, w którym dobrze jest widzieć nawarstwiające się skreślenia. (Różewicz swoje pokreślone wersje wierszy publikował!) Dopiero kiedy wiersz – własny, czy cudzy – „się odleży”, dłużej czy krócej, przenoszę go na komputer. Z kolei recenzje, czy dłuższe formy krytyczne także powstają na klawiaturze i na monitorze komputera. Zdarza się, że dopisuję coś na boku i zostawiam tam na jakiś czas, zanim zdecyduję się: włączyć czy wyrzucić.

M.K.: Czyli wersja hybrydowa.

K.R.: Z techniką nie jestem za pan brat. Na tym polu ciągle coś mnie niemile zaskakuje, z czym nie mogę, choć zawsze próbuję sobie poradzić. Musiałam w końcu pogodzić się z tym, że takie incydenty będą się zdarzać i że czasem będę potrzebować w tych sprawach pomocy.

M.K.: Czy w okolicach twoich „półokrągłych” urodzin, mógłbym zapytać, co z własnego dorobku najbardziej cenisz?

K.R.: Nie do mnie w sumie należy ocena osiągnięć w mojej twórczości, czy słabych stron... W czym jestem lepsza, a w czym gorsza. Moje autooceny mogą się różnić, i na pewno różnią się od ocen czytelników czy słuchaczy. Zauważyłam, że ci pierwsi pamiętają, czy też wyróżniają w mojej poezji erotyki, z wczesnych etapów mojego poezjowania, a ja erotyków już od dawna nie piszę.

Co ja sama w moim dorobku najbardziej cenię? Z poezji – chyba niewydany osobno, czego żałuję, tomik *Miejsce na feniksa*, na który złożyły się dwa cykle wierszy *Tam i z powrotem* i *Środki czyszczące*, pisane w latach 2003–2011; włączyłam go

do wyboru *Wiersze przesiane*, wydanego w roku 2012. W pierwszym z tych cykli jest sporo akcentów autobiograficznych, choćby proza poetycka *Pochować Dziadka*, z napisaniem której długo się nosiłam; rzadko czytam ten tekst, bardzo osobisty, na spotkaniach autorskich.

Z przekładów poetyckich – cenię niezmiennie wspaniałą, prekursorsko barokową lirykę miłosną portugalskiego poety z XVI wieku, Luisa Camoesa, w moim dawnym już przekładzie, przedrukowanym w ostatnio wydanych *Cudzych moich wierszach* (z lat 1968–2020), przekłady niektórych poetów hiszpańskich i meksykańskich. Bo nie będę tu mówić o „dorobku”, wciąż jeszcze niewydanym, moich tekstów krytycznych, których sporo się uzbierało i wciąż przyrasta, w ciągu wielu lat pisania o twórczości innych; a są to teksty bardzo różnorodne, pod względem formalnym.

M.K.: Zamykając tę rozmowę, otworzymy nowy wątek. Dałaś się namówić (przez Redakcję!) na kolejną polską wersję poezji Becketta. Wątek poezji hispano-francuskiej zostanie uzupełniony dwujęzyczną poezją francusko-irlandzką. Wątkiem poezji filozoficznej, inaczej mówiąc: filozofii poezji. Jorge Guillén to filozof, który językiem i metodami poezji próbował „zaatakować”, jeśli nie rozwiązać, paradoks ludzkiego istnienia w świecie. Jego niczym niezmacona afirmacja istnienia, czy wręcz egzaltacja istnieniem, przynajmniej w najoczywistszej interpretacji, uległa dość pesymistycznej korekcie w twórczości Claude’a Estebana. Zdolnej do zachwytu, ale, jak zauważyłaś, w tonacji katastroficznej. „Enigmatyczność” i „hermetyczność” jego wierszy stanowi spore wyzwanie dla tłumacza, dodatkowo wystawionego na próbę faktem zakorzenienia poety francuskiego we wrażliwości raczej sprzecznej z „duchem” poezji francuskiej wrażliwości, cechującej lirykę hiszpańską. *Exit Esteban*. Teraz na naszym celowniku pojawia się inny autor dwujęzyczny, piszący po francusku. Samuela Becketta nie trzeba wprowadzać na łamy „Kwartalnika Artystycznego”. Irlandzki pesymista był obecny w naszym piśmie od pierwszego numeru. *Poeta doctus*, wielki erudyta, który nie chciał afiszować się własną erudycją do tego stopnia, że pozornym anty-dramatem *Czekając na Godota* zmylił sporą część krytyków – ci głusi na metafizyczny wymiar jego twórczości wzięli tę sztukę za burzenie tradycji i policzek wymierzony racjonalności. Wiersze Becketta są często jeszcze bardziej hermetyczne niż Estebana. I jak u Estebana, w jego poezji pisanej po francusku czuło się obecność języka obcego. Anglo-irlandzki przychylił się z tyłu. Na tych łamach z zawiłą i prostą poezją Becketta zmierzyła się przed dwunastu laty Julia Hartwig. Teraz również ty dałaś się na to namówić. Efektem są przekłady w tym numerze. Wypadałoby o tym porozmawiać. Najpierw jednak dajmy Czytelnikowi szansę nieuprzedzonego pochylenia się nad tekstami Becketta.

SAMUEL BECKETT

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

chciałbym żeby moja miłość umarła
żeby deszcz padał na cmentarz
i uliczki po których chodzę
opłakując tę której zdawało się że mnie kocha

przychodzą
inne i podobne
z każdą jest inaczej i podobnie
z każdą brak miłości jest inny
z każdą brak miłości jest podobny

co zrobiłbym bez tego świata bez twarzy bez pytań
gdzie byt trwa chwilę gdzie każda chwila
przechodzi w pustkę w niepamięć o tym że się było
bez tej fali w której ostatecznie
ciało i cień pograżają się razem
co zrobiłbym bez tej ciszy otchłani szeptów
zdyszanych wzywających szaleńczo pomocy miłości
bez tego nieba co się wznosi
nad pyłem ze swego balastu

co zrobiłbym zrobiłbym tak jak wczoraj jak dzisiaj
gdy wyglądam przez bulaj czy tylko ja sam
błądzą i krążę z dala od wszelkiego życia
w przestrzeni na uwięzi
bez głosu pośród głosów
wtrąconych w głąb wraz ze mną

i tak na próżno
czy pogoda dobra czy zła
uwięziony w sobie uwięziony w nich
jakby to było wczoraj przypominam sobie mamuta
dinotherium pierwsze pocałunki
okresy zlodowacenia w których nic nowego
wielki upał trzynastego ich ery
Kant chłodno pochylony nad dymiącą Lizboną
rozmyślać o pokoleniach dębów i zapominać o ojcu
o jego oczach czy miał wąsy
nie jadało się przez to mniej bez apetytu
uwięziony w sobie uwięziony w nich

niech żyje umarły mój jedyny sezon
białe lilie chryzantemy
żywe gniazda opuszczone
szłam liści kwietniowych
piękne dni siwe od szronu

tak tak jest taki kraj
gdzie niepamięć gdzie niepamięć ciąży
łagodnie nad nienazwanymi światami
tam głowę się wycisza głowa jest niema
i wie się nie nic się nie wie
śpiew na martwych ustach zamiera
wędruje wzdłuż brzegu
nie ma nad czym płakać

znam moją samotność nie za dobrze znam
mam czas mówię sobie mam czas
ale co to za czas wygłodniała kość pieski czas
nieustannie błędące niebo moja szczypta nieba
promień który się wspina pręgowany drżący
mikron czasów ciemności

chcecie bym przeszedł z A do B nie mogę
nie mogę wyjść jestem w krainie bez tropów
tak tak macie tam coś pięknego coś pięknego
co to jest nie zadawajcie mi już pytań
spirala pył minut czy to jest to samo
spokój miłość nienawiść spokój spokój

Mucha

między tą sceną a mną
szyba
pusta gdyby nie ona

rozpłaszczona
zakrwawione jej czarne wnętrzości
oszałałe czułki skrzydełka zlepione
zakrzywione łapki wysysając pustkę
kalecząc błękit tłukąc w niewidzialność
pod moim bezsilnym kciukiem sprawia że wiruje
morze i niebo pogodne

muzyka obojętności
serce czas powietrze ogień piasek
ciszy osuwanie się miłości
tłumi ich głosy i niech
nie słyszę już siebie
jak milczę

pij sam
nażeraj się spalaj pieprz się zdychaj sam jak przedtem
nieobecni są martwi obecni śmierdzą
wytęż wzrok i popatrz na trzciny
czy się droczą ze sobą
albo na wiry wodne
nie warto jest wiatr
i stan czuwania



Elzbieta Lempp

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Thorn

Wzrok, jasność, mówi Mohl. Wprowadzam światło do głowy, działała coraz lepiej. I ja razem z nią. Mówię mniej i hałas jakby mnie omijają. To może z tej pustki, której chyba jest coraz więcej, w środku. Ktoś mną działa. Kto? Nie ja, ale ktoś kto jest we mnie. Widzę swoje winy, zaniechania i widzę, jak marnieją, jakby się rozpuszczały. Witam się z czymś nowym, dopasowuję się i dostosowuję do niego. O tym dawnym, co zanika, myślę bez żalu i w coraz bardziej luźnym związku, choć rzecz jasna jestem z tym powiązany, tak jak z dawnym sobą. Czy odróżniam się w tym od innych ludzi? Od niektórych tak, a od niektórych nie. Każdy kluczy na swoją modłę, choć w głównych zarysach jest to przecież podobne. Moja droga, ta która jest już za mną, ta ostatnia i ta dalsza, aż do końca. Strona, z której przychodzi i ta, w którą idę. Droga, miasto, dom, ludzie. Trzy kobiety i jakby wycofani trzej mężczyźni. Sam ze swoimi kukiełkami i słowami, utkanymi z nich historiami przenoszonymi do życia. Punkty orientacyjne? Ruiny, morze, otwarte pole, mury. Dwa święte obrazy i krzyż. Zmartwychwstanie i Boże Narodzenie w rytmie pór roku. Imieniny, urodziny, upływający czas, coraz bardziej wartki i zanieczyszczony jak rzeka. Ranne, południowe i wieczorne światło. W dolinie, wśród wież wznoszących się do nieba. To, co jest widziane i to, co jest niewidziane, wewnątrz, widziane oczami ducha. Przestrzeń zewnętrzna i przestrzeń wewnętrzna, ja, w środku. Już wiadome co i jak, tak jak na początku, ale wyraźniej, lepiej. I zaraz większe zagrożenie, pułapki złego i jego ataki. Inni ludzie i ci, którzy są razem, którzy Kochają. Ich spokój i niepokój, ich światło i cień. Czy mnie widzą? Czy jestem przez nich widziany? Czy niewidoczni są jak najbliżej mnie i w środku? Idę za nimi, idę z nimi, w jedną stronę. Raz czuję ich lepiej, raz gorzej, to bez znaczenia, bo i tak są ze mną, a ja jestem z nimi. W swoim pokoju, za ścianą i zamkniętymi drzwiami sam, z nimi i ze sobą. Bez nich są tylko słowa, wtedy jestem z nimi. Czytanie,

Fragment powieści, poprzednie ukazały się w numerach 58, 70, 75, 80, 84 i 93.

rozmyślanie, pisanie. Istota. Mocniejsze od dłoni, ramion, uścisku. Nie znikają, są przy mnie i jest mi to potrzebne, teraz już to rozumiem. Czas gra na moją korzyść, zbliża mnie do nich i jakoś coraz bardziej upodabnia. Mówię o mojej drodze, o sobie, bo to wszystko jest jedno, staje się jednością, w miłości. I znowu jestem i nie jestem, sam i nie sam, w sobie, poza sobą i tym bardziej w sobie, wolny, coraz bardziej pusty, świetlisty, jaśniej widzący sens i wyjście. Na drodze, w sobie, już mający moc, żeby być z nimi, na równi, w miłości, tej z nimi i tej większej, która jest najbliżej jak tylko może być, gdy otwieram się na nią, coraz bliżej. Połączony z nimi, w dążeniu do tej jedynej, najbliższej, nie do wyobrażenia. Jak do pustki, w tych pustych miejscach i w wydrążonym sobie, w tym pokoju, jak w kosmicznej komorze, czy jak w trumnie, pod ziemią. Widzący i słyszący, może mało, może za mało, tyle co kot napłakał, ale zawsze lepsze to niż nic, taka szczypta. Wcielając się w słowa, w ducha, a potem z siebie na zewnątrz, do siebie, do nich i dalej, na przód, przed siebie. Coraz bardziej realna droga, realna podróż, realny ja, tak jak świat, przedstawiony w związku.

Matka była jak powietrze, wszędzie, niezbędna, niewidzialna, milcząca, cicha. Teraz, gdy już wiem, dokąd zmierzam, widzę, jak jest mi pomocna i potrzebna. Może nie ma mocniejszych związków niż te pośmiertne i może nie ma większego spokoju od tego z nimi. Cel na pewno jest najważniejszy, to do niego zmierzam. Zamaskowany, odkryty, sam w sobie. Podejmujący decyzje, a potem w działaniu, ponoszący ich skutki, w roju fiasz i dokonań, dążeń, spełnień i niespełnień, zdecydowań i niezdecydowań, nie raz jak w matni, ale potem znowu na prostej i szerokiej drodze, w spokoju i w ferworze, w jednym i w drugim.

Jej milczenie było dla mnie prawdziwym bogactwem i można powiedzieć wzorem. Nie raz widziałem, jak nadmiar słów przeradzał się w ubóstwo, jakiś koszmar nie do zniesienia i nie do usprawiedliwienia. Ja raczej mówiłem za wiele i wiedziałem, że to jest za wiele, chociaż czułem, że nie mówię do końca tego, co mam do powiedzenia, co mógłbym powiedzieć, rozjaśnić i uściślić. Tak samo z pisaniem, za wiele i nie za wiele, za mało i nie dość.

Nie mogłem przecież milczeć, matka mogła, ja nie. Tym też byliśmy związani, można powiedzieć, że nierozłącznie, ta pępowina, mówienia i milczenia, nie została zerwana. Była to czuła sonda, we mnie i w niej, w nas. Była i jest, działa. Tak, potrzebowałem i potrzebuję jej, tak jak matki. Lata do siebie się przystosowywaliśmy, to był nasz główny trud, niekiedy miałem tego dosyć, ale przecież kochałem ją, to nie ulegało wątpliwości.

Mówiła mało, zawsze cicho, tak jak tego potrzebowałem i wiedziałem, że mówi prawdę. To ubóstwo bardzo mi się podobało i nigdy go nie przekroczyła, chociaż niekiedy wolałbym, żeby powiedziała więcej, tak to widzę teraz, z dystansu. U mnie niekiedy było odwrotnie, nie raz mówiłem za dużo i ciągle mi było za mało, aż zrozumiałem, że o ileż lepiej jest mówić mniej aniżeli więcej, o tak, nawet gdy miało się poczucie, że powinienem powiedzieć więcej, w każdym razie wyraźniej lub dobitniej, żeby się nie zatarło, nie zostało pominięte, przemilczane. Ale z upływem czasu dochodzę do przekonania, że i tak wiele powiedziałem niepotrzebnie, że nie wyostrzyło to przekazu, a rozmazało, w dół i na boki, zadziało na niekorzyść. Dlatego tak ważna była w tym paśmie matka, jej cichy rzadko słyszany głos, jej mówienie i milczenie. Potrzebowałem jej, zawsze kogoś potrzebowałem, ale jej w szczególny sposób, chociaż był czas, tak myślałem, że jej nie potrzebuję, że już nie jest mi do niczego potrzebna. Nie to, że staje się balastem, nigdy tak nie było, ale że jest niewidoczna i przezroczysta, jak powietrze. Nie było to stałe i trudno określić, do jakiego stopnia jej potrzebowałem, a od jakiego już nie i czy rzeczywiście tak było, nie chciałbym i teraz powiedzieć czegoś za dużo albo za mało, więc zostajmy lepiej w tym złotym środku, jakkolwiek by nie był. Jej trud polegał na tym, że przystosowywała się do mnie, a mój na tym, że przystosowywałem się do niej i dobrze byłoby, gdyby to na dobre nam wychodziło.

Tak, niejedno zostało przemilczane i chyba niejedno powiedziane za dużo, ale kto to wie w zmieniających się widokach, w upływającym jak wartka rzeka czasie, który podkreca nurt, wibruje wiry i niesie niekiedy co popadnie. W każdym razie nigdy nie miałem jej dosyć, a ona mnie. Była jak królowa czy królowna, trudno to jednoznacznie określić. Żyła ascetycznie i nie tęskniła za innym życiem. Czy była czuła, gotowa na miłość? Wewnętrznie na pewno tak. W każdym razie zawsze mogłem na nią liczyć.

Obserwowała mnie, widziała moją drogę i wiedziała, że posuwam się na przód. Wiedziała też, że powinienem być we właściwym mieście i we właściwym miejscu. Niekiedy to się zaburzało, choć może tylko z mojej strony i dotyczyło nas. Była obecna tam, gdzie ja, chociaż niekiedy na antypodach, takie miało się wrażenie. Nie raz myślałem, że wiele wspólnego miała z tymi ruinami, na których skraju mnie urodziła, że wręcz nimi była, na skraju i potem w głąb i wszcz, bo to było miejsce bez planu, nieokreślone, a przynajmniej nie określone dokładnie.

Jej tworzywo, jej życie to były ruiny, coś na ich kształt czy wzór i trzeba było być budowniczym wyłomów, żeby w nim i w niej się poruszać, a tym bardziej posuwać naprzód.

Może łatwiej byłoby mówić o niej, mówiąc, czym nie była, jeszcze tego nie próbowałem.

W każdym razie te ruiny były znakiem potężnego zamku, pomieszaniem czegoś wielkiego i rozbitego czy upadłego połączonych z materią i duchem, sprawami wiecznymi i ziemskimi, a więc boskimi i ludzkimi. Jest w nich tak jak i w niej jakaś tajemnica, ale nie wiem jaka. Nie sprawia mi przykrości bycie od nich tak jak i od niej z daleka, ale gdy trwa to dłużej, raz krócej, raz dłużej, różnie to bywa, to jakaś siła mnie do nich ciągnie, jakaś moc, do nich i do niej, i zaczynam za nimi tęsknić, pragnąc ich widoku, zbliżenia się do nich, wejścia w ich obręb. I jestem spokojny, gdy jest to możliwe, możliwie w jak najkrótszym czasie, w dłuższym lub krótszym, ale w zasięgu, w miarę moich chęci, zmiennych i stałych, mniejszych lub większych, z trudem lub bez trudu, z mozołem lub bez mozołu, z radością lub bez niej, a nawet bez przyjemności, to mi wystarcza. W nich jest moja jasność, pion i stałość, w tym rumowisku i w niej. To mój świat: ruiny, matka i niebo nad głową, mój koniec i początek, trudno jest odróżnić jeden od drugiego. Dlatego moja głowa jest spokojna, głowa i serce. Zapamiętałem sobie dobrze, że i tak wszystko odbywa się za sprawą Ducha Świętego i coraz bardziej jestem tego pewny. Przecież chęć zobaczenia się z nią i chęć niewidzenia jej to nie były moje decyzje, przychodziły z zewnątrz i zamieszkiwały lub nie we mnie, w moim wnętrzu.

Czy gdybym myślał i czuł na opak, miałyby to większy sens? Nie, moim zdaniem żadnego, stwierdzam to z pełnym przekonaniem. Próbowałem tego nie raz, widziałem nie raz u innych i za każdym razem fiasko, fiasko i krach, i to nie były złudzenia, tak jak złudzeniem nie są te ruiny, matka i tym bardziej lub tym mniej ja, we własnej osobie. Nie wynikało to z lenistwa lub spokoju duszy, z braku trosk czy ułudnego zadowolenia, wręcz przeciwnie. Stoicy i sceptycy to nie było moje towarzystwo.

Tak, to stało się we mnie, ta decyzja, za sprawą Thorna, iść do matki, zawrócić, wrócić i iść do niej, chociaż nie byłem pewny po co. Kiedyś nazywałem ją mamunią, co za śmieszne zdrobnienie, teraz nazywam ją matką, rzadko mamą lub mamusią. Świat kręci się wokół swojej osi, ja Mohl wokół swojej, chociaż tego wcale nie jestem pewny. Serce bije miarowo, głowę mam spokojną i duch jest

ukojony, jakbym spoczywał w ciszy na czyimś ramieniu, mocnym i bliskim, najmocniejszym i najbliższym.

Gdzie byłem, zanim znalazłem się w jej łonie, w tym saku, w którym byłem złożony, w jakich otchłaniach czy odmętach? A może był to sześcian, sala, komnata, pokój, jakaś komora pełna światła, a może na przemian wypełniająca się to światłem, to ciemnością, choć oko wykol, promienistym blaskiem, z pragnieniem dotarcia do jego źródła. Co nim było, co lub kto? Dwa świetliste wizerunki, syn i matka, a może odwrotnie, trudno się w tym połapać. Tak jakbym w dzień widział księżyc, co stawało się nie raz, albo w nocy słońce, czego nie doświadczyłem ani razu, choć noc rytmicznie następowała po nocy, a słońce w podobnych odstępach zachodziło i wschodziło, i nie były to żadne przypadki, co najwyżej zbiegi okoliczności. Od dziecka miałem zasady i trzymałem się ich, przynajmniej starałem się, raz bardziej, raz mniej, w nasileniach lub osłabieniach ducha, bo to jednak nie tyle ciała dotyczyło, co ducha, choć rzecz jasna wiązało się z nim. Tak, byłem chrześcijaninem, z krwi i z kości, od początku, wiązało się to z przeznaczeniem i miłością, i choć potem okazywało się zawadą, to jednak było wielkim wsparciem, nie do zastąpienia. Nie znałem innych wartości, a potem tylko przekonywałem się, że nie ma od nich większych i wspanialszych. Czułem się w tym kompletny, najbardziej kompletny jakim mogłem być, w tych ruinach, w tym świetle. Nigdy nikomu niczego nie zazdrościłem, nawet przez chwilę, a tylko byłem wdzięczny, chociaż pewnie za mało, niewystarczająco. Ta miłość jest jak otchłań i niezbadane i nie do wyobrażenia są jej niezliczone możliwości, nie do wyczerpania.

W takim nastroju kierowałem się do matki, dążyłem do niej to zbliżając się, to oddalając, krążąc lub stojąc w miejscu, w natchnieniu lub bez natchnienia, w każdym razie w miłości, jeżeli rzeczywiście była to miłość. Mnie to wystarczało, raz bardziej, raz mniej, ale jednak wypełniało i wystarczało, nie miałem co do tego wątpliwości. Była moją matką, ja byłem jej jedynym synem i mimo wszystko jakoś do siebie pasowaliśmy, a nawet dopełnialiśmy się, tak, było to możliwe. Czy ona mnie rozumiała? A czy ja rozumiałem ją? Czy nadawaliśmy na tych samych falach, czy jednak byłem podłączony gdzieś wyżej, ja albo ona? A może wszystko to było bez znaczenia w świetle miłości? Mogło tak być, jeżeli wiedziało się, że miłość jest najważniejsza, na świecie i w całym kosmosie. Trzeba było mieć wielką cierpliwość. Czy ja ją miałem? Do niej, do siebie i do całego świata? Mogło tak być, ale przecież nie było zawsze i to był szkopał, długa droga. Jednoznaczne stwierdzenia, to byłoby zbyt proste, przez niejednego oczekiwane, w całym tym grzęzawisku, jakby na opak. Doskonałe, niedoskonałe, możliwe, niemożliwe, konieczne,

niekonieczne, upragnione, obojętne. To tak, jakby twierdzić, że nie można było postąpić inaczej, tak lub owak, zawsze jest jakiś wybór, a nawet wiele, pod różnymi pozorami, maskami i przebraniami, aż do skutku.

Nie, nie miałem duszy pioniera, zawsze szedłem za kimś i w ten sposób chyba najlepiej jak mogłem sunąłem za sobą, z sobą z kimś, na jego łodzi. Nie ma co nad tym się rozwodzić, jest jasne, przynajmniej dla mnie i mam nadzieję, że dla innych.

Ostatnio rzadko widywałem się z matką, od czasu wyjazdu nad morze może kilkanaście razy i to raczej na krótko, bez zbytniego zbliżenia. Prawie nie korespondowaliśmy ze sobą i rzadko rozmawialiśmy przez telefon. Raz, razem z ojcem, odwiedziła mnie w szkole morskiej, a do wojska regularnie przesyłała pisma literackie, które podtrzymywały mnie przy życiu. We wcześniejszych okresach zawsze zjawiała się w ważnych momentach, a to kierując na tenis, na leczenie jąkania, przyniosła maszynę do pisania, pierwszą jaką miałem, nie mówiąc o ciągłym czuwaniu, zza ściany lub na odległość. Karmienie i wprowadzenie w modlitwę to była sprawa babci, jej prawie absolutna domena. Tak to się rozłożyło, z pojedynczymi reakcjami ojca w kilku ważnych sprawach, które miały zasadniczy wpływ na całość. Może wtedy wolałem, żeby przebiegało to inaczej, żałowałem i zwlekałem, ale i tak nigdy nie wybierałem mniejszego zła, a dążyłem do dobra, nawet na przekór samemu sobie, na dłuższą metę nie miałem wątpliwości. Woleć coś i iść za tym na przekór sobie, dobrze, ale na krótko. Przynajmniej badałem to i zdobywałem większe rozeznanie, co było niebagatelnym doświadczeniem. Znać coś z opowieści, a znać z własnego doświadczenia to jakby dwie strony medalu.

Co mogło mnie zatrzymać w dążeniu do matki? Tylko ja sam, tak mi się wydawało, i to, co było we mnie.

Czy wiedziałem, czym jest prawdziwa miłość, czy ciągle jeszcze tego nie wiedziałem? Od dziecka byłem szczelnie nią otoczony, ale czy wiedziałem? Chyba tak, prawdopodobnie, mogłem już być na dobrej drodze, tak, miałem takie przebłyski. W ilu związkach byłem? W dwóch? W trzech? I czy rzeczywiście były to związki? Nawet nie były do siebie podobne. Czy nie głębsze miałem z kobietami, które otaczały mnie od dziecka? Z matką, z babcią, na pewno nie z siostrą. To trudne do porównania. One mi służyły, tak jak i ja służyłem w jakiś sposób im. Czy nie na tym polega miłość? Nie królowanie, ale służenie, tak, miałem takie przebłyski. Od każdej z nich odchodziłem, boleśnie i bezboleśnie, ale do domu przecież wracałem, chociaż nie raz uciekałem od niego, na kraniec świata. Czy

były w tym jakieś rachuby? Może tak, może nie, w każdym razie była to sprawa serca, głównie serca, a także ducha. Słyszałem ten głos w sobie, nieraz szept czy głosik, który mówił, ruszaj się Mohl, ruszaj w świat, nic tu po tobie, masz wszystko, czego ci potrzeba, nie zasypiaj gruszek w popiele, coś w tym rodzaju. Z początku nie przywiązywałem do tego wagi, różne głosy słyszałem w sobie, szepty, szmery, szczałki, ale nauczyłem się je rozdzielać, rozdzielać i różnicować, wsłuchiwałem się w nie, łączyłem ze sobą, swoim życiem i to zaczęło zmieniać moją świadomość i ducha. Nie od razu wszystko rozumiałem, ale chłonałem i wprowadzałem w siebie, ostrożnie, stopniowo, w próbach, dążeniach i usiłowaniach, nieraz żmudnych i bezowocnych, ale, co tu dużo mówić, czynionych uporczywie i namiętnie, tak, u mnie to się nie wykluczało, teraz o tym myślę nawet z sympatią. Nawet jeżeli było to na opak lub wbrew przyjętym przypuszczeniom, to jednak tak to się działo, w przybliżeniu. Niektóre odejścia były ostateczne, niektóre nie, zdarzały się próby powrotu, te z domu nie były ostateczne, zawsze z możliwością powrotu, z bramami otwartymi na oścież i z kluczem w kieszeni. Tak jak odejście z tego świata, przecież nie na przepadłe. Byłem w moim mieście i nie zamierzałem oddalać się od niego na zawsze, coś w rodzaju *apokatastasis*, a nawet więcej. Nie mówię, że nie było w nim ślepych uliczek, była niejedna i nie raz w nie się zapędzałem, ale zawsze jak dotąd z nich wychodziłem, nie mogę powiedzieć, że tylko własnymi siłami. Wychodziłem z nich, na wiatr i od razu lub prawie od razu wiedziałem, gdzie jestem. Coraz lepiej znałem swoje miasto, zagłębiałem się w nie codziennie i kto wie, czy nie tyle z animuszem, co z coraz większą uwagą i spokojem, było to coś nowego. Coraz mniej byłem pewny, że człowiek jest miarą wszystkiego, choć wcale nie wydawało mi się to nieprawdziwe, a tym bardziej głupie, bez uzupełnienia rzecz jasna, bez dalszego ciągu.

Mohl lubił dociekania, swoje i innych, nie raz za nimi podążał, krok w krok, lubił dążyć w towarzystwie, tych dociekających i tych milczących, raz jednych, raz drugich, a także jednych i drugich razem, ale ciągle jeszcze bardziej tych pierwszych, coraz staranniejsz dobieranych, w miarę możliwości. Jak trafił na kogoś ciekawego, to lokował się obok niego, przynajmniej na jakiś czas, w zależności od stanu ducha. Najpierw interesowali go ci, którzy prowadzili w nowe regiony i zapuszczał się w nie z nimi z ochotą. Fascynowało go to, te nowe odkrycia i możliwości, obserwacje, spostrzeżenia, a nawet niebezpieczeństwa. Widział sprytnie pozastawiane pułapki i potrzaski, których inni nie dostrzegali tak wyraźnie, chciał je widzieć i mógł widzieć, nie to co inni. Można powiedzieć, że kierowały go one we właściwą stronę, nie na manowce. I wtedy zajmowali go ci, którzy kierowali

w stare, dobrze mu znane rejony, w których poruszał się od dziecka, zagłębiał się w nie z pasją i z radością, krok po kroku, tak to stopniowo następowało, odzyskiwał spokój ducha, spokój i moc. Stawał się bardziej wyrozumiały, cierpliwy i czuły, a to już było dużo, jak na niego, na pewno nie do pogardzenia, z czego coraz lepiej zdawał sprawę. Nie to, że pozbywał się trosk, co to, to nie, do starych dochodziły nowe, w jakiegokolwiek rejonie by się nie kierował, przeskakiwał od jednych do drugich, wzmacniając je w ten sposób lub osłabiając, zależało to od okoliczności, a także jeżeli nie przede wszystkim od stanu ducha, który jak powiedziano, odzyskiwał spokój i moc, czego doświadczał codziennie. I niepotrzebne mu były żadne dowody, wystarczyło to, co słyszał i widział, coraz bardziej w swoich miejscach, które były w jego mieście. Po to mówił. Czy nie na próżno? Widzimy to i słyszymy, w miarę posuwania się do przodu, z coraz większą uwagą, do której spokój i moc są potrzebne.

Spotkanie z matką, to teraz było przed nim i Mohl dobrze zdawał z tego sprawę. Zależało mu na tym, bo jakby całe jego życie od tego zależało, tak to zobaczył, tak odczuł i tak rozumiał, lepiej późno niż wcale. Rysowało się coraz wyraźniej w jego głowie, w sercu i w duchu, stawało się wierzchołkiem jego życia, szczytem, na który wstępował, do którego dążył jakby od początku i który zderminuje koniec, jego koniec, choć nie tylko jego. I była presja czasu, bez odwrotu, każdego dnia mogło być już za późno, nieodwołalnie i ostatecznie, i to coraz mocniej do niego docierało, chociaż ciągle jeszcze było z zewnątrz.

Widział prowadzące go światło, słabą smużkę, i tym bardziej trzymał się jej, wydawało się, że z coraz większym oddaniem. Niebo rozsnuwało się nad nim, jakby odsłaniało się, choć zaraz nadciągały chmury i zasłaniały, lepiej lub gorzej, z prześwitami. I działało słońce, promienie biegnęły z góry, wzbijały się i spadały, rozświetlając tu i ówdzie w nim i na zewnątrz niego lub najpierw na zewnątrz niego, a następnie w nim. Pamiętał to od dziecka i czuł się w tym jak ryba w wodzie.

Nie idąc w stronę matki, uciekając od niej, myślał, szedłem do niej, dążyłem w jej stronę, w jakimkolwiek kierunku nie szedłbym, to i tak nie oddalałem się, co najwyżej krążyłem, chodziłem w kółko lub tam i z powrotem, pod sklepieniem nieba, w ciemności lub w jasności, w świetle, jakiegokolwiek by nie było i z głosem, który mnie nie opuszczał, nie zanikał i nie zagłuszał się, w tej kakofonii. Zawsze to samo, droga, niebo, światło i głos, dokądkolwiek bym się nie kierował, cokolwiek bym zamierzał, jakkolwiek bym nie błędził. W moim regionie, w moim rejonie czy gdzieś daleko od nich, na krańcach świata. Dobrze wiedziałem, gdzie jest moja

strona i gdzie jest matka, choć byłyby za siedmioma górami i siedmioma lasami, zatarte przez czas i przestrzeń, to niemożliwe. Zresztą co to znaczy region, a tym bardziej rejon? To tylko gniazdo, łono, z którego startuje się w kosmos. Świat i wszechświat przecież stapiają się ze sobą, łączą się i stapiają, najpierw ostrożnie, a potem coraz mocniej i ściślej, zawile i prosto tak, że niemożliwe są do rozgraniczenia, a tym bardziej rozdzielania, w tym samym niebie, jednej przestrzeni, która rozciąga się w gdzieś jakoś przecież zakończonej nieskończoności, pod gwiazdami, wśród czarnych dziur czy w najczystszej z możliwych światle, którego tu nigdy nie zobaczymy, chyba że w marzeniach. Judea, Egipt, Galilea – jakie to ma znaczenie? Mogę leżeć uwięziony w celi lub przykuty do łóżka i być na krańcach wszechświata, poza ziemią i tym, co nazywamy światem. Jest tak, gdy jestem w sprawie, w tej sprawie, w naturalny i rzeczywisty sposób, bez tych wszystkich min i przebieranek, dzień po dniu, noc po nocy. Jeżeli w tym rzeczywiście jesteś, to już nigdy z tego się nie wydostaniesz, bo identyfikujesz się z tym i stapiasz, jak twój rejon i region ze światem i wszechświatem w wielkiej sieci związków, przenikań i połączeń. Gdziekolwiek byś nie był, zawsze będziesz sobą, z nim i w nim, nie do rozdzielania. Są to proste myśli, prosta wiara i zwykłe doświadczenia, cudowniejsze od rozstąpienia się morza czy chodzenia po wodzie. Tak myślało, wierzyło i żyło wielu, miliony, miliardy, biliony i biliardy, a przez wieki tysiąclecia sekstyliony, oktyliony czy nawet noniliony, kto by to zliczył. Tak jak ruch w spoczynku i spoczynek w ruchu, jakkolwiek by się nie wykluczało, najpierw ruch, a potem spoczynek lub odwrotnie, jedno w drugim.

Posuwał się w stronę matki, z Nowego Miasta w kierunku Mokrego, na tyły Rybiego Rynku, pod numer czterdzieści cztery. Dobrze znał tę drogę, chodził nią wiele razy, do szkoły, do Świętej Katarzyny czy w stronę Starego Miasta i z powrotem, mając za plecami wieże, niezmiennie te same i tkwiące w tych samych miejscach, widziane zależnie od poruszania się, zmiany perspektywy. Najwspanialszy widok był od strony rzeki, ale wieże były ciągle te same, wieże i mury. Mohl kochał to miasto i ciągle do niego wracał, jakby po coś nowego. Znał je na wylot, także jego pułapki, i otwierał się na nie. Było przychylnie jak kolebka, dniami i nocami chroniąca go i kojąca, poruszana z miłości i on poruszający się w niej, w prawo i w lewo, wyciągany do góry i kładziony w dół, troskliwie, delikatnie, z czułością. I na zewnątrz te stare mury, w ruinie, z resztkami bram, z aniołem z rozpostartymi skrzydłami na szczycie. Sam stawał się nimi, z dnia na dzień i z nocy na noc, z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc, z roku na rok i z dekady na dekadę, konsekwentnie, w takim toku, w cyklu. Rzecz jasna przemieszany z innymi miastami

i miejscami, tak jak był przemieszany z innymi ludźmi, słowami i frazami, przepleciony z nimi, jakby występujący na przemian, przemieniany i przemieniający się, w tym toku, w cyklu. W swoim regionie, jak w klatce i jak w otchłani, wyzwolony. Na przepadłe i nie na przepadłe, w kole lub po spirali, do góry, w dół i znowu do góry, z uporem i z kretesem, z nadzieją i widokami na przyszłość, jak w łodzi na wzburzonym morzu i na pod niebo idącej równinie, między skałami i na pustym świetlistym lub czarnym jak smoła szlaku. Mohl, przywracający sobie życie według słów innych i tak wynikających z jednego.

Wołałem i zostałem wysłuchany, myślał, miał takie przebłyski, uwolniony z tej matni pychy, kłamstw i strachu, tkwiący w niej, ale już uwolniony lub uwalniający się przecież nie swoimi siłami, nie swoimi słowami, nie swoją mocą. Wróg jest potężny, znam go i coraz liczniejsze kręgi barbarzyńców dokoła, daleko i blisko, na wyciągnięcie ręki, nienawidzących pokoju i zatracających się w złym. Słucham ich słów i widzę, jak są podstępne i kłamliwe. Patrząc na ich twarze i sylwetki i widzę truchło i proch. I wiem, że to jest miłość i walka, bój na śmierć i życie.

Powtarzał, ale trudno jest nie powtarzać, tak jak trudno jest nie robić tego, co już się kiedyś zrobiło, dobrego czy złego. Roth równie mocno oddziaływał na niego jak Thorn, a nawet jakby mocniej, w każdym razie mniej delikatnie. Suflował, nie zważając na jego dobro, wręcz przeciwnie, a Mohl był na tyle słaby i naiwny, żeby się temu poddawać. Nie brzmiało to jak nakazy i było pociągające, ciągnęło do przyjemności lub wskazywało je i łatwo było skłaniać się ku temu. Natomiast Thorn dawał nakazy i były to zalecenia, napomnienia i przykazania na tyle pociągające, na ile trudne do wykonania, bardzo trudne. Przyjmował jego słowa i Thorn działał w nim i przez niego. I spostrzegł, w końcu na to wpadł, że nakazy Rotha do niczego dobrego nie prowadziły, były kręceniem się w kółko i przechodzeniem do miejsc, w których nie było spokoju albo było go jeszcze mniej niż w poprzednich. Nakazy Thorny, mimo trudów, prowadziły jednak do spokoju, a przecież trudno jest nie odróżnić spokoju od jego braku, nie wiadomo, jak byłoby to zamaskowane. I tak nakaz dotyczący matki wywołał u Mohla najpierw wielki niepokój, lęk i panikę, ale w końcu przecież poczuł wiatr w żaglach i przestrzeń przed sobą, gdy świat Rotha wydał mu się wąskim wąwozem, w którym odciętym było się od najważniejszego. Nie wiedziało się w nim ani gdzie się idzie, ani do kogo, ani po co. Pułapka w pułapce i całe ich serie. I trudno było wyjść stamtąd, był to świat zewnętrzny, ale przenikał do wewnątrz. Widziało się to w zewnętrznej atmosferze, a najlepiej w szczegółach, tylko trzeba było je dostrzegać. Sprawa z matką stawała się węzłowa i coraz bardziej domagała się rozwiązania,

jakiegokolwiek miałoby nie być. A każde rozwiązanie wymaga wprowadzenia światła, choćby nawet tylko jego odrobiny, tego światła, które wyłączał Roth i pobyt w jego krainie.

Tak, Mohlowi i jego matce potrzebna była ta odrobina, światło tego rodzaju. Musieli je przyjąć w siebie, ale czy mogli i czy chcieli, tak żeby to zaczęło działać? Nakazy były w sumie proste i jasne, ale przecież zagłuszane, można powiedzieć, że nieustannie, pleceniem, ujadaniem i wyciem, ciekim wrzasku, bełkotu, bredzenia i mamrotania, zatrutym śmiercionośnym wyziewem niosącym zagładę i zatracenie. I te nakazy skupiały się jak w soczewce w stosunkach Mohla z matką, dla niego, dla niej i dla innych. Czy także i matka słyszała głos tego rodzaju, który w sobie słyszał Mohl? A jeżeli słyszała, to czy działała pod jego natchnieniem lub starała się i usiłowała tak działać? Jakie, tak z jednej, jak i z drugiej strony, były sygnały i ostrzeżenia? Czy nie było już zbyt późno, a może nawet za późno? Trzeba to było sprawdzić, najlepiej nie tracąc ani chwili. Nigdy nie jest za późno, tak uważał Thorn i tak uważał Roth, ze swojej strony. Przeszkody i zapory były na zewnątrz, bardzo realne i konkretne, a głos tlił się wewnątrz, w środku, nie raz słaby i zagasający, przysypywany i tłumiony innymi, które dochodziły z zewnątrz, atakowały, bombardowały i druzgotały, jak dywanowe naloty, istne *perpetuum mobile*. Ale Mohl słyszał głos, słyszał go na pewno, od lat, był z nim żyty i nie wyobrażał sobie życia bez niego. Lekceważył go, nie słuchał, nie wsłuchiwał się w niego, ale czuł, że łączy go z prawdziwym życiem, bez którego przecież nic nie miałoby sensu, żadnego lub prawie żadnego. Nie mógł go z siebie wykreślić, tak jak nie mógł wykreślić z siebie matki. Nie mógł i nie chciał. Świat mógł go nękać, ile chciał, ale on i tak zwrócony był w stronę głosu, którego nawet gdyby już ostatecznie zamilkł, nie opuściłby do ostatniej chwili, do końca. Czy był z nim w miłosnym związku? Tak to można było nazwać.

Czy matka wiedziała, że Mohl ma w sobie ten głos, że go słyszy i że tak jest z nim złączony? Mogła to przeczuwać, mogła to obserwować, mogła to wiedzieć. Ale czy przeczuwała, a tym bardziej czy wiedziała? To miało się okazać, jeszcze było przed nimi. Mohl zmierzał już w jej stronę, a ona na niego czekała, jak zawsze. Nawet gdy od niej odchodził, to już do niej zmierzał, dążył do niej, oddalając się, chwijając się i wahając, z nakręcaną z zewnątrz pewnością, z determinacją i zacięciem, które do niego jakby nie pasowały, choć przecież komponowały się z jego naturą. W każdym razie nie rezygnował, nawet wtedy, gdy to tak wyglądało. A nieraz był zrezygnowany, gdy po kolejnym fiasku porozumienia odchodził od niej, oddalał się na dłużej lub na krócej, dalej lub bliżej, z żalem lub bez żalu,

z nadzieją lub bez nadziei, z wigorem lub bez wigoru, mówiąc do siebie, że najlepsze jest przed nimi, że kluje się lub mości we wcale nie absurdalnej perspektywie, w niedostatecznie absurdalnej, wcale znośnej. Dążył więc dalej i szedł do przodu, po kole, znowu do punktu wyjścia. Można było z tego się śmiać, można było użalać się nad tym, ale Mohl starał się znajdować jakiś złoty środek, który, jak się szybko okazywało, ani nie był złoty, ani tym bardziej w środku. W każdym razie nie zrażał się i nie dawał za wygraną, choć przecież nie raz był zrażony i na skraj odrotu, który i tak trudno byłoby nazwać ostatecznym. Taki był i takie były jego działania, ale nie był sam i wiedział, coraz lepiej, że nie jest sam. I to dodawało mu sił i wzmacniało ducha, w najgorszych momentach.

Czy wiedział, o co mu rzeczywiście chodzi? Obserwując go, można było stwierdzić, że wiedział to coraz lepiej. Nie kłamał, mówił prawdę sobie i innym, i to było ważne, bardzo ważne. Nie o piękno czy atrakcyjność sformułowań chodziło mu w jego mówieniu i opowieściach, ale o prawdę. Czy było zrozumiałe to, co mówił i opowiadał z taką determinacją i pasją? Dla jednych tak, dla drugich nie, jak to zazwyczaj bywa. Niekiedy sam nie był tego pewny, ale wtedy tym bardziej szedł za głosem, wsłuchiwał się w niego i szedł za nim, mówiąc do siebie, że jest to jego zadanie, kto wie, czy nie główne, przynajmniej jedno z najważniejszych. Nie był do tego zmuszony, ale tak chciał, sam z siebie, na pewno z siebie, z kimś. Nie kłamał, to było pewne, bo wiedział, że kłamstwo jest jak przyjęcie trucizny, czyste zło. Wolał milczeć, ale wiedział, że długie milczenie może zrzucić z siodła, kto wie, czy nie na złamanie karku. Trzymał się więc swojego mówienia i swoich opowieści, swoich i nie swoich, nie spadał więc z siodła, chociaż trudno było powiedzieć, że pędzi do przodu. Czy miał poczucie utraty czasu? Jeszcze nie, ciągle jeszcze nie. Wierzył, że jest w stanie zrobić to, co ma zrobić, i wierzył w to mocno. Czy był skomplikowany? I tak, i nie, z przewagą raczej tego drugiego. Dawał na zapowiedzi i wiedział, że nie są one daremne. Czuł moc, choć turlał się w słabości i nie raz trudno mu było z niej się wyturlać. Ale w końcu dawał radę, z pomocą, dlatego tak ważny był dla niego ten głos, niekiedy jakby z dali słyszany szum lub przebijająca się cisza. Nie była to mowa niezależna, raczej, jeżeli można ją tak nazwać, zależna, od niego. Dlatego nigdy by nie powiedział, mówiłem sobie, bo wiedział, że to nie on w sobie mówi, że to nie jego ja, co najwyżej dopełniające lub dopełniane. Nie, że zdawało mu się, roił to sobie, miał takie wrażenie czy przywidzenie lub śniło mu się to w wyobraźni, gdyby to dodał, byłaby to nieprawda. Nic z tych rzeczy. Był z nim połączony, a może nawet już dopasowany do niego, ściśle lub nieściśle, w każdym razie z nim ułożony czy złożony, nie mógł więc o tym nie

myśleć i tym bardziej nie mówić, choć mogło to wydawać się zawile i być trudne, bardzo trudne. Wiedział, że krachem dla niego byłoby tkwienie w miejscu, a nie uparty ruch do przodu, chociaż przecież nie mógłby żyć bez swojego miejsca – miasta, był w nim od urodzenia i dążył, wracał do niego. Był przekonany, że w nim dokona żywota, chociaż nie mógł być tego pewny, była to perspektywa, której nie ogarniał. Cokolwiek by się nie stało, jednak zbliżał się do niej, etap po etapie, wyścig po wyścigu, oczywiście z przerwami, które bezsensownie się przedłużały, stając się dłuższe od etapów, a nawet od całych wyścigów lub, co gorsze, z nimi współistniejąc, co stwarzało różne kołomyjki i kołowrotki, zmuszając w końcu do powrotu, na szlak. Takie były, mówiąc w skrócie, zmagania Mohla, teraz już, na szczęście, pod patronatem Thorny, można by było powiedzieć, że nareszcie, gdyby to było pewne. Jednak mimo tych ceregieli, wynikających ze słabej woli, charakteru czy związku z kimś, który by nad tym czuwał, Mohl posuwał się naprzód, mozolnie, choć przecież nie raz z wigorem, a nawet skokami, tak, skokami, hop, hop, hop, co dodawało jemu i innym animuszu, rozpałało i podsycalo nadzieję, tę dziwną moc, która przecież nie od nas zależy. Ważna była regularność, ten rytm z dnia na dzień, o tych samych porach lub choćby tylko porze, na przykład od rana do południa, mimo że tyle sił sprzymierzało się przeciw temu. Nie forsując, nie męcząc się i nie wyczerpując, choć niekiedy resztką sił, naprawdę resztką, bez widoków na coś lepszego. Ale bez złości i bez rezygnacji, która ani przez chwilę nie wchodziła w rachubę, przynajmniej tak to sobie wmawiał. Przyzwyczajony do światła, nie wyobrażał już innego życia, bez niego, nawet mgliście, w najdalszych zarysach, nijak.

Wiedział, że jest z nim Thorn, to znaczy on był z Thornem, a Thorn był z nim. Była piękna jesień, jego pora, właściwie jej początek czy pięknie snujący się przełom, przechodzenie, przenikanie, wstępowanie czy następowanie, jakkolwiek tego by nie nazwać, dni w przededniu narodzin, już po Podwyższeniu Krzyża. Nie było co się denerwować, szedł i był na dobrej drodze i nie miał nawet najmniejszej ochoty, żeby wracać, gdziekolwiek. Nie padał deszcz, świeciło słońce, był spokojny. Czuł się jakby stał na progu domu, drzwi otwierały się i wchodził do środka. Był wdzięczny Thornowi, że dał mu ten rozkaz, który najpierw tak go rozżłościł i rozżalił, jakby został wyrzucony za burtę, na zatratę. Teraz był zadowolony, że tak się stało i że Thorn powtórzył rozkaz, wierzył w niego i ufał mu i że skierował go do matki. Nie rozumiał tego, nie był na to usposobiony, ale już, krok po kroku, kierował się we wskazaną stronę, swoją i nie tylko swoją, rojąc słowa swoje i nie tylko swoje. Nawet jeżeli miałby być tylko pośrednikiem, to i tak by go

to zadowalało, bo działał w dobrej sprawie i wiedział, że jest dobra. Nie milczał i nie mówił na przepadłe, tak, bo jedno z drugim się łączyło i wiązało. Był Thorn, Roth już jakby poza nim, a przed nim była jego matka i ich dom, najprawdziwszy z prawdziwych, jedyny jaki miał.

Promienie przenikały na ziemię i siały blask. Mury czerwieniły się w słońcu, jaśniały okna, lśniły okucia płotu i bram. W tym cichym przesmyku, na wprost od Świętej Katarzyny, pomiędzy koszarami z jednej i z drugiej strony, wśród jeszcze zielonych drzew. Co najwyżej unosił się kurz wzniesiony lekkimi podmuchami wiatru albo krokami tych, którzy szli. Z dala od zgiełku, z dala od świata, tak przy najmniej się wydawało. Sunął jak cień, w swoim śnie, a przecież był bryłą, która co najwyżej rzucała cień, i był na jawie, która co najwyżej mogła się w sen przemienić, ale której do niego było jednak daleko. Czy miał to rozgraniczone? Tak. Ale czy miał to dobrze rozgraniczone? Trudno powiedzieć, chociaż mamy o nim już tyle informacji, także przypuszczeń, sugestii i uwag. W każdym razie dobrze była znana przestrzeń, w której się poruszał, szczególnie ta zewnętrzna, choć i o wewnętrznej też było wiele wiadomości, nie raz bardzo szczegółowych. Już się nie spieszył, zmierzał do domu i im był bliżej, tym bardziej zwalniał krok, choć zdarzało się, że nagle przyspieszał, na krótkim odcinku, ale jednak było to widoczne.

Czy był w zgodzie z samym sobą? Niekiedy zdawało się, że są w nim dwie różne osoby, niekoniecznie do siebie pasujące, nie to, że istniejące w konflikcie czy w zwarcu, ale nie zawsze ze sobą zgodne, rozumiejące się, zgadzające i współpracujące, chociaż imię jego było jednosylabowe, z jedną samogłoską, nad podziw zwarte. Czy było wyraziste? Dla jednych tak, dla drugich nie, wszystkim się nie dogodzi. Był przeciwieństwem wielu, co nie wyklucza, że wielu mogło z nim się utożsamiać albo przynajmniej próbować, co mogło dawać ciekawe rezultaty, przynajmniej w przypadku niektórych, w ich rozkładzie lub w mozaice ich życia. Rzecz jasna chodzi o wnętrze, podobieństwa, różnice i możliwości, otwarcia i zamknięcia czy nawet wręcz zatrzaśnięcia, na jedno lub drugie, na siebie lub na innych. Stapianie się z nim lub roztapianie, w nim albo w sobie lub w sobie i w nim, bo to też jest możliwe, w tym roju różnych możliwości. Rezygnacja, która staje się zyskiem, wycofanie, które jest pójściem naprzód, znikanie będące stawaniem się. Czyż nie jest to wspaniałe, fantastyczne i realne, tak jak światło wczorajsze i światło dzisiejsze.

Ilu było Mohłów od urodzenia do tej pory? Trzech? Sześciu? Dziewięciu? Karołomne obliczenia. I co było lepszem i spoiwem? Jakie moce i jaka główna siła

były tu czynne? W każdym razie ci wszyscy Mohlowie nie byli stali, ale jednak obracali się wokół jednego rdzenia, który, wydawało się, był stały i niepodważalny w tym niestałym i podważanym ze wszystkich stron świecie. Czy był mieszaniną? I tak, i nie. Można powiedzieć, że był mieszaniną specjalną, na pewno nie bezładną i zagmatwaną, bo był złączony z czymś i włączony do czegoś, z czymś, z kimś i do kogoś. W swoim regionie, w swoim rejonie, w swoim miejscu, a właściwie miejscach, bo przechodził od jednego do drugiego, tak to można nazwać.

Przechodził sam, czy był prowadzony? I jak miał się do tego głos, który słyszał i bez którego teraz chyba już nie mógłby się obejść, tak był z nim złączony. Bez niego nie trzymałby się tak Thorn a i nie był z nim tak złączony, nie stałby się jego pomocnikiem i wysłannikiem potrafiącym łączyć niepokój z cierpliwością, skrajności z łagodnością, rozczarowanie i gorycz z pasją i radością, złość ze spokojem i tym podobne przeciwności, tak to w nim działało i moderowało się, jakby na opak lub na przekór. I nie było w tym nic dwuznacznego, ale jasny i prosty szlak, jeżeli w odpowiedni sposób na niego się patrzyło. Na nic zdawały się tu wyroki i argumenty jego wrogów i przeciwników, szybko przeobrażały się w miazgę i traciły jakiegokolwiek znaczenie. Dlatego Mohl szedł za Thornem, jednak za nim, coraz lepiej go pojmował i coraz bardziej był mu posłuszny i oddany, to było chyba coraz bardziej widoczne. Głos i Thorn łączyli się w Mohlu, w jego głowie i w sercu, stawali się, jak gdyby jednością, coraz bardziej, gdy wiry były większe, tak, szturmowe czy huraganowe wiry, z którymi nie było żartów. Bez głosu i bez Thorn a, jednego, drugiego lub obu razem, Mohl szybko zapadłby się w ciemność, w jakiś czarny wir otchłani, z której nie ma ratunku. Dlatego trzymał się ich nie kurczowo, ale można powiedzieć, że w naturalny sposób, tak jak był ze sobą, związany na śmierć i życie, nierozwiązalnie. Połączony z nimi i złączony, jednogłośny z nimi i tożsamy, w miarę sił i możliwości, które w silnym związku z nimi wzrastały, a na pewno nie malały. Może to działo się z litości, z jednej strony, i z miłości, z obu stron, jest to bardzo prawdopodobne. Trudno jest o tym mówić, snuć opowieść, nazywać i określać, choć przecież idzie się po tysięcznych śladach, to wcale nie wyklucza mozołu, mozołu i pasji. Na próżno, nie na próżno, nigdy nie wiadomo. Nawet gdy pomoże jednemu, to spełnienie, to już jest się uratowanym, takie jest zapewnienie. Mówienie, myślenie, zastanawianie się, czucie, współodczuwanie, przenikanie i przeniknięcie, czyż nie jest to wspaniałe, trzeba tylko próbować i doświadczać na sobie i w sobie, z rozmachem, jak najściślej. Dlaczego? Dlatego, że nie ma innego wyjścia, a jeżeli są, to są najgorsze, to jest najlepsze, kto wie, czy

nie jedyne. Tysiące pytań, próby odpowiedzi i kołowanie wśród i wokół nich. Jak ćma do światła, czy jak światło dla ciem, ich rojów, w wielkiej matni.

Czy zmieniam się? Dzięki czemu czy komu jest to możliwe?

Pytania i nienależące do nich odpowiedzi, a także te, które jednak do nich należą. Tak jak drzemka i sen, czekanie i czuwanie, naprzemiennie i nienaprzemiennie. Na skraju, na środku lub już poza nim, w stronę końca, który przecież może być początkiem, bo takie są zapowiedzi. Oczyszczający się, ciągle nieoczyszczony, w toku. Na krawędzi. W środku. W stronę końca, początku czy po prostu dalszego ciągu, jakikolwiek by nie był, choć wiadomo z kim. Pytania teologiczne i ściśle z nimi związane pytania osobiste, trudno jest oddzielić jedne od drugich, bardzo trudno, ale po co je oddzielać. To tak jakby oddzielić głos od słuchania lub słuchanie od głosu, to by dopiero były powijaki. Głos każe mówić dalej, dążyć do końca, do jakiegoś kolejnego początku, on to wie.

Działał, mówił i działał, choć i mówienie było działaniem. Nie było to wystarczające, działanie i mówienie, ale przecież miał wsparcie, wielkie wsparcie, i to powinno wystarczać, mimo że kłody rzucały pod nogi.

Dzień dobry, usłyszał i zatrzymał się. Była to Magdalena, sąsiadka z ostatniego piętra. Dokąd idziesz? Do matki, odpowiedział. To idziemy w jedną stronę, powiedziała. Byli już za murami, w tej sielskiej okolicy ze stawami Kaszowymi, mostem i strugą Bachą. Nie spieszyła się, chciała z nim rozmawiać, chociaż głowę miał pełną matki i zdarzeń, które jej dotyczyły. Był sam i nie był sam, tak to zazwyczaj wyglądało i pewnie tkwił w tym jakiś sens, bez wyjścia.

Słaby był w miarę zbliżania się do matki czy mocny? A może słaby i mocny, to znaczy raz słaby, raz mocny, w zależności od głosu, który słyszał, głosu, szeptu, szmeru czy ciszy, w której się chronił.

Nie raz stawał na wylocie, jakby donikąd, w jakimś pustym miejscu, wśród murów lub poza nimi, na zewnątrz. Ale zawsze było niebo, stały punkt orientacyjny, a właściwie bezlik takich punktów.

Dzwony biły na Anioł Pański, słyszał ich daleki dźwięk, za sobą i przed sobą, jakby za mgłą, ale przecież realny i konkretny. Nie był ani zmęczony, ani osłabiony, a dzwony dodawały mu jeszcze animuszu. Cel miał przed sobą, szedł w jego stronę i wiedział, że nie ma odwrotu.

Zapytała, czy wejdzie do niej na kawę. Na kawę? Tak, odparła, mam znakomitą kawę i świeżą szarlotkę. Kawa, szarlotka, powiedział, o tak, chodźmy. Skręcili w Czarnieckiego i po trzech schodkach zeszli na podwórko. Okna u matki były zamknięte. Weszli do środka, na parter, na pierwsze piętro, minęli drzwi z numerem sześćdziesiąt z lewej strony, na wprost, z prawej i do góry, na drugie i trzecie, do drzwi po prawej. Otworzyła i wszedł za nią do środka. Matka wydawała się daleko, ale przecież była blisko, o ileż bliżej niż wczoraj. Był we właściwym miejscu, w jej domu, dwa piętra nad nią. Patrzył na podwórko, było puste i wszystko znajdowało się na nim na swoim miejscu: murek z jednej i z drugiej strony, kubły na śmieci, maszt, krzew bzu, ławki, topole i mur, który wydawał się niższy. Magda krzątała się w kuchni, pewnie parząc kawę i krojąc szarlotkę, tak jak zapowiedziała. Po jasnoniebieskim niebie płynęły białe obłoki, niosąc spokój i trwałość, ład i istnienie. Słońce świeciło na to samo, tak jak gwiazdy i księżyc, w odpowiednim czasie, słońce tkwiąc w miejscu, a księżyc przesuwał się z lewa na prawo, tak to Mohl pamiętał, choć nie raz mogło wydawać się, że jest inaczej, to znaczy, że słońce nie stoi w miejscu, a księżyc przesuwa się z prawa na lewo. Wszystko to było ustalone i stałe, ta żegluga po niebie, w świetle lub w ciemności, w każdym razie zawsze do przodu, ustanowione od dawna, od samego początku. Okna z tej strony wychodziły na wschód, tak jak z pokoju matki, na wschód i na północ, pod pewnym kątem. Światło jakby stało w miejscu, wydawało się naturalne i umocowane, jakby zakorzenione i spływające w dół na trawę, drzewa i mur, tę pustkę, która kiedyś była głośna i rojna, choć bez Mohla. Dla niego rzeczy główne działy się wewnątrz, w jego pokoju, który znajdował się po zachodniej stronie, za ścianą, za którą była matka. Trudno jest chodzić po śladach, bez podpórek się nie da, bez planu i zakreślonych granic, jak w ruinach, znanych od dziecka, ale jednak ruinach, wśród znanych przedmiotów, zarysów i kształtów, ich rozmieszczeniu i działaniu, wśród słów, które nie raz wydają się jak w rozsypaniu, twarde jak kamienie i lotne jak duch, bez którego ani rusz, ale skoro jest, to istnieje, trwa, a nawet rozwija się, nakręca i rozwija, ile sił, związku i pasji, bez których byłyby jak rozrzucone po plaży otoczaki, które niebawem zagarnie fala. Pomieszane jedno z drugim, doczesność i wieczność, w nieprzeniknionej tajemnicy raz po raz przenikanej, gdy działa łaska, która jest jak blask. W tych ruinach, w tym miejscu, w tym domu, na krańcu i w pępku wszechświata, tak jak on i tylu innych, tu i teraz. Pod tym światłem, w otulinie głosów i ciszy, która może stać się wielkim błogosławieństwem.

Czuł zapach kawy, słyszał krzątającą się Magdę i niedaleko miał matkę, na wyciągnięcie ręki. Ktoś mu dyktował, ale było ich kilku, a nawet kilkunastu, jeśli

nie kilkudziesięciu i Mohl brał z tego to, co chciał, co przenikało przez niego, filtrowało, zgadzało się i wychodziło na zewnątrz, jego, nie jego świat i on, nie on w nim i poza nim, w środku. Ani jasność, ani stałość nie były jego atrybutami, ale były jego integralną częścią, nie do usunięcia.

Poruszał się po swoich spiralach, to do góry, to na dół i jakby po sinusoidach, w górę i w dół, i roił, że posuwa się do przodu, jednak do przodu, a nie krąży dookoła jak bąk wprawiony w ruch nie wiadomo przez kogo i w gruncie rzeczy nie wiadomo po co, rozkręcony i kręcący się to tu, to tam, aż się zatrzyma i nie będzie nikogo, kto mógłby go nakręcić.

Ale on już znał swoją drogę, poznawał ją coraz lepiej i z coraz większą pasją, wykluczając czas zastoju, posuwał się po niej, do przodu. W swoim regionie i rejonie, które przecież nie ograniczały się ani do granic tej lub innej dzielnicy, a nawet miasta czy jego bliższych lub dalszych okolic, ale, w jego głowie, obejmowały morze na północy i góry na południu, także to, co było za tym morzem i za tymi górami, otwarte i ukryte warstwy nieba, światło i otchłań, którą znał od dziecka. Chronił się przed nią, tworząc i ożywiając swój własny świat, jednak mocno związany z tamtym, z kukielek, które ojciec nazwał bubkami i z klocków pogrupowanych w drużyny, które rozgrywały mecze, a także zawody indywidualne, jak na przykład tenis, kolarstwo, biegi czy skoki. Były to głównie mecze piłki nożnej, ale zdarzały się też zawody żużlowe. Ustalił regulaminy i zasady, pisał uchwały, komunikaty i okólniki, rysował terminarze i drabinki, urządzał typowania, eliminacje i turnieje, organizował finały, puchary, kolejki, strefy, edycje i rundy, układał tabele, rankingi i klasyfikacje, kompletował drużyny, kadry i rezerwy, robił sprawozdania głosowe i pisane, wystosowywał protesty i odwołania, wydawał werdykty. Mecze rozgrywały się w ligach, na różnych poziomach, nie tylko zespołów, ale i reprezentacji, mistrzostw okręgu, województwa, kraju i kontynentu, wielostopniowe i wielopoziomowe zmagania, sukcesy, porażki i klęski, nigdy ostateczne, bo zaraz toczyły się dalej. Byli mistrzowie, wicemistrzowie i outsiderzy, zwycięzcy, medaliści, ci, którzy remisowali i pokonani, z nadziejami i ci już raczej bez szans. Miał swoich ulubieńców, ale ich nie faworyzował, stawali się nimi, bo byli najlepsi, jedni lecieli w dół, a inni do góry, wszystko działo się sprawiedliwie i solidnie, w tych ramach. Zdarzały się konflikty, ale wtedy wkraczali trenerzy, a niekiedy sam Mohl, sprawy znajdowały rozwiązanie i wszystko toczyło się dalej.

Nigdy nie był tym zmęczony czy zniechęcony, był w to wdrożony i znajdował na to czas, praktycznie każdego dnia. Tak, mylił się, raz miał lepszy dzień, a raz

gorszy, raz słabo mu wychodziło, raz mistrzowsko, ale nie zniechęcał się i nie był zmęczony, chociaż trwało tyle lat i nie widać było końca. Sezony następowały po sobie i Mohl w ich rytmie, tak to było ze sobą związane. Raz nawet rozegrał turę z najlepszym kolegą, na jego i na swoim terenie, i wyszedł zwycięsko, przeciwnik wycofał się z rywalizacji. Te gry zdarzały się coraz rzadziej, ale jednak wracał do nich, do końca wojska, a nawet do początku studiów, trudne to było do ustalenia. Skończyło się, rozplynęło, ale zostało w nim, w jego pamięci i w nim samym, w teraźniejszości.

Magda wróciła z kawą, ustawiła filiżanki na stole, wyszła i po chwili weszła z talerzykami i szarlotką. Usiedli naprzeciw siebie i zaproponowała, żeby u niej został przed spotkaniem z matką. Powiedziała to krótko, bez emocji, patrząc na niego uważnie, pełna oddania i serdeczności. Nie, że może u niej zostać, ale żeby został. Mohl czuł, że coś do niego czuje, chociaż nie wiedział, co to jest. Chyba nie była to miłość, może sympatia, a może jedynie ciekawość, chęć zbliżenia lub odmienienia swojego losu. Znała go od dawna, wiedziała o ostatnich przygodach i widać interesował ją, skoro chciała z nim być. Spotkali się i trzeba było to jakoś rozwiązać. Dla niego było to wyjście, zupełnie znośne, a nawet w pewien sposób pociągające. Był w swoim domu, w okolicy, którą znał od dziecka, z kimś, kogo znał słabo, ale przecież od wielu lat, był nią zainteresowany, nie za bardzo, ale jednak. Kogo znał dobrze i kim był bardzo zainteresowany? Na pewno siebie i bez wątplenia sobą, ale kim jeszcze? U niej miałby spokojne życie, troszczyłaby się o niego, przygotowywałaby posiłki, spałaby z nim, dbała o jego rzeczy, a przy tym była dyskretna, cicha, czuła, a może i nawet w niego wpatrzona. Czy było to Mohlowi potrzebne? Tak. Czy by mu to wystarczyło na dłuższą metę? Wątpliwe.

Podobała mu się, nie tak jak Marta, inaczej, ale przecież nie mniej, pociągała go, a gdy była blisko, podniecała, było to podobne, chociaż trudne do porównania. Marta, Magdalena, wcześniej Maria i inne, to duża skala, choć były do siebie podobne, na modłę ideału, który sobie stworzył i do którego w miarę możliwości dopasowywał, raz lepiej, raz gorzej. One były na jego biegunach, a więc jakby na krańcach, tak to można było określić. Mierzył je na swoją skalę, którą one niejako określały, w ramach ideału, który był w jego głowie i w sercu, a może i w duchu, zawiłe to były połączenia, w perspektywie jego dążeń i potrzeb, które przerastały jego obecne dążenia i potrzeby. Mierzył innych na swoją skalę, ale i sam był mierzony, na inną, tak jak wszyscy.

Tymczasem Magda proponowała mu mieszkanie, osobny pokój i opiekę, będzie troszczyć się o niego i dbać, a także kochać, jeżeli będzie to możliwe. Będą razem spędzać czas i ona będzie mu pomocą, nie zawadą. Będzie robił to, co chce i chodził tam, gdzie chce, a ona będzie do tego dostosowywać się, dla wspólnego dobra. Ważne, żeby byli razem, obok siebie, może nawet ze sobą, żeby widzieli się, czuli siebie, dotykali, reagowali i byli blisko, w miarę jak najbliżej. On nie będzie musiał o nic się martwić, będą tylko same zyski i korzyści, istna idylla. Ona jest dla niego cierpliwa i łagodna i wie, że to się nie zmieni, a nawet rozszerzy i wzmocni, tak to określiła. Jej przemowa wcale nie była długa, ale jednak przekonująca, bo robiła na Mohlu wrażenie, chociaż przecież nastawiony był na coś innego. Zaproponowała wino, drugi kawałek szarlotki, a potem kolację, a on nie miał nic przeciw temu. Jakby zatopił się w tym łagodnym szumie, który tu stworzyła, zatopił, oswoił i umościł, był spokojny, zadowolony i nasycony, nie można powiedzieć, że kompletny, ale jednak wypełniony, co ostatnio zdarzało się rzadko, bardzo rzadko.

Szумы, szepty i szelesty rozplýwały się w powietrzu i przenikały w niego, w jego trzewia i kanaliki, wędrowały po nim i w nim, satysfakcjonująco czy zniewalająco, a on im ustępował i nasycał się nimi, bez regulacji i bez czuwania. Nie słyszał w sobie głosu i było to tak, jakby było go mniej niż pół, w każdym razie nierównomiernie, zapadającego się w bezruch, bez buntu, a nawet z upodobaniem, najwyżej rojącego krążenie, inaczej niż było i to jakby coraz bardziej inaczej. Bez nacisku, bez przymusu czy presji, jakby był przyćmiony, otumaniony czy znieczulony, wyprowadzony z siebie i wprowadzony w inną przestrzeń, na zewnątrz. Jakby zapomniał, kim jest i jaki powinien być, w każdej godzinie, w tym napięciu. Nie w ciepłku, ale w gorącu lub w zimnie, na skraju otchłani lub w środku pustyni, opuszczony, nie na zatracenie. Jakby było dwóch Mohłów, zupełnie do siebie nieprzystających, różnych jak dzień i noc, nie mówiąc już o innych porach, które są tylko przechodzeniem z jednej w drugą, ciągle w ruchu, do przodu i do celu, bez odwrotu. Ale on nie zapomniał, kim jest, tak jak nie zapomniał, że jest, chociaż wiele czasu przepływało mu bezowocnie i zdawało się bez sensu.

Nie zamykał się na kłódkę, był otwarty, niekiedy tylko przez szpary i szczeliny, jakieś luki, otwory czy niedomknięcia, lecz raptem rozszerzyło się to i rozrastało, jakby w jakiś szczególny sposób działały korzenie i pień, ten rdzeń, który o nim niezmiennie stanowił. Zgrzytał zębami, czuł kręgosłup i łapały go skurcze w nogach, ale uwalniał się z więzów i ruszał do przodu, tamto topiło się jak śnieg i znowu zaczynało się nowe, w tym co było, co było niezmiennie, od początku. Bez

lęków i bólów zaczynania od początku, na nowo, ale w starym toku, do którego został przyjęty i w którym trwał, mimo naporów. Na przełomach tygodni, miesięcy, kwartałów i lat, a nawet dziesięcioleci, w ciemności, szarości, jasności lub blasku, już tak długo, tak niedługo, w stronę wieczności. Nie z rozsądku, w ciągłych dywagacjach i wątpliwościach, ale w pasji, bez zastanawiania się, bez zatrzymywania się, bez przerwy. Nie z wyboru, ale z łaski, bez żadnej swojej zasługi, tylko zawdzięczający i zadowolony z tego, wdzięczny, niewinny, winny i znowu niewinny, korzący się i dziękujący, niezmuszany przez nikogo jak tocząca się kula lub ptak w locie, ze słowami w głowie, wrytymi w pamięci i w duchu, bez nich nie byłoby niczego, tak przynajmniej się wydaje i przerasta w pewność, nie od razu i nie od razu ze zrozumieniem, co tu jest do rozumienia, w tych wielokrotnych powtórzeniach, w tych samych i nie w tych samych sytuacjach i zdarzeniach i nie w tym samym nim, rozbrojonym i uzbrojonym, do boju. Właśnie w tych wielokrotnych powtórzeniach rodzą się, w walce, znaczenia i rozumienia, nieczęsto na niższym lub wyższym poziomie, choć wcale nierzadko, zależy, jak to się pojmuje, jakie jest otwarcie i odbiór, odbiór i przetworzenie, ruch, przetworzenie i słyszenie, trudne i upojne, niemożliwe i właśnie dlatego możliwe, do końca.

Magda była małowówna, a Mohl nie miał potrzeby mówienia, więc większość czasu przebiegała w milczeniu. Zaczęła przygotowywać obiad, wróciła i zaproponowała, że włączy muzykę. Muzykę? – zapytał. Tak, odpowiedziała, może być Bach albo Armstrong. Bach, powiedział i włączyła *Pasję według świętego Jana* pod dyрекcją Richtera. Usłyszał pierwsze dźwięki i było to jak katapulta, wbiecie w ziemię, wtłoczenie w nią, a potem wyrzut i wylot, ten podwójny wir, dół i góra, wir dołu i wir góry, łączące się w jeden już tylko wznoszący się, w roju natchnionych dźwięków rosnących według, z uporem, mozołem i w natchnieniu, w takim wysiłku, w rosnącym porozumieniu i jednoczeniu się, upodobnianiu, przenikaniu i identyfikacji, nie raz na opak, nie wprost, w prostym dążeniu, że przecież nie może być inaczej, tak jak w przeznaczeniu, jak w miłości. Absolutne przekonanie, że jest się w sednie i że nie może, w tym sednie, być inaczej. Oddalanie i jednocześnie zbliżanie się do ludzi i świata, te głosy, dźwięki, harmonie, akordy i cisza, ich związek tak doskonały, że życie w nim wydaje się niemożliwe, przekraczające i zamknięte w sobie, aż do granic.

Elzbieta Lempp



ARTUR MIĘDZYRZECKI

Wyliczanka

Masz własnego anioła
I własnego szakala
Masz osobistą duszę
I dzisiejszość na oku
Masz oko na złodzieja
I cały dom na głowie
Masz głowę na karku
I pomysł na życie
Masz mniej czasu niż myślisz

To samo

Mówią ci to samo co mówiłeś im kiedyś
Mówisz im to samo co mówili ci kiedyś
Nie możesz sobie przypomnieć kiedy i kto
Twoi rozmówcy zniknęli w kostnicy lat
I w słońcu o widmowym blasku
Wszystko rozpoczyna się od nowa
Złote pszczołki forsycji
Biały trzepot narcyzów
Piękne jak wschodni dywan
Nadlatują wychudłe szpaki twoich pustyń

Czarne łąki

Czarne łąki

Katorga przeistoczeń

Ciemniejąca rzeka żuje muł

Wiatr

Dmucha na zimne i na gorące

Między jedną a drugą falą

Nagła chwila odlotu

W inne życie niewyobrażalne

RYSZARD KRYNICKI

Kryptonim „Renegat” (dokumenty z teczki)

1

Szyfrogram z Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie do naczelnika Wydziału III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Krakowie

SZYFROGRAM OTRZYMANY Nr 1877

z KSMO W-wa

ROZSZYFROWANO 9 XI 72 r.

tajne

nr. 2643

9. 11. 72 r. godz. 13. 40

I. dz. nda 06056/72

naczelnik wydziału 3-go kwmo krakow

informuje, że z ryszardem krynickim /ryszardem krynickim/ z redakcji dwutygodnika „student” utrzymuje bliski kontakt figurant prowadzonego przez nas kwestionariusza ewidencyjnego wirpsza aleksander /wirpsza aleksander/, zam. warszawa ul. swierczewskiego 129/131 m. 33 – mający powiązania z b. grupą „komandosów”.

znajomość z r. krynickim wykorzystuje do publikowania na łamach „studenta” swoich artykułów i wierszy. m. in. w ostatnim numerze „studenta” ukazał się artykuł a. wirpszy pt. „jesteśmy winni wszyscy”.

za pośrednictwem r. krynickiego przesyła wirpsza utwory literackie swoich kontaktów do redakcji „studenta” prosząc by ten jako kierownik działu poezji spowodował wydrukowanie tych utworów. w ostatnim okresie wirpsza przesłał do krynickiego wiersze swojego kolegi marka romanowskiego otrzymując zapewnienie, że będą one wydrukowane do końca br.

z r. krynickim utrzymuje również kontakt Barbara Sadowska z Warszawy, która pozostaje w naszym operacyjnym zainteresowaniu z uwagi na powiązania z aktywnością b. grupy „komandosów”.

naczelnik Wydziału 3-go KSMO Warszawa ppłk. mgr maj

zaszyfrował Wojnarowski dnia 19. 11. 72 r. godz. 14.35 rozszyfrował ++ radecki ++

2

Pismo naczelnika Wydziału III Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie do naczelnika Wydziału III Komendy Stołecznej MO w Warszawie

Kraków, dnia 13 lutego 1973 r.

t a j n e

Egz. nr 2

NACZELNIK WYDZIAŁU III-GO KSMO
D/S SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA
W WARSZAWIE

W operacyjnym zainteresowaniu tut. Wydziału III-go pozostaje Ryszard KRYNICKI, który utrzymuje kontakt ze Zbigniewem HERBERT zam. W Warszawie ul. Marszałkowska 68/47.

Według posiadanych informacji wynika, że HERBERT załatwia dla R. Krynickiego bliżej nam nie znaną sprawę związaną z fundacją zagraniczną poprzez Rektora Uniwersytetu Wiedeńskiego prof. dr Günthera Winklera.

W związku z powyższym proszę o przesłanie nam danych personalnych i miejsca pracy HERBERTA oraz czy przechodzi w Waszym operac. zainteresowaniu.

Sprawa pilna.

Odb. w 2-ch egz.

1 egz. adresat

1 egz. a/a

Oprac. EW/IK

NACZELNIK WYDZIAŁU III-GO

/ PPŁK MGR J. ADAMCZYK /

3

Szyfrogram naczelnika Wydziału III KSMO w Warszawie do naczelnika Wydziału III KWMO w Krakowie

tajne	SZYFROGRAM OTRZYMANY Nr 614
nr 904	z KSMO W-wy
dnia 16.02.73 r. godz. 16.00	ROZSZYFROWANO 16 II 73 r. 18.40
nr. dz. nd-0668/609/73	

naczelnik wydziału iii kwmo w krakowie

odpowiadając na pismo z dnia 13.02.73 r informuję:
herbert zbigniew-bolesław / herbert zbigniew-bolesław /
s. bolesława i marii kamiak, ur. 29.10. 1924 r. we lwowie,
zam. w-wa ul. marszałkowska 68 m. 47, jest członkiem prezydium
zarządu głównego związku literatów polskich. pozostaje w operac.
zainteresowaniu wydz. iv departamentu iii msw.

naczelnik wydziału iii komendy stołecznej mo w w-wie
/-/ ppłk mgr andrzej maj

zaszyfrowała frunze dnia 16.02.73 r godz. 18.40
odszyfrował ++ gaj ++

Wyciąg z notatki służbowej funkcjonariusza z Wydziału III KWMO w Krakowie

Kraków, dnia 1.III.1973 r.

t a j n e

Egz. Nr. 1

Wyciąg z notatki służbowej ze spotkania z kandydatem na t.w. ps. „Ogórek” w dniu 28.II.1973 r., pozostającego na kontakcie ppor. H. Nity

Ryszard KRYNICKI wyjeżdża w tych dniach na okres 1-go miesiąca do swojej dziewczyny w Poznaniu. Zabiera ze sobą część swoich rzeczy; generalne pakowanie będzie robił w maju. Ma zamiar podjąć jakąś pracę w Poznaniu. „Ogórek” sprostował poprzednie informacje mianowicie, że w Chorzowie mieszka żona Krynickiego a nie jak podał – jego dziewczyna. Po powrocie z Poznania Krynicki będzie przebywał w Krakowie przez kwiecień i maj, a następnie wyjedzie z Krakowa na stałe.

W dniu dzisiejszym Krynicki zaniósł do Wydawnictwa Literackiego, celem opublikowania – tomik wierszy, wśród których jest również „Podróż pośmiertna III”. Do tej pory napisał „Podróż pośmiertna” I, II oraz III-cią, a z cenzury nie otrzymał zezwolenia na opublikowanie tylko III-ej „Podróży”.

Ostatnią pozycją Krynickiego, którą „Ogórek” czytał był wiersz o narkotykach, prawdopodobnie dotychczas nieopublikowanej.

W ostatnim okresie „Ogórek” bardzo mało rozmawiał z Krynickim, ponieważ albo go nie zastał, albo przepisywał wiersze. Kilka dni temu Krynicki powiedział w zaufaniu „Ogórkowi”, że nie nawidzi biologicznie Rosjan, pomimo, że jest sam Ukraińcem.

W nawiązaniu do poprzedniej informacji „Ogórek” zasugerował, że jeżeli zaistnieje potrzeba, to może w czasie nieobecności Krynickiego przeprowadzić dokładną inwentaryzację jego biblioteki. Ponadto „Ogórek” dostarczył mi wzór czcionek maszyny m-ki „Consul”, z której korzysta Krynicki.

Odbito w 2-ch egz.

1 egz. *Kwestionariusz*

1. egz. *O/U*

Druk. L.K.

Za zgodność:

/ Nita Hubert /

Pokwitowanie Urzędu Celnego w Zebrzydowicach po kontroli celnej nocą z 17 na 18 października 1973 roku

Urząd Celny
w Zebrzydowicach **POKWITOWANIE** 121173

przyjęcia od Magdalena Ryszard
zamieszkałego w Wrocław 18 - Budynka 3 (akademik) Seria AA

niżej wymienionych przedmiotów zapew. n. post. celny w Magdalen
(zdeponowanych — zajętych) (przywozie — wywozie)

Lp.	Dokładne określenie towarów (pieniędzy)	Ilość (podać jednostki miary)	Inne dane i uwagi (podać kwotę pieniędzy słownie, wartość szacunkową towarów w zł lub inne niezbędne dane)
1	<u>Dokumenty - maszynopisy, jedna taśma magnetofonowa, notatki - szkalujące ustrój itp.</u>		

Data wystawienia pokwitowania dnia 18.10 1973 r.

Podpis i numer służbowy funkcyj. celnego [podpis] m.p.

Podpis deponenta stwierdzający otrzymanie pokwitowania i zgodę na jego treść Strona odmówiła podpisu

Termin odbioru zdeponowanych towarów (pieniędzy) dnia _____ 197____ r.

Wymienione w pokwitowaniu przedmioty otrzymałem dnia _____ 197____ r.

Inny sposób likwidacji _____ podpis odbiorcy _____

POUCZENIE

1. Przedmioty zajęte (w postępowaniu karnym skarbowym lub celnym) podlegają zwrotowi, jeżeli prawomocne rozstrzygnięcie zwalnia je spod zajęcia. Przedmioty zwolnione spod zajęcia, a nie odebrane w ciągu 2 lat od wezwania do odbioru przechodzą na własność Państwa.
2. Wartości zdeponowane mogą być odebrane przez deponenta lub osobę przez niego upoważnioną w terminie podanym w pokwitowaniu.
3. Zdeponowane pieniądze polskie mogą być odebrane w każdym urzędzie celnym.
4. Wartości dewizowe zdeponowane przez cudzoziemców dewizowych mogą być darowane osobom stale zamieszkałym w Polsce (krajowcom dewizowym). Mogą one być również przekazane na rachunek zagraniczny deponenta w Narodowym Banku Polskim.
5. Jeżeli deponent lub osoba przez niego upoważniona nie zgłosi wniosku o zwrot depozytu przed upływem terminu odbioru, to wartości dewizowe oraz pieniądze polskie przechodzą na własność Państwa, natomiast towary podlegają likwidacji bez zawiadomienia o tym deponenta.
6. Za przechowywanie depozytów, nie odebrana w ciągu 2 lat od daty sprzedaży, przechodzi na własność Państwa. Nadwyżka ze sprzedaży towarów, nie odebrana w ciągu 2 lat od daty sprzedaży, przechodzi na własność Państwa.

6. Za przechowywanie depozytów, oprócz pieniędzy polskich, pobiera się opłatę w wysokości 3% wartości, nie mniej jednak niż 20 zł miesięcznie. Miesiące rozpoczęty liczy się za cały.

HZ-GUC-Re.12

W rubryce Dokładne określenie towarów (pieniędzy) wpisane ręką celnika: *Dokumenty – maszynopisy, jedna taśma magnetofonowa, notatki szkalujące ustrój itp.*

W rubryce Podpis deponenta stwierdzający otrzymanie pokwitowania i zgodę na jego treść: *strona odmówiła podpisu.*

Telefonogram naczelnika Wydziału III KWMO w Krakowie do dowódcy Granicznej Placówki Kontrolnej w Zebrzydowicach

Kraków, dnia 18. X. 1973 r.
Egz. poj.

DOWÓDCA
GRANICZNEJ PLACÓWKI KONTROLNEJ
W ZEBRZYDOWICACH

TELEFONOGRAM

KRYNICKI Ryszard s. Stanisława i Teofili Jakowskiej, ur. 28.VI.1943 r. w Sankt Valentin-Austria, narod. I obywat. Polskie, pochodzenie społeczne robotnicze, wykształcenie wyższe (bez dyplomu), zawód literat, bezpartyjny, b. pracownik redakcji „Student” w Krakowie, okresowo zamieszkały w Krakowie ul. Budryka nr. 3/17 (Dom Studencki), na stałe zameldowany Bytom ul. Niemcewicza 2/3.

Wymieniony jako literat (poeta) pisał wiersze, których treść zawierała wrogie akcenty, godzące w obecną rzeczywistość i sojusz PRL ze Związkiem Radzieckim. Niektóre spośród swoich utworów (wierszy) publikował za granicą w „oficynie poetów” w Londynie.

Utrzymywał on osobiste kontakty z wrogim elementem na terenie Warszawy – powiązany z b. aktywem tzw. „komandosów” z okresu wydarzeń marcowych 1968 roku.

KRYNICKI R. w 1973 r. otrzymał stypendium Instytutu i Fundacji im. Gottfrieda von Herdera z siedzibą w Marburgu (Lahu, Belviengstrasse 7 – NRF). Instytut ten w latach „zimnej wojny” zajmował się rozpracowaniem w sposób naukowy krajów Europy Wschodniej i dostarczał argumentów zachodnioniemieckiej propagandzie odwetowej i rewizjonistycznej na temat Polski. Aktualnie Instytut prowadzi odczyty i seminaria, tematem których jest m. innymi „niemiecki wschód”.

Z uwagi, że Krynicki Ryszard pozostaje w naszym zainteresowaniu, uprzejmie proszę o bliższe poinformowanie nas co do wywożonych przez niego szkalujących PRL materiałów.

Odb. w 1 egz.

Adresat

Oprac. AT/LK

NACZELNIK WYDZIAŁU III-GO

(PPUŁK MGR J. ADAMCZYK)

7

Informacja naczelnika Wydziału III KWMO w Krakowie dla naczelnika Wydziału IV Departamentu III MSW w Warszawie

Kraków, dnia 1973 r.

TAJNE

Egz. Nr.

NACZELNIK WYDZIAŁU IV DEPARTAMENTU III
MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH
w WARSZAWIE

INFORMACJA

Informuję, że w dniu 18 października br. ob.

KRYNICKI Ryszard s. Stanisława i Teofili
ur. 28.06.1943 r. San Valentin, narodowość
i obywatelstwo polskie, zam. pobyt czasowy
Kraków, ul. Budryka 3/17 (DS.),
zawód literat –

podczas wyjazdu na stypendium do Wiednia, na GPK Cieszyn został poddany kontroli celnej, w wyniku której ujawniono, że:

usiłował on wywieść z kraju swój „dorobek” literacki w postaci wierszy o treści antypaństwowej i antyinternacjonalistycznej, wierszy, które nie zostały zwolnione przez Urząd Kontroli PPIW.

Ponadto usiłował wywieść proszek, który po laboratoryjnym badaniu okazał się środkiem narkotycznym LSD.

Wobec powyższego ob. KRYNIECKIEMU wstrzymano paszport i nie dopuszczono do wyjazdu za granicę.

Ob. KRYNICKI jest członkiem Oddziału ZLP Kraków (przeniesiony z ZLP Katowice).

W/w zatrudniony był do niedawna w redakcji dwutygodnika „Student”, skąd został zwolniony za reprezentowanie niewłaściwej postawy społeczno-politycznej. W marcu 1972 r. napisał wiersz pt. „Podróż pośmiertna”, wiersz ten ze względu na swą antypaństwową treść nie został dopuszczony do publikacji.

KRYNICKI opublikował ten wiersz w londyńskiej „Oficynie poetów”.

Stypendium w Wiedniu (o którym wspominało na wstępie) załatwił mu Zbigniew Herbert z Warszawy.

Na uwagę zasługuje fakt, że KRYNICKI utrzymuje szereg kontaktów m.in. z osobami z terenu Warszawy:

1. Zbigniew HERBERT Warszawa ul. Marszałkowska 68/47
2. Adam MICHNIK [...]
3. WOROSZYLSKI Warszawa ul. Mickiewicza 30/46
4. Barbara RESZKO Ministerstwo tel. 263 188
5. Krzysztof KARASEK [...]
6. Jan SAWKA Warszawa ul. Kalmacha 3/44

Ryszard Krynicki jest inwigilowany przez tut. Wydział III w ramach kwestionariusza ewidencyjnego.

Odb. w 2-ch egz.

1 x adresat

NACZELNIK WYDZIAŁU III-GO

2 x a/a

(PPUŁK MGR J. ADAMCZYK)

Oprac. AW/HG

8

Pismo naczelnika Wydziału III KWMO w Krakowie do zastępcy komendanta powiatowego MO ds. Służby Bezpieczeństwa w Cieszynie

Kraków dnia 29 X 1973 r.

Tajne

Egz. nr. 2

Z-CA KOMENDANTA POWIATOWEGO M.O.
DO SPRAW SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA
w CIESZYNI

Powołując się na rozmowę telefoniczną w załączeniu przesyłam maszynopisy wierszy, które R. Krynicki usiłował wywieźć za granicę i orzeczenie Delegatury Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – celem dołączenia do prowadzonej przez Was sprawy.

Zał. 13/16

Odb. w 2 egz.

Egz. nr. 1 adresat

Egz. nr. 2 a/a

Oprac. CT

NACZELNIK WYDZIAŁU III

PPUŁK. MGR J. ADAMCZYK

Wyciąg z notatki służbowej uzyskanej od tajnego współpracownika Wydziału III KWMO w Poznaniu

Poznań, dnia kwietnia 1974 r.

Tajne

Egz. pojedynczy

Wyciąg

z notatki służbowej uzyskanej od t.w. ps. „Piotr” podczas spotkania

w dniu 2. IV. 1974 r.

Wśród młodych poznańskich literatów zrzeszonych w „Kole Młodych” panuje pewnego rodzaju oburzenie z powodu tego, że osobę i działalność Ryszarda Krynickiego w całym kraju wiąże się z poznańskim środowiskiem literackim, mimo tego, że nie jest członkiem Oddziału Poznańskiego ZLP. Nie działa też w „Kole Młodych”.

Działalność Krynickiego oceniana jest na ogół negatywnie, poza nielicznymi wypowiedziami aprobującymi jego postawę. Do osób aprobujących postawę Krynickiego należą: Stanisław Barańczak – członek UP oraz Marek Kośmider, Jerzy Grupiński i Przemysław Basiński z „Koła Młodych”. Poza tym t.w. poinformował mnie, że słyszał rozmowę, z której wynikało, że Fundacja im. Herdera z Wiednia, która m.in. ufundowała stypendium Krynickiemu, finansowana jest przez koła syjonistyczne i udziela stypendiów przede wszystkim osobom narodowości żydowskiej. W związku z powyższym istnieje przypuszczenie, że R. Krynicki może być narodowości żydowskiej.

Za zgodność z oryginałem:

ppor. Zb. Sokół

10

Pismo por. J. Siejka z Wydziału III KWMO w Poznaniu do naczelnika Wydziału II KWMO we Wrocławiu

Poznań, dnia 12 kwietnia 1974 r.

T a j n e s p e c. z n a c z e n i a

Egz. nr 2

Naczelnik Wydziału III
Komendy Wojewódzkiej MO
we Wrocławiu

W operacyjnym zainteresowaniu tutejszego Wydziału pozostaje Ryszard Krynicki – literat z Poznania, zam. Poznań, ul. Olszynka 1/18. W/wym. jest autorem wrogich ulotek z lutego 1974 r., ponadto pozostaje w kontakcie z komandosami wydarzeń marcowych w Warszawie.

Z uzyskanych przez nas informacji z dok. „W” wynika, że Stanisław Barańczak – pracownik Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu będący bliskim przyjacielem Ryszarda Krynickiego zwrócił się do [...] red. Redakcji „Odra” z propozycją powierzenia R. Krynickiemu tłumaczeń wierszy Bertolda Brechta. Zainteresowani jesteśmy w tym, aby R. Krynicki propozycji takiej nie otrzymał z w/w redakcji.

Wyk. w 2 egz.

Egz. Nr 1 – adresat

Egz. nr 2 – sprawa „R”

por. J. Siejek

oprac. KZ/IV/druk IN

11.IV.1974 r.

Pismo naczelnika Wydziału III KWMO w Poznaniu do naczelnika Wydziału IV Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie

Poznań, dnia 20 kwietnia 1974 r.

T a j n e spec. znaczenia

Egz. nr 2

Naczelnik Wydziału IV Departamentu III
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
w Warszawie

Informuję, że figurant sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „Renegat” ob. Ryszard Krynicki zwrócił się do [...] red. „Polityki” z prośbą o opublikowanie dwu wierszy Bertalta Brechta tłumaczonych przez w/w.

Wiersze w załączeniu.

Zachodzi przypuszczenie, że R. Krynicki fakt ten chce wykorzystać jako precedens, gdyż wiersze w swej treści zawierają jednoznaczną wymowę polityczną.

Zał. 1/2

Wyk. w 2 egz.

Egz. nr 1 – adresat

Egz. nr 2 – a/a

Oprac. K.Z. /IV/druk BH

18.04.74 r.

Naczelnik Wydziału III

ppłk B. Kamiński

[W załączeniu odpisy (niekiedy z błędami) dwóch moich tłumaczeń wierszy Bertolta Brechta: *Przesłanie umierającego poety do młodych* oraz *Urząd do Spraw Literatury*.

„Bertalta” – tak w dokumencie].

Postscriptum

Wszystkie dokumenty (z wyjątkiem kwitu celnego) pochodzą zteczki Sprawa Operacyjnego Rozpracowania „Renegat”, założonej przez Wydział III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Poznaniu w dniu 15 lutego 1974 roku, ale zawierającej także materiały wcześniejsze, począwszy od listopada 1972, kiedy to w londyńskiej „Oficynie Poetów” (nr 27) ukazały się trzy moje wiersze, w tym pierwsza wersja poematu *Podróż pośmiertna (III)*. Teczka ta (oraz inne materiały gromadzone na mój temat przez Służbę Bezpieczeństwa od 1972 do co najmniej 1989 roku) została mi udostępniona przez krakowski oddział IPN w Wieliczce po opublikowaniu tak zwanej listy Wildsteina, na której znalazło się między innymi nazwisko „Ryszard Krynicki”, dotyczące zresztą – jak się okazało – innej niż ja osoby.

Zachowuję oryginalną pisownię, styl i różnego rodzaju błędy funkcjonariuszy SB oraz ich informatorów, stąd np. różnorodna pisownia nazwiska rodzowego mojej matki czy imienia Bertolta Brechta. Kursywa oznacza dopiski odręczne.

Pomijam nazwiska informatorów i nie komentuję ich informacji i domysłów na mój temat, w tym różnych konfabulacji „kandydata na t.w.” o pseudonimie „Ogórek”, który był moim współmieszkańcem (mówiąc ściślej: został dokwaterowany) w pokoju w domu studenckim, gdzie mieszkałem w czasie mojej pracy w redakcji krakowskiego dwutygodnika „Student”. Jedno muszę jednak tutaj sprostować: nigdy mu się nie zwierzałem, jak też nie mówiłem niczego „w zaufaniu”, ponieważ akurat do niego zaufania nie miałem, bo szybko się zorientowałem, iż pod moją nieobecność myszkuje w moich rzeczach i papierach. Nie domyślałem się wtedy jednak, że robi to nie tylko ze wścibstwa, ale też na konkretne zamówienie.

Pomijam także nazwiska redaktorów pism, na których funkcjonariusze SB mieli wywierać wpływ, żeby nie drukowali moich tłumaczeń wierszy Brechta. Nie chodzi mi bowiem o ujawnianie nazwisk, tylko o przedstawienie tego, jak bardzo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kontrolowało życie literackie w PRL.

O okolicznościach mojego zatrzymania przez funkcjonariuszy na stacji granicznej w Zebrzydowicach w nocy z 17 na 18 października 1973 opowiedziałem kiedyś Jackowi Podsiadle, w rozmowie, której można wysłuchać w internecie na Stronach Poezji Teatru NN w Lublinie.

Ryszard Krynicki

CHARLES BUKOWSKI

w przekładzie Andrzeja Szuby

Radio z jajami

kiedy mieszkałem na Coronado Street
na pierwszym piętrze
często się upijałem i wtedy
wyrzucałem grające radio przez okno
a ono oczywiście rozbijało szybę
i lądowało na dachu
ale dalej grało
a ja mówiłem mojej kobiecie:
„Ty, patrz, jakie cudowne radio!”

rano zdejmowałem okno
z zawiasów
i zanosłem je
do szklarza
który wstawiał nową szybę.

wyrzucałem radio przez okno
zawsze kiedy byłem pijany
a ono po wylądowaniu na dachu
nigdy nie przestawało grać –
magiczne radio z jajami,
a ja co rano szedłem
do szklarza.

nie pamiętam co było potem
choć pamiętam
że w końcu się wyprowadziliśmy.
sąsiadka z dołu która pracowała
w ogrodzie w kostiumie kąpielowym

i jej mąż narzekali że on nie może
w nocy przeze mnie spać
więc się wyprowadziliśmy
a w nowym miejscu
ja albo zapomniałem wyrzucać radio
przez okno albo nie miałem już
na to ochoty.

lecz pamiętam jak bardzo brakowało mi tej kobiety
która pracowała w ogrodzie w kostiumie kąpielowym,
ona naprawdę machała tym rydłem
i wypinała się w moim kierunku
a ja siedziałem przy oknie
i patrzyłem jak słońce oświetla jej kuper
a muzyczka grała.

Wiertarka

ich małżeństwo
na zdjęciach.
przeglądam.
wytrwali 10 lat.
kiedyś byli młodzi.
a teraz ja śpię w jej łóżku.
dzwoni jej były:
„potrzebna mi moja wiertarka.
przygotuj ją.
zabiorę dzieci o
dziesiątej”.
przyjeżdża i czeka przed
drzwiami.
zabiera
dzieci.
ona wraca do łóżka.
dotykam nogą
jej nogi.
też byłem kiedyś młody.

stosunki międzyludzkie
są po prostu nietrwale.
myślę o kobietach
w moim życiu.
jakby ich nie było.

„zabrał wiertarkę?” pytam.

„zabrał”.

ciekawe czy kiedyś wrócę
po swoje bermudy
i płyty z nagraniami
Academy of St. Martin
in the Fields? pewnie
wrócę.

Nic nie jest tak efektywne jak klęska

gdziekolwiek pójdziesz noś przy sobie
notes, mawiał,
i nie pij za dużo, picie stępia
wrażliwość,
podczas spotkań autorskich zawieszaj głos,
a kiedy czytasz
nigdy nie dopowiadaj
nie akcentuj, audytorium jest mądrzejsze
niż sądzisz,
a kiedy coś napiszesz
nie wysyłaj tego natychmiast,
włóż do szuflady na dwa tygodnie,
potem wyciągnij i przyjrzyj się,
i poprawiaj, poprawiaj,
POPRAWIAJ do znudzenia,
jakbyś naciągał liny utrzymujące przęsła
pięciomilowego mostu,
a notes zawsze trzymaj przy łóżku,
w nocy coś ci przyjdzie do głowy
i jeśli tego nie zapiszesz

zmarnuje się i przepadnie.
i nie pij, każdy głupi
potrafi się napić, a my jesteśmy
ludźmi pióra.

jak na gościa który nie miał o pisaniu
pojęcia nie różnił się
od innych: na pewno
umiał o nim
gadać.

Jajko

ma 17 lat.
mamo, pyta, jak mam rozbić
skorupkę?

ona do mnie: w porządku, nie musisz siedzieć
z taką miną.

oj mamo, narzeka, zniszczyłaś żółtko,
nie mogę jeść takiego żółtka.

ona do mnie: w porządku, jesteś twardziel,
wiesz co to rzeźnie, fabryki,
więzienia, jesteś takim cholernym twardzielem,
ale nie wszyscy muszą być tacy jak ty,
nie tylko ty masz rację a cała reszta
się myli.

mamo, prosi, czy możesz przynieść mi kilka butelek
coli kiedy wrócisz z pracy do domu?

posłuchaj, Raleigh, czy nie możesz pojechać po colę
rowerem? po pracy jestem
zmęczona.

ale mamo, tam jest pagórek.
jaki pagórek, Raleigh?

no pagórek,
i musiałbym pedałowac
pod górę.

ona do mnie: w porządku, myślisz że jesteś taki
cholerny twardziel. pracowałeś w brygadzie na torach
kolejowych, zawsze kiedy się upijesz słyszę:
„pracowałem w brygadzie na torach kolejowych”.

bo pracowałem.

a co to za różnica?
wszyscy muszą gdzieś pracować.

mamo, pyta dziecko, przyniesiesz mi
tę colę?

naprawdę lubię tego dzieciaka. myślę że jest bardzo
delikatny. i kiedy już nauczy się rozbijać skorupkę
jajka może dokonać
wielkich rzeczy. a tymczasem
ja śpię z jego matką
i staram się nie wtrącać
do ich sporów.

DANA GIOIA

w przekładzie Krystyny Lenkowskiej

Wzgórza Kalifornii w sierpniu

Mogę sobie wyobrazić kogoś, komu
te pola wydają się nieznośne, kto wszedł
na zbocze w upale przeklinając kurz,
trzask kruchych chwastów pod stopami
i marzył o cieniu jeszcze kilku drzew.

Kogoś ze wschodu szczególnie, kto gardzi
niedostatkiem lata, suchymi
pokręconymi kształtami czarnych wiązów,
chaszczami karłowatych dębów, krajobrazem
już wydrenowanym z zieleni przez sierpień.

Kogoś, kto pośpiesznie omija kłujące
osty, wyczyńce polne, maki złociste,
bo wie, że tu wszystko to tylko chwast,
więc nie może pojąć, że te drzewa
i rzadkie brązowe krzaki są żywe.

Nienawidzi jasnego spokoju księżycza
bez wiatru, bez ruchu,
z jedyną inną żywą istotą –
jastrzębiem żądnym żeru, podwieszonym
pod oślepiającym od słońca błękitem.

A jednak jak łagodne to się wydaje komuś,
kogo wychował krajobraz bez deszczu –
linia horyzontu wzgórze, kilka
drzew na krzyż, trawa,
puste niebo, pragnienie wody.

Nic nie ginie

Nic nie ginie. Nic nie jest tak małe
aby nie wróciło.

Wyobraź sobie
że będąc dzieckiem w dniu jak ten
trzymałeś nowo wybitą monetę i miałeś
wybór jak ją wydać według własnego
pragnienia.

Dziś ta moneta wraca do ciebie,
data wytarta, stara inskrypcja niewyraźna,
postać pokryta gładkim nalotem
po tym, co się zużyło, zostało przekazane, zastąpione
czymś innym godnym uwagi, a ona jest warta
trochę mniej za każdym razem.

Teraz powraca
i pomyślisz, że jest nieważna, zapodziejiesz
ją w kieszonce na drobne jak jeszcze jedną rzecz
niewartą liczenia, niewartą wyróżnienia.
To jest błąd, którego musisz dziś uniknąć.
Kiedyś wysłałeś ją w podróż do siebie.
Teraz trzymasz w dłoni. Przyjmij ją jak
Drobiazg dziś pozyskany.

I poczuj
że znów musisz wybrać, ale znacznie mniej.

Droga

Czasem czułem, że minąłem się z życiem
Będąc zbyt zajęty jego poszukiwaniem.
Kiedy badałem dystans, często okazywało się,
Że przebyłem wiele mil nieświadomie
I ktoś inny szedł obok. Najpierw przyjaciele,
Potem kochanki, teraz dzieci i żona.
Dobrzy towarzysze – ofiarni, życzliwi,
Ale podobnie zdezorientowani, że tam byli.

Zauważyłem wtedy, że nikt nie wybrał drogi –
Wszystko jakby dryfowało pchane wspólną siłą.
Z każdym dniem ścieżka stawała się prostsza,
Bo była wydeptana i przeważnie szła w dół z boczka.
Droga przed nim jawiła się niewyraźna w mroku.
Dokąd to kiedyś zamierzał iść, i z kim?

Strzeż się rzeczy podwójnych

Strzeż się rzeczy podwójnych:
zestawu noży, spinek do mankietów w szufladzie,
kostek do gry, dwóch dam w talii, oczu
kogoś siedzącego obok.
Uważaj na tę pustą minutę wieczoru
kiedy patrząc na zegar widzisz, że
jego wskazówki są ustawione na tej samej godzinie
którą dostrzegłeś przy porannej kawie.
To te chwile, których należy się wystrzegać
kiedy nie ma niczego tak znajomego
ani tak bliskiego co by cię nie zdradziło:
bliźniak, zapasowy klucz, echo,
twoje własne odbicie w szkle.

Przesłuchanie w południe

Tuż przed południem często słyszę głos,
Cyniczny i natrętny szept w mojej głowie.
To ten lepszy człowiek, którym mogłem być
Oszacowuje życie jakiego nie wiodłem.

Nie potrafi pojąć co za ciężki błąd
Obdarzył mnie życiem, a jego nie chce począć.
Z żalem ogląda swawolnego brata
I swojej pogardy nie trudzi się przykryć.

„Co to za osoba, którą pozorujesz?”
Pyta, „Daremny święty, mizdrzący się nudziarz,
Przyblakły koneser wypalanej rządu,
Bezwolny pustelnik łypiący na drzwi?”

„Chaos jak różę hodujesz w wilgoci
Kłamstw zbyt słabych by były nieprawdą,
I role podrzędne odgrywasz w tej rewii,
Ekstrawagancki i pusty, czyli właśnie ty”.

ARTUR PRZYBYSŁAWSKI

Krytyka Proustowskiego umysłu, czyli *Towarzystwo* Becketta

Tekst jest porównawczą analizą świadomości w utworach Marcela Prousta i Samuela Becketta. W *poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta i *Towarzystwo* Becketta korzystając z podobnego motywu, jakim jest postać leżąca w ciemności, stawiają problem możliwości ufundowania podmiotowości na świadomości konfrontowanej z treściami pamięci. W pierwszym przypadku obecność wspomnień w świadomości pozwala ugruntować podmiotowość, w drugim zaś jest wręcz odwrotnie. Konfrontacja *Towarzystwa* Samuela Becketta z otwierającym fragmentem wielkiego dzieła Prousta pozwala pokazać pierwszego z nich jako myśliciela bardziej źródłowego i krytycznego.

W *poszukiwaniu straconego czasu* i *Towarzystwo* zaczynają się od tego samego motywu: postaci leżącej w ciemności. I dla Prousta, i dla Becketta ciemność ta jest momentem wysokiej intensywności świadomości skonfrontowanej ze swoją treścią dotyczącą przeszłości¹. Wynik tej konfrontacji okazuje się zupełnie odmienny².

¹ W niniejszym tekście zajmuję się problemem świadomości w *Towarzystwie* Becketta tylko w kontekście jej stosunku do jej własnych treści dotyczących przeszłości. Jest to oczywiście tylko jeden z aspektów problematyki świadomości poruszanej w tym utworze. Wstępną analizę świadomości w *Towarzystwie* por. również w: Antoni Libera, *Dante, Vico a „Towarzystwo” Becketta*, „Kwartalnik Artystyczny” nr 4 (12)/1996; Alan Astro, *Understanding Samuel Beckett*, University of South Carolina Press, Columbia 1990.

² Otwartą kwestią jest to, na ile Proust mógł być inspiracją dla *Towarzystwa* Becketta. Sam Beckett w 1967 roku, a więc dziesięć lat przed napisaniem *Towarzystwa*, deklarował, iż nie widzi w swej twórczości motywów Proustowskich (por. jego list do Kennedy’ego cytowany w: Sighele Kennedy, *Murphy’s Bed: A Study of Real Sources and Sur-Real Associations in Samuel Beckett’s First Novel*, Bucknell University Press, Lewisburg 1971). Trudno sobie wyobrazić, by autor młodzieńczej monografii o Prouście, pisząc swój jedyny tak wyraźnie korzystający z własnych wspomnień utwór, mógł pominać – świadomie czy nieświadomie – odniesienie do autora *W poszukiwaniu straconego*

Mimo iż dla filozofii jasność jest ulubionym, wyęsknionym i postulowanym stanem, to jednak ciemność jest stanem filozoficznym *par excellence*, wręcz źródłem filozofii. Skąd bowiem brałby się postulat jasności, jeśli nie z ciemności właśnie? Ciemność pozwala świadomości zwrócić się ku sobie samej. Świadomości w mroku nie jest dane nic poza nią samą i jej treścią, bo żaden zewnętrzny, widoczny przedmiot nie pochłania jej uwagi, nie odciąga od niej samej. Świadomość jest wtedy najbliżej siebie, znajduje się na progu samoświadomości, która jednak w otaczającym ją mroku wcale nie jest tak oczywista i przejrzysta, jak mogłoby się wydawać. Świadomość jest tu tak blisko siebie, że być może właśnie dlatego trudno jej uchwycić samą siebie. Zamiast tego, nie mając oparcia w zewnętrznym przedmiocie, chwyta się świadomość obecnych w niej treści, które w otaczającym mroku wydają się teraz znacznie wyraźniejsze, tak jasne i wyraźne, że zapomina o ciemności. Oto właśnie początek *W poszukiwaniu straconego czasu*: „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej. Niekiedy ledwie zgasilem świecę, oczy zamykały mi się tak szybko, że nie zdążyłem powiedzieć sobie: »Zasypiam«. Pół godziny później budziła mnie myśl, że pora nareszcie zasnąć; chciałem odłożyć książkę, którą, jak mi się wydawało, wciąż jeszcze trzymałem w dłoniach, i zgasić światło; już we śnie, nieustannie przewijały mi się przez głowę myśli związane z tym, co przed chwilą przeczytałem, przybierały one jednak charakter dość osobliwy; zdawało mi się, że to ja sam byłem tym, o czym traktowała książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją między Franciszkiem I a Karolem V. Przeświadczenie to trwało jeszcze kilka sekund po przebudzeniu; nie kłócąc się z rozumem, ciążyło mi niczym łuski na oczach, nieświadomych tego, że świeca w lichtarzu już się nie pali. A później stawało się dla mnie czymś niezrozumiałym, niczym myśli z poprzedniego wcielenia; treść książki odrywała się ode mnie, mogłem skoncentrować się na niej lub oddalić, i odzyskiwałem zdolność widzenia, zdziwiony tym, że spowija mnie łagodna ciemność, kojąca dla oczu, a może jeszcze bardziej dla umysłu, któremu jawiła się jako coś bez przyczyny, niezrozumiałego, coś prawdziwie mrocznego.

czasu. Jak stwierdza Knowlson, „sceptycyzm, który jako młody człowiek wprowadził do swej krytyki roli pamięci (mimowolnej jak i podległej woli) u Prousta, został wzmocniony przez dystans, który oddzielał go do jego własnej przeszłości” (James Knowlson, *Damned to Fame. The Life of Samuel Beckett*, Grove Press, New York 1996). Knowlson pisze też, iż czas, w którym powstało *Towarzystwo*, był okresem regularnych powrotów Becketta do lektur klasyki kosztem sporadycznych lektur najnowszej literatury.

Zastanawiałem się, która to mogła być godzina”³.

Wybudzenie w ciemności, ów pierwszy moment świadomego w niej przebywania, jest w jego sile momentem niepewności. Obudzony nie wie, kim jest, ale świadomość, która przyzwyczajona jest do identyfikacji z kimś, zaczyna nawykowo chwytać się wszelkich umieszczonych przed chwilą w świadomości treści: „zdawało mi się, że to ja sam byłem tym, o czym traktowała książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją między Franciszkiem I a Karolem V”. Tak jakby świadomość nie chciała stanąć wobec samej siebie i naturalniejsza była dla niej identyfikacja nawet nie z kimś lecz chociażby z czymś, i to identyfikacja tak oczywista i natychmiastowa, że przez chwilę niezauważona zostaje ciemność, która chce skonfrontować świadomość z nią samą: „Przeświadczenie to trwało jeszcze kilka sekund po przebudzeniu; nie kłócąc się z rozumem, ciążyło mi niczym łuski na oczach, nieświadomych tego, że świeca w lichtarzu już się nie pali”. Dopiero po chwili stan ów zdawać się zaczyna dziwaczny: „A później stawało się dla mnie czymś niezrozumiałym, niczym myśli z poprzedniego wcielenia; treść książki odrywała się ode mnie, mogłem skoncentrować się na niej lub oddalić, i odzyskiwałem zdolność widzenia, zdziwiony tym, że spowija mnie łagodna ciemność”. Ta ciemność, rozpoznana tuż po zrozumieniu, jak absurdalna jest dla świadomości identyfikacja z jej własną treścią, taką jak na przykład kościół, nie jest przerażająca, to „łagodna ciemność, kojąca dla oczu, a może jeszcze bardziej dla umysłu, któremu jawiła się jako coś bez przyczyny, niezrozumiałego, coś prawdziwie mrocznego”. Owa ciemność odkryta nagle, choć może dziwić, jest ostatecznie kojąca w kontraście do poprzedzającej jej absurdalnej identyfikacji z wyczytanymi tuż przed zaśnięciem treściami, identyfikacji tak silnej, że nie pozwalała ciemności zauważyć. Ta ciemność ostatecznie staje się dobrym tłem dla zrozumienia, że przecież nie jest się „kościółem, kwartetem, rywalizacją między Franciszkiem I a Karolem V”, o czym dopiero się czytało, a więc że jest się sobą. Ciemność, choć zdawała się w momencie obudzenia podważać ją, pozwala w końcu wrócić do jego oczywistości i dlatego w tym właśnie momencie naturalnie „zastanawiałem się, która to mogła być godzina”, zakładając, a wręcz czując oczywistość podmiotowości, samego siebie.

Jest jednak i ciemność głębsza, w której nie tak łatwo oprzeć się na dopiero co przeżytych treściach, a więc ciemność niosąca ze sobą znacznie większą niepewność: „Wystarczyło jednak, żebym zasnął we własnym łóżku, snem głębokim

³ Marcel Proust, *W stronę Swanna*, przełożyła Krystyna Rodowska, „Literatura na Świecie” nr 1–2/1998, (dalej jako S bezpośrednio w tekście).

i całkowicie odprężającym umysł, aby ten oderwał się od miejsca, w którym zasnąłem, i gdy budziłem się w środku nocy, nieświadom, gdzie się znajduję, w pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, kim jestem, w jej pierwotnej naturalności miałem jedynie poczucie istnienia, takie, jakie tli się zapewne w zwierzęciu; byłem odarty ze wszystkiego, jeszcze bardziej niż człowiek jaskiniowy, i wtedy wspomnienie – nie tyle miejsca, gdzie się znajdowałem, co kilku przynajmniej miejsc, w których bywałem lub mogłem być – wstępowało we mnie niczym pomoc dana mi z góry, by mnie wyciągnąć z nicości, z której nie byłbym w stanie wyrzeć się własnymi siłami; w ciągu sekundy prześlizgiwałem się ponad wiekami cywilizacji, zanim niewyraźny obraz lamp naftowych, a następnie koszul z wykładanym kołnierzykiem, nie zaczął odtwarzać stopniowo prawdziwych rysów mojego ja” (S).

Wyrwanie z głębokiego snu, tu najprawdopodobniej bez marzeń sennych, które zaferować by mogły świadomości jakieś oparcie, pozostawia w ciemności bez punktu odniesienia w rodzaju śladów po lekturze, pozostawia świadomość samą sobie, w swej nagości, bez tego, czego jest się świadomym. Ten moment otoczonej ciemnością niewiedzy kim się jest, okazuje się jednocześnie przejrzystą świadomością tej niewiedzy, która – niczym próżnia w naturze – musi zostać za chwilę zapełniona treściami odległych przeżyć. Konfrontacja świadomości z nią samą natychmiast uruchamia maszynę pamięci posługującą się wspomnieniami jako podporami tożsamości tak długo, aż funkcję tę przejmą wyłaniające się z mroku przedmioty świata zewnętrznego, które mają zdolność „odtworzyć stopniowo prawdziwe rysy” podmiotu. Pewność Prousta co do podmiotowości jest tu niemal identyczna z pewnością Geulincxa, dla którego dociekanie własnej natury staje się *de facto* opisem tego, co się widzi: „To badanie siebie samego opiera się na przezroczym badaniu swojej natury, kondycji i pochodzenia. Te, abym w sposób właściwy poznał, najpierw rozważam i jakby ze sobą tak rozmawiam: jakie liczne są rzeczy, które widzę, jak rozmaite. Widzę owo najpiękniejsze światło słońca, które rodzi dla mnie zmiany dni i nocy, zim i lat, ciepła i zimna. Widzę często księżyc rozpraszający mroki nocy i nieskończone mniejsze światła, zmieniające owe wyższe regiony...⁴”.

⁴ Arnold Geulincx, *Etyka*, przełożyła Joanna Usakiewicz, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2007.

I kontynuuje Geulincx zaskakująco długi opis postrzeganego świata⁵, mimo iż akapit ten otwierała przytoczona deklaracja o dociekaniu własnej natury, realizowana teraz nawet nie jako dociekanie natury świata, lecz jako zwykły opis, wyliczenie tego, czego doświadcza się w zewnętrznym świecie. Świat oto ma być odpowiedzią na pytanie o ja, ale jest to odpowiedź nie najlepsza, bo zapośrednicząca podmiot w postrzeganym przez niego przedmiocie: „Jestem więc nagim obserwatorem tej maszyny”⁶, jaką jest świat. To odpowiedź niewystarczająca dla Becketta, uważnego czytelnika i Prousta, i Geulincxa.

Zanim zewnętrzny świat pozwoli dzięki swej wyraźności odnaleźć własne ja, próbuje się ono w świadomości podbudować wspomnieniami, mającymi stanowić jego potwierdzenie: „i wtedy wspomnienie – nie tyle miejsca, gdzie się znajdowałem, co kilku przynajmniej miejsc, w których bywałem lub mogłem być – wstępowało we mnie niczym pomoc dana mi z góry, by mnie wyciągnąć z nicości, z której nie byłbym w stanie wydrzeć się własnymi siłami”. Nie można zatem z owej nicości wyrwać się samemu, ale z pomocą przychodzi tu wspomnienie, które zatem stanowi swego rodzaju wspierające towarzystwo. Dzięki niemu podmiot może odzyskać samego siebie, bo ukazuje ja ufundowane na jego własnej przeszłości. Jest to – wbrew późniejszemu niespełnionemu pragnieniu towarzystwa u Becketta – towarzystwo, które przychodzi z pomocą i ratuje podważoną przez ciemność podmiotowość. Tę przemożną siłę czasu przeszłego danego we wspomnieniach upewniających ja w jego teraźniejszej podmiotowości odnotował u Prousta Beckett zanim jeszcze rozpoczął pisanie swej prozy: „»Wczoraj« nie jest kamieniem milowym, który się minęło, ale kamykiem-dniem na wydeptanej drodze lat; jest nieodwracalnie naszą częścią – czymś co w nas tkwi; co ciąży i przytłacza”⁷.

Obecność wspomnień jest dla Prousta potwierdzeniem podmiotu, który jest, bo przecież ktoś musi te wspomnienia posiadać – wspomnienia tkwią w nas, są pozostałą w nas przeszłością, która nas buduje, a więc istniejemy. Dzięki temu „odzyskuje on również utraconą realność samego siebie, realność utraconego

⁵ Co ciekawe, tu również pojawia się ów analizowany u Prousta motyw rozświetlania nocy, i ujawniania w świetle.

⁶ Arnold Geulincx, *op. cit.*

⁷ Samuel Beckett, *Proust*, w: *Wierność przegranej*, przełożyli Antoni Libera i Marcin Nowoszewski, Wydawnictwo Znak, Kraków 1999.

»ja«⁸. Przeszłość to „intymna cząstka nas samych”⁹. Wspominam, więc jestem. Musi przeto istnieć właściciel wspomnień.

„I tak zawsze, gdy budziłem się w ten sposób, mój umysł miotał się bezskutecznie, usiłując dociec, gdzie jestem, wszystko wokół mnie wirowało w ciemności, rzeczy, krainy, czasy. Moje ciało, zbyt odrętwiałe, aby się poruszyć, usiłowało, posłuszne formom własnego zmęczenia, ustalić położenie swych członków, by tą drogą wywnioskować, gdzie znajduje się ściana, a gdzie meble, odtworzyć i nazwać miejsce, w którym się znalazło. Pamięć ciała, żeber, kolan i ramion, przywoływała kolejne obrazy, i były to różne pokoje, w których ciało zapadało w sen, podczas gdy dookoła wirowały w ciemności niewidzialne światy, ciągle w innym miejscu, w zależności od kształtu wyimaginowanego pomieszczenia. I zanim jeszcze myśl, przemierzająca niepewnie progi czasów i form, dzięki zestawieniu okoliczności zidentyfikowała któreś z owych mieszkań, ono właśnie – moje ciało – przypominało sobie odpowiadający każdemu z nich rodzaj łóżka, miejsce, gdzie były drzwi, sposób, w jaki światło wpadało przez okno, usytuowanie korytarza, odnajdując myśl, towarzyszącą mi tam w chwili zasypiania i pojawiającą się tuż po przebudzeniu. Mój zeszytywniały bok, usiłując odgadnąć swoje położenie, wyobrażał sobie na przykład, że leży tuż przy ścianie w wielkim łóżu z baldachimem, i natychmiast mówiłem sobie: No tak, w końcu usnąłem, chociaż mama nie przyszła do mnie na dobranoc; byłem na wsi u dziadka, zmarłego przed wielu laty, moje ciało, bok, na którym spoczywałem, ci wierni strażnicy przeszłości, o której mój duch nigdy nie powinien był zapomnieć, przypominały mi płomień nocnej lampki z czeskiego szkła, w kształcie urny zawieszanej na łańcuszkach u sufitu, kominiek z sieneńskiego marmuru w mojej sypialni u dziadków w Combray, w tych dniach odległych, które teraz ożywiałem w wyobraźni, nie mogąc odtworzyć ich sobie dokładnie, ale udałoby mi się to na pewno już za chwilę, niech no tylko się rozbudzę” (S).

W porównaniu z *Towarzystwem* Becketta Proust jest zbyt pospieszny, zbyt pewny swego, zbyt oczywisty. Proust po chwilowej zaledwie niepewności wywołanej ciemnością nazbyt szybko przeskakuje do bardzo konkretnych wspomnień, uznanych w punkcie wyjścia za własne, a więc przynależące podmiotowi, na który wskazują. Proust ostatecznie cały czas ma pewność, iż to on gdzieś w jakiejś przestrzeni być musi, a deklarowana niepewność kim – lub, jeszcze gorzej, czym

⁸ Samuel Beckett, *Proust*, *op. cit.*

⁹ Marcel Proust, *Pamięć i intelekt*, przełożył Michał Paweł Markowski, „Literatura na Świecie” nr 1–2/1998.

jest? – nie wydaje się w ogóle warta namysłu. Przebudzona w nocy świadomość jest u niego znacznie pewniejsza tego, że przynależy jakiemuś światu („wszystko wokół mnie wirowało w ciemności, rzeczy, krainy, czasu”) i jakiemuś ciału („moje ciało”), które dane są jako gwaranty osobistego istnienia. Proust mówi wręcz o pamięci ciała wydobywającej zamieszkiwane przezeń światy. Ciało jest dla Prousta w ciemności silną kotwicą dla podmiotu łączącą go ze światem. U Becketta zaś, w *Towarzystwie*, ciało umieszczone w ciemności nie posiada swojej pamięci, nie jest ośrodkiem, wokół którego wirują światy podmiotu. Jeśli coś wokół niego miałoby wirować, to jest to tylko ciemność, pozostaje ono punktem uwypuklającym otaczającą je ciemność. Nie jest ciałem przynależnym jakiemuś podmiotowi. Beckettowi nie dana jest pewność Prousta, że ma ciało i ma świat, bo wie, przypomina sobie, że kiedyś je miał, i ma je teraz.

Proust wie, że w tej ciemności wszystko kręci się wokół niego i nie zadaje sobie pytania, wokół kogo faktycznie ten ruch się odbywa. Ja, mimo iż poddane w wątpliwość, zakładane jest jako ośrodek wydarzeń, podmiot wspomnień, w których natłoku gdzieś się w końcu – i to dość szybko – odnajdzie: „Te kołujące we mnie, bezładne obrazy z przeszłości nie trwały nigdy dłużej niż kilka sekund” (S). U Becketta te kilka sekund rozciągnie się w stan permanentny.

Beckett zaczyna w punkcie, który Proust tylko wskazuje i który nazbyt szybko porzuca wraz z ujawnioną w nim nicością: „w środku nocy, nieświadom, gdzie się znajduję, w pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, kim jestem, w jej pierwotnej naturalności miałem jedynie poczucie istnienia, takie, jakie tli się zapewne w zwierzęciu; byłem odarty ze wszystkiego, jeszcze bardziej niż człowiek jaskiniowy, i wtedy wspomnienie – nie tyle miejsca, gdzie się znajdowałem, co kilku przynajmniej miejsc, w których bywałem lub mogłem być – wstępowało we mnie niczym pomoc dana mi z góry, by mnie wyciągnąć z nicości, z której nie byłbym w stanie wyrzucić się własnymi siłami” (S).

Proust tylko na krótką chwilę pozostaje w tej ciemnej, podważającej podmiotowość otchłani ziejącej w *Towarzystwie* Becketta. Prousta ratują z niej opadające go wspomnienia. Utwór Becketta rozgrywa się właśnie w tym momencie, gdy w wyraźnie wyczuwanej ciemności zaczynają pojawiać się wspomnienia wypowiadane przez jakiś głos dochodzący do kogoś w ciemności, głos, dzięki któremu, ktoś próbuje wyrwać się ze stanu, z którego sam wyrwać by się nie mógł i dlatego potrzebuje tytułowego towarzystwa. Jednakże w porównaniu z Proustem Beckett jest znacznie bardziej powściągliwy, nie pędzi za natłokiem wspomnień, i nie chwyta się ich, by znaleźć potwierdzenie dla podmiotowości. Zatrzymuje się w tej ciemności, z której spiesznie chce wydobyć się Proust, i pozostaje w niej

bardziej metodyczny, jakby uparcie zadawał w tej sytuacji raz po raz Kantowskie pytanie „co mogę wiedzieć?”. Oczywiście odpowiedź na to pytanie nie jest u Becketta imponująca: „Jakiś głos dochodzi do kogoś w ciemności. Wyobrazić sobie.

Do kogoś w ciemności, kto leży na wznak. O czym go przekonuje stały ucisk na plecy i to, jak zmienia się ciemność, kiedy zamyka oczy i kiedy je otwiera. Z tego, co mówi głos, potwierdzić może niewiele. Jak to na przykład, gdy słyszy: Leżysz w ciemności na wznak. Nie może wtedy nie przyznać, że jest, jak powiedziano. Lecz z tego, co mówi głos większości potwierdzić nie może. Jak tego na przykład, gdy słyszy: Po raz pierwszy ujrzałeś światło tego i tego dnia. Czasami jedno występuje wraz z drugim, na przykład: Po raz pierwszy ujrzałeś światło tego i tego dnia, a teraz leżysz w ciemności na wznak. Jest to, być może, chwyt, aby prawdą jednego uwiarygodnić drugie. A więc nasuwa się wniosek. Do kogoś w ciemności, kto leży na wznak, jakiś głos mówi o przeszłości¹⁰.

Nie mamy tu nawet wspomnienia, lecz mówienie o przeszłości, co do której nie ma też pewności, komu przynależy. Przeszłość czy wspomnienia nie tkwią zrazu w jakimś podmiocie, który mógłby – jak u Prousta – zidentyfikować je natychmiast z łatwością jako własne, wypowiadając się – jak na podmiot przystało – w pierwszej osobie: „mówiłby w pierwszej. Ale nie może” (T). U Prousta przeżywanie minionych wrażeń pozwala na mówienie w pierwszej osobie (wszak są one substancją podmiotu). Proust staje się mistrzem pierwszoosobowej wypowiedzi, „pewnego sposobu mówienia »ja«, trybu wypowiedzi, o którym nie wiemy jednoznacznie do kogo odsyła: do autora, do narratora czy bohatera¹¹, co tak w swoich esejach o nim podkreślał Roland Barthes, uznając za jeden z najgenialniejszych twórczych zabiegów autora *Poszukiwania*: „Pierwszy zabieg dotyczy osoby mówiącej (w gramatycznym znaczeniu słowa »osoba«). Dzieło Prousta wprowadza na scenę pisania »ja« (Narratora); owo »ja« [je] jednak, jeśli można tak rzec, różni się od »ja« [moi], będącego tradycyjnym podmiotem i przedmiotem autobiografii. »Ja« nie jest tym, kto wspomina, wyznaje, zwierza się, ale tym, kto mówi, lub lepiej – tym, kto istnieje tylko w akcie pisania i którego związek z »ja« prywatnym, cywilnym są niepewne i przemieszczone¹².

¹⁰ Samuel Beckett, *Towarzystwo*, w: *No właśnie co. Dramaty i proza*, przełożył Antoni Libera, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010 (dalej jako T bezpośrednio w tekście).

¹¹ Roland Barthes, „*To jest to*”, przełożył Michał Paweł Markowski, „Literatura na Świecie” nr 1–2/1998.

¹² Roland Barthes, „*Przez długi czas kładłem się spać wcześniej*”, przełożył Michał Paweł Markowski, „Literatura na Świecie” nr 1–2/1998.

U Becketta zaś mamy mówienie o przeszłości w drugiej osobie, ponieważ brak pewności do podmiotu pcha Becketta w stronę rozważań, czy w ogóle mówienie w pierwszej osobie jest możliwe¹³, jeśli ani nie można w punkcie wyjścia założyć podmiotu, ani bezsprzecznie potwierdzić go w pojawiających się wspomnieniach. Beckett pyta, czy w ogóle takie potwierdzenie jest możliwe. Dlatego tekst Becketta jest krytyką Proustowskiego umysłu. U Prousta wspomnienie „wstępowało we mnie niczym pomoc dana mi z góry” i dotyczyło miejsca, w którym ów podmiot zamieszkiwał. Podmiot ten zatem wie, iż to jego dotyczy wspomnienia, zakłada wpiersz siebie, któremu za chwilę przypisuje wspomnienia potwierdzające zwrotnie jego podmiotowość. Jego celem jest tu „niezmediatyzowane doświadczenie tożsamości danej lub odzyskanej poprzez akt świadomości (pamięci mimowolnej, projekcji proleptycznej etc.)”¹⁴. W tym akcie świadomości podmiot zostaje „wzbogacony odrobiną owej czystej substancji nas samych, jaką jest mimowolne wyrażenie czystego życia zachowanego w nieskazitelnej czystości”¹⁵. Przeszłość oto komunikuje się podmiotowi jako jego własna treść, potwierdzająca i ocalająca z ciemności jego podmiotowość, a nawet wzbogacająca ją w terażniejszym trwaniu. Ta pewność co do własnej podmiotowości jest u Prousta pewnością Bergsona, który mówi, iż „nawet gdybyśmy nie mieli wyraźnego pojęcia o naszej przeszłości, odczuwalibyśmy niejasno, że jest ona dla nas obecna”¹⁶. Obecność przeszłości utwierdza podmiot poprzez fakt, iż jest mu dana, że jest przeszłością jego i dla niego, daną mu we wspomnieniu, którego „silne korzenie wiążą je z przeszłością”¹⁷. Dzięki temu sam podmiot jest obecny i trwa, bo „trwanie to ciągłe postępowanie przeszłości, wgryzającej się w przyszłość i nabrzmiewającej w miarę postępowania naprzód”¹⁸.

Beckett zaś nie przekakuje tak szybko do tej uspokajającej konkluzji. Zaczyna wcześniej niż autor *W poszukiwaniu straconego czasu*, jest bardziej w swym namyśle źródłowy, bo nie zakłada wskazanego przez Prousta ośrodka, wokół którego wszystko kręci się w ciemności i który można nazwać ja lub mną. W *Towarzystwie*

¹³ Jest to jeden z uprzczywych motywów w twórczości Becketta tematyzowany już w *Malone umiera*, a potem w kolejnych utworach. Por. James H. Reid, *Proust, Beckett, and Narration*, Cambridge University Press, Cambridge 2003.

¹⁴ Paul de Man, *Alegorie czytania. Język figuralny u Rousseau, Nietzschego, Rilkego i Prousta*, przełożył Artur Przybysławski, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2004.

¹⁵ Marcel Proust, *Pamięć i intelekt*, op. cit.

¹⁶ Henri Bergson, *Pamięć i życie*, przełożyła Anita Szczepańska, Wydawnictwo Pax, Warszawa 1988.

¹⁷ Henri Bergson, op. cit.

¹⁸ Henri Bergson, op. cit.

sytuacja jest znacznie mniej oczywista – jest ktoś w ciemności i mówiący o przeszłości głos, a ich relacja nie jest wcale jednoznacznie komunikacją wspomnień: „Choć teraz mniej nawet jeszcze niż kiedykolwiek dane mu jest się zastanawiać, nie może jednak czasami nie zastanawiać się, czy aby faktycznie to o nim i do niego mówi głos. Czyż nie mógłby jeszcze być z nim ktoś inny w tej ciemności, do kogo i o kim mówi głos?” (T, cytat zmodyfikowany).

Leżący w ciemności jest wyraźnie zrezygnowany i nie szuka gorączkowo, jak to było u Prousta, szybko znajdowanej odpowiedzi. Nie ma żadnej pewności, iż głos mówi o tym, do kogo dochodzi. Wbrew Bergsonowi i Proustowi zatem nie ma tu choćby niejasnego odczucia, że przeszłość jest obecna dla jakiegoś podmiotu, zamiast tego jest zaś wątpliwość, czy w ogóle owa przeszłość dotyczy kogoś, kto słyszy głos. Proust był przekonany, że można „uchwycić niegdysiejsze wrażenia, czyli dotrzeć do samego siebie”¹⁹. Dla Becketta zaś uchwycenie niegdysiejszych wrażeń jest tylko uchwyceniem niegdysiejszych wrażeń, które wcale nie otwierają automatycznie podmiotu na niego samego, bo nie wiadomo, czy w ogóle są uchwyceniem samego siebie. Ktoś, do kogo dochodzi mówiący o przeszłości głos, nie jest sobie dany jako właściciel tejże przeszłości. Czy nim jest, to rzecz wątpliwa i kwestia dopiero do rozstrzygnięcia, o ile będzie mogła być rozstrzygnięta. Beckett w przeciwieństwie do Prousta nie zakłada samego siebie zespolonego poprzez pamięć z przeszłością. Beckett jest od niego w tym wątpieniu bardziej kartezjański. Proustowskie „wspominam, więc jestem” jest formułą wypowiedzianą zbyt szybko, bez poddania podmiotu w dostatecznie głębokie wątpienie, ponieważ podmiot założony jest już w chwili pojawienia się wspomnienia, gdyż ono to „obraz dawno minionej chwili, przywoływany z daleka, poruszony obecnym przeżyciem identycznego momentu, wznoszący się z głębi mojego ja” (S).

U Becketta obrazy chwil minionych nie wyłaniają się z głębi założonego uprzednio i obecnego ja, lecz z ciemności. Minimalizm Becketta pozostały po próbie rozjaśnienia tej ciemności, w której do kogoś dochodzi jakiś głos, wynika z prób rzetelnego ustalenia, cóż w tej sytuacji jest faktycznie pewne. Nawet ta minimalna pewność, która opiera się na prostej rejestracji faktu dochodzenia głosu, nie jest bezpośrednią oczywistością, lecz raczej jest tylko pewnością przez negację: „nie może wtedy nie przyznać” (T). Zadając pytanie „co mogę wiedzieć?”, szuka Beckett odpowiedzi w tym, czego nie można zanegować. Jednakże to, czego nie można zanegować, a mianowicie fakt, że w ciemności dochodzi do kogoś

¹⁹ Marcel Proust, *Pamięć i intelekt*, op. cit.

jakiś głos, niewiele rozjaśnia i staje się wręcz powodem dalszych wątpliwości, tym bardziej uporczywych, im bardziej opierają się na tym niepodważalnym fakcie: „Czyż nie mógłby jeszcze być z nim ktoś inny w tej ciemności, do kogo i o kim mówi głos? Może to o kimś innym i do kogoś innego, kto również jest w tej ciemności? Czy aby nie podsłuchuje jakiejś komunikacji nieprzeznaczonej dla niego? Jeżeli w tej ciemności leży na wznak całkiem sam, dlaczego głos o tym nie mówi? Dlaczego nie powie, na przykład: Światło ujrzałeś tego i tego dnia, a teraz całkiem sam leżysz w ciemności na wznak? Dlaczego? Pewnie tylko dlatego, by zasiać mu w umyśle tę dręczącą wątpliwość” (T, cytata zmodyfikowany).

W miarę prób poradzenia sobie z ową dręczącą wątpliwością rośnie ona raczej niż maleje. Ostatecznie nie ma w *Towarzystwie* pewności nie tylko do kogo głos dochodzi i kogo dotyczy, ale i też od kogo pochodzi. *Towarzystwo* wydaje się zatem raczej próbą oswojenia tej wątpliwości niż jej zniesienia. Mówiący i słuchający nie mogą się spotkać w jednym punkcie, który mógłby stać się punktem pełnej autorefleksji. „W tym względzie po prostu niemo obserwujesz sam siebie jako kogoś obcego” (T). Tu Beckett jest krańcowo daleki od Bergsona tak bliskiego Proustowi: „Musimy przez gwałtowne skupienie naszej osobowości na niej samej objąć całą wymykającą się nam przeszłość, by jednolitą i niepodzielną pchnąć w teraźniejszość, którą stworzy ona, gdy w nią wejdzie. Nader rzadkie są chwile, w których do tego stopnia chwytny samych siebie: utożsamiają się one z naszymi naprawdę wolnymi działaniami. Lecz nawet wówczas nie ujmujemy siebie nigdy całkowicie. Poczucie trwania, więc zbieżność naszego ja z samym sobą przybiera różne stopnie. Im głębsze jest to poczucie, a owa zbieżność bardziej zupełna, tym bardziej życie, w którym nas one pogrążają, wchłania czynnik intelektualny przekraczając go zarazem”²⁰.

Towarzystwo Becketta sprawia wrażenie niemal biegunowego przeciwieństwa Bergsonowskiego optymizmu autoujęcia. Jest bowiem wyrazem tego momentu, w którym zbieżność ja z samym sobą jest bliska zeru. Dlatego właśnie zamiast pogrążenia w czystym trwaniu przekraczającym intelekt, *Towarzystwo* Becketta w jego analizach głosu i słuchającego jest nadzwyczaj sucho intelektualne, zaś słuchający leżący na wznak w ciemności nie kojarzy się raczej z obrazem Bergsonowskiego życia. Jeśli tu zbieżność ja z samym sobą jest bliska zeru, czy w ogóle ono jeszcze trwa, choćby przez chwilę?

²⁰ Henri Bergson, *op. cit.*

Towarzystwo Becketta, jak dzieło Prousta, jest dwojakiem. Z jednej strony powieść, której materiałem są przeszłe wrażenia, z drugiej esej zapuszczający się w filozofię. U Prousta te dwie formy tworzą jego „trzecią formę”, „ani Esej, ani Powieść”²¹. To, co Proust starał się połączyć i scalić, Beckett wyraźnie, wręcz mechanicznie oddziela. Z jednej strony strzępy wspomnień, z drugiej intelektualna analiza sytuacji słuchającego w ciemności. Nie może być inaczej z powodu rozbieżności ja z samym sobą. Owo rozszczerzone ja oddala się od Bergsonowskiego czystego trwania anulującego intelekt, który tu zostaje tym samym wydobyty na plan pierwszy – z pięćdziesięciu dziewięciu paragrafów *Towarzystwa* tylko piętnaście dotyczy wspomnień²², a cała reszta jest intelektualną analizą słuchania głosu w ciemności. Oddalając się coraz bardziej od potępiającego intelekt Prousta i stając po stronie jakże ułomnego w swych analizach intelektu, paradoksalnie pozostaje Beckett bliski autorowi *Poszukiwania*. Dla obu bowiem samo pisane dzieło jest reprezentacją sytuacji egzystencjalnej. Dla Prousta była ona rozświetlana momentami życiodajnych olśnień aktualizujących przeszłość w czystym teraźniejszym trwaniu. Dla Becketta zaś była ona przyciemniona cieniem kładącym się nawet w pogodny dzień, skłaniający Harolda Hobsona do stwierdzenia, że aż chce się żyć, na co autor *Towarzystwa* odpowiedział, że tak daleko by się nie posuwał²³.

²¹ Roland Barthes „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”, *op. cit.*

²² Na uwagę również zasługuje fakt, w jaki sposób korzysta Beckett ze wspomnień w tym utworze. Ich biograficzna treść (przetworzona zresztą, jak wskazuje Knowlson [*Damned to fame, op. cit.*]) jest zaledwie pretekstem do wyrażenia treści znacznie ogólniejszych (por. interpretację biograficznych akapitów *Towarzystwa*, w: Antoni Libera, *Dante, Vico a „Towarzystwo” Becketta, op. cit.*).

²³ Przytoczone przez Johna Caldera w jego *The Philosophy of Samuel Beckett*, Calder Publications / Riverrun Press, London–New Jersey 2001.

ANDRZEJ SZUBA

Postscripta

POSTSCRIPTUM CMXIX

nic co byłoby
bardziej nieoczywiste
od ciebie

POSTSCRIPTUM CMXX

pycha słów
zagłuszających
twoją ciszę

POSTSCRIPTUM CMXXI

przez chwilę pewny
że mieści się
w jakimś planie

POSTSCRIPTUM CMXXII

o to że nic
tak skutecznie nie milczy
jak słowa

POSTSCRIPTUM CMXXIII

byli aby przez moment
dzielić ten sam
fragment czasu

POSTSCRIPTUM CMXXIV

to też
jest opus
przedśmiertne

POSTSCRIPTUM CMXXV

gdziekolwiek cię nie ma
zostań tam
zostań sobą

POSTSCRIPTUM CMXXVI

może wróci i powie
tamtego brzegu
nie ma

POSTSCRIPTUM CMXXVII

do damaszku
bez przygód
bez światła

POSTSCRIPTUM CMXXVIII

jak naśladować
kiedy nie ma po tobie
śladu

POSTSCRIPTUM CMXXIX

nie pamiętać
by mogło być
po swojemu

POSTSCRIPTUM CMXXX

in memoriam A. (ob. 2014)

i już nie sposób
oddzielić cię od popiołu
kopciuszku

POSTSCRIPTUM CMXXXI

jakby odpowiedź
mogła nie być
kolejnym pytaniem

POSTSCRIPTUM CMXXXII

u ciebie nic nowego
nie ma cię
i nie będzie

kwartalnik.art.pl

„Kwartalnik Artystyczny”
zawsze w sprzedaży

w salonach Empiku
i w e-bookach na legimi.pl



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

BOGUSŁAW KIERC

Bóg z tobą

Miłkowi

Kochany bywa niewidzialny dla tych
zmysłów ze wzrokiem zmówionych, bym wierzyć
mógł, że istniejesz i że żadne szaty
nieba i obu biblijnych przymierzy

nie tają jego nagości, co moją
jest w gruncie rzeczy, kiedy stoję nagi,
jak ci, co ze mną tak być się nie boją,
bo nie brakuje im hardej odwagi,

by sobie igrać przed nagością Twoją

jak *kwark powabny* i *antykwarek dziwny*,
antykwarek dolny – i już nie pamiętam
(albo udaję), bo wygodniej, czym Nic
się od Wszystkiego różni, albo święta

pamięć od świętej niepamięci, wiedzieć,
kiedy rymuję miłość do człowieka
z tą, co do Ciebie waży się „Sąsiedzie”
mówić i ufnie na „Bóg z tobą” czeka.

Nawias

Tak się mówi: *za życia* – znaczy, że się miało
jakiś udział w tym życiu i doczesne ciało
splecione z nieśmiertelną duszą (czy rozplata
ten warkocz śmierć niechybna, czy w jakichś zaświatach
inaczej się te sploty tulą; czy my sami
jesteśmy chwilowymi tutaj kochankami
widzialnymi za życia, a za życiem – całkiem
innym będącym ślicznie już dla siebie ciałkiem
wniebowziętych aniołków, jeśli się zdarzyło,
że przebaczyła naszej miłości ta Miłość,
co porusza i słońce i gwiazdy i twoje
i moje niewidzialne te drobnoustroje;
no dobrze, ale chodzi o to, czy się dusza
za życia i za życiem tak samo porusza
w tym anielskim zdrobnieniu, albo w zogramnieniu,
gdy już ją ostry zawał w Tamto Serce przeniósł?).

Życzenia

Prują się szwy wszystkiego najlepszego zszytych
niedbale dobrych życzeń i złych przepowiedni;
że się cudem w anielski przemienia powszedni
chleb – niewiele pomaga dobrej woli, by tym,
którym trudno uwierzyć w Boże Narodzenie,
starczyły argumenty bezbronnego chcenia
bycia między takimi, w których się przemienia
i pozwala się z nieba na ich ziemię przenieść.

Amen

To, że się nie zgodziłem na życie w postaci
przewidzianej przez trzecie oko przeznaczenia,
nie pozwala mi sprawdzić, ile na tym traci,
ile zyskuje mara, która się przemienia

codziennie we mnie coraz mniej udającego
bohatera z piosenek śpiewającej duszy
i choć się, nieśmiertelna, czule wtula w niego,
a serce – po debecie sumienia – już skruszyć

by się chciało, lecz ciało (rodzaj substytutu
mnie) nie liczy się z sercem po ostrym zawale
(już prawie zapomnianym), ale jakieś „utul
mnie” słyhać w piosnce duszy, jednak to nie zmienia

cyfr w rachunku sumienia niezupełnie ścisłym
przez litość Wierzyciela, bo mógłby policzyć
wydatki, w które wdały mnie rozrzutne zmysły
i łupy świętokradztwa, skryte w tajemniczych

jaskiniach tej krainy-mnie pojętej jako
dominium z krwi i kości, pławiące się w zwidach;
więc powierzam się drzewom, kamieniom i ptakom,
szepcząc *amen*, bo może im się na coś przyda

to *amen* i pomogą mi przez Rzeczywiste
Bycie przeniknąć Tam, gdzie z Twoim Bożym Ciałem
pozwolesz mi pomylić moje ciało, Chryste,
żebym już nigdy nie był tym, którego grałem.

Pan

Jesteśmy z wami. To znaczy: z żywymi?
Z jeszcze żywymi? I jesteśmy z wami,
już zabitymi, których nie zdążyli
żywi pogrzebać, i tutaj, z daleka,

gdzie niebo nieme, a horyzont dymi,
zwiastującymi wyż baryczny, mgłami
i słońce tylko je okrwawia, czyli
dzień będzie piękny, a to, co nas czeka,

nie szczyrzy jeszcze szczerbatej ironii;
książki na półkach się tulą do siebie,
stale modlimy się o pokój – częściej
o święty spokój, bo chociaż nam dana

chwila istnienia, przecież nie obroni
nas nic przed grozą, może ten, co przebiegł,
oszczekujący swoje nagłe szczęście,
pies, bo odnalazł w gruzach swego pana.

Laboga

Laboga – schyłek czasu, a czas się nie schyla –
niemal w ostatniej chwili, ale czy ta chwila
jest naprawdę ostatnią? Wszystko już się stało?
Przecież jeszcze się duszy nie pozbyło ciało
(albo na odwrót), jeszcze ten splot, czy ten warkocz,
niby kosa przeciwko kosie tej, co szparko
się dobiera do ciebie – jeszcze nie przegrała,
no to, czemu labiedzisz i na co ta cała
rymowanka żałobna, kiedy zrozumiałeś,
że dla chcianego ciała jesteś obcym ciałem
już od dawna; odwagi! Zanim cię przykryje
wieko, uznaj to swoje ciało za niczyje
z nadzieją, że je wyrwie z Lewiatana paszczy
Kochający; na zawsze je sobie przywłaszczy.

BOGUSŁAW KIERC

Niechętny Dantemu

Moja pierwsza profanacja *Boskiej komedii* miała miejsce w Warszawie, na wycieczce szkolnej w 1960 roku. Przyjechaliśmy do stolicy z Bielska-Białej, żeby w Muzeum Narodowym pogłębić wiedzę o sztuce, nabywaną dotąd w Liceum Technik Plastycznych.

Był to prawdopodobnie styczeń, albo luty, bo wcześniej, 16 grudnia dano premierę *Wariata i zakonnicy* w Teatrze Dramatycznym – z Wiesławem Gołasem i Lucyną Winnicką w rolach tytułowych. Rzecz wyreżyserowała Wanda Laskowska, a twórcą scenografii był Józef Szajna.

Krótko przed wyjazdem do Warszawy (może nawet w przeddzień) widziałem w telewizji fragment tej inscenizacji, i to, co „wyprawiał” Gołas, oszołomiło mnie i nadzwyczajnie oczarowało.

Nie pamiętam, przy jakim stadionie był sportowy hotel, w którym zatrzymaliśmy się. Była tam również zainstalowana ekipa filmowa (może *Ogniomistrza Kalenia?*) i rano, przy śniadaniu spostrzegłem Gołasa. Szybko postanowiłem podejść do niego i poprosić o autograf.

Miałem przy sobie, wydaną przez PIW, *Boską komedię*. Na jej pierwszej karcie „wpisał się” Wiesław Gołas. Był to pierwszy – i jedyny, jak dotąd – taki eksces. Nigdy nie chciałem i nie prosiłem żadnego aktora o autograf. I dalej nie wyobrażam sobie, żeby mi coś takiego przyszło do głowy.

A ten tom *Boskiej komedii*, drukowany na papierze biblijnym, był dla mnie świętością.

Jak silny musiał być entuzjizm tamtego siedemnastolatka, skoro zdecydował się podsunąć tę świętą dla niego książkę do nabazgrania aktorskiego autografu.

Nie wiem, ile tercyn zdołałem wtedy przeczytać. Pewne jest, że oburzyłoby mnie uznanie arcydzieła wszech czasów za nieprzyzwoite. A do takich odczuć przychyliam się dzisiaj.

Wcześniej, bo około dziesięcioletni, czytając Słowackiego, nie miałem pojęcia, że papuga w *Kordianie*, gadająca przy papieżu, cytuje pierwszy wers Pieśni VII Piekła: „*Pape Satan, Pape Satan, aleppe!*” (które „Zaryczał Plutus ze swej chryplej krtani”).

Nie pomyślałem, że cudowny poemat *W Szwajcarii* ma klisze, wzięte z Danteskiego Raju i nie tylko z Raju.

I cóż, bliższa mi jest ta poetycka (czy – poetyczna) personifikacja zbawionej kochanki niż antypatyczna postać, uśmiechającej się pobożnie, prześlicznej mądrali, Beatrycze. (Jej ironiczno-złośliwy metaportret widzę w wierszu Norwida *Beatrix*. Ale pozostaję przy Słowackim).

Mamy jeszcze fragmenty *Poematu o piekle*, *Poemę Piasta Dantyszka* z objaśnieniem, że od jej wersu 958 Juliusz naśladuje Dantego, ale jako alibi, aby „o zupełną kradzież literacką nie był posądzony”, kładzie „kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłumaczonych”. Rewelacyjnie. No i jeszcze ten kawałek w *Beniowskim*, tytujący się „Danta tercetów niejasnych, / Do których trzeba dodawać komentarz”. I wiele więcej by się znalazło analogii i aluzji wskazujących na bliskie relacje naszego Poety z „księciem ponurych wieszczów”, jak go sam nazywał.

Tak. Ale wtedy nie przejmowałem się tymi analogiami, ani aluzjami, biorąc je za figury „kontekstualne”.

Chcę, żeby to było jasne: mam *Boską komedię* za arcydzieło arcydzieł, twór najwyższej miary genialnego umysłu, a zarazem – przeraża mnie okrucieństwo i potworność jego wyobraźni pastwiącej się nad bliźnimi, pogrążonymi w grzechach, bądź winnymi uchybień wobec – powszechnie przyjętych – zasad (rzymsko-)katolickiego porządku.

To, co oddziela mnie od *Boskiej komedii*, jawi się na samym początku dzieła, w przekładzie Adama Mickiewicza, którego sześć wersów, rozpoczynających Pieśń III Piekła, Edward Porębowicz wpisał w swoje tłumaczenie:

„Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w miasto zatracenia.
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosła mię z gruntu Potęgą wszechwłodna,
Mądrość najwyższa. Miłość pierworodna;
Starsze ode mnie twory nie istnieją,
Chyba wieczyste – a jam niepożyta!
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...”

Lasciate ogni speranza
Voi ch'entrate

A przecież, nie znając włoskiego w jego brzmieniu i znaczeniach współczesnych Poecie, daremnie próbuję dociec istoty tego, co mnie przeraża i zdumiewa, jako monstrum wyobraźni tego samego wrażliwca, który wcześniej zaskarbił sobie moją sympatię, zakochawszy się w swojej dziewięcioletniej rówieśniczce (bo znam konsekwencje takiego zadurzenia, niekoniecznie owocujące *Boską komedią*). I mógłbym rzecz potraktować sentymentalnie, gdyby nie owe konsekwencje, które domagają się pilniejszego przyjrzenia.

Piękność Beatrycze – nawet, jeśli uznać ją za metaforyczną, alegoryczną, albo symboliczną – jest dojmująca. Rzekłbym: boleśnie dojmująca.

I bardzo prawdopodobne, że znając biegle żywą mowę, jaką wypowiadał się i pisał Dante, odczułbym to niemal tak, jak nasycone zdania polszczyzny *Kazań świętokrzyskich*: „Wstań, prawy, pośpiej się, miluczka moja, i pojździ! I zmowił Syn Boży słowa wielmi znamienita, jimiż każdą duszę zbożną pobudza, ponęca i powabia”.

Bez translatorskiego zapośredniczenia dosadniej odczuwałbym ruch i – by tak powiedzieć – „kinetyczny” sens intencji, oddychając rytmem średniowiecznych tercyn.

Wracam do owej boleśnie dojmującej piękności.

I akurat w tej chwili dowiedziałem się o śmierci dziewięćdziesięciodziesięcioletniego Wiesława Gołasa. Obok smutku poczułem radość z tego, że został jedynym aktorem, którego poprosiłem o autograf; że niemal mechanicznie wpisał mi się w *Boską komedię*. On – w ścisłym tego słowa znaczeniu – boski komediant. Niech, odpoczywając w pokoju, dalej – ku chwale Stworzyciela – wyprawia swoje brawurowe brewerie. Jak Mądrość igrająca przed Panem. (Bądź – w bliższym mi przekładzie: grająca).

Ach, no i właśnie. Czyż to, co mówi o sobie Mądrość w ósmym rozdziale Księgi Przysłów (albo – w innych tłumaczeniach – Przypowieści Salomonowych) nie odnosi się do Beatrycze?

Tak. Odnosi się. I wskazuje na inny rodzaj lektury niż ten, któremu się nie tylko naiwnie poddałem. Pamiętając wszak o jego aspektach religijnych, filozoficznych, psychologicznych, eschatologicznych, nie pomijając – rzecz jasna – estetyczno-komparatystycznych.

W litanii loretańskiej Maryja nazwana jest Stolicą Mądrości. Przecież nie dlatego, że ów natchniony pierwszy autor tak sobie to pięknie, poetycko „wymyślił”.

Zostało mu to (jak i jego sukcesorom) objawione. W olśnieniu, w namyśle, w racjonalnej dedukcji – nie wiem.

Asekuracyjnie powiedziałyby się: w natchnieniu. Pobożnie – z Ducha Świętego (nadużywając poufale, jak zwykle, Jego Autorytetu).

Wiem jednak, że bywamy (a może – z racji bycia stworzonymi – jesteśmy) wyposażeni w taką intuicję miłości, która pozwala nam ujrzeć ową przedwieczną Mądrość, opromieniającą osobę ukochaną. Utożsamiającą się z nią.

Dobrze, dobrze, nie ulegajmy jednak grandilokwencji egzaltowanego zapaleńca, gotowego w tej chwili „odszczekać” wszystkie swoje „oszczerstwa” wobec arcydzieła arcydzieł i jego Autora.

Dalej dolega mi okrucieństwo i pycha Dantejskiej wyobraźni i racjonalności. Teologicznej i filozoficznej. Ale także – artystycznej. Ich odbicie (niektórzy powiedzieliby: piętno) widać wyraźnie w twórcach artystów, teologów, filozofów, którzy stali się sukcesorami systemu „urządzenia świata” wtopionego w tercyny *Boskiej komedii*.

Wszystko we mnie buntuje się przeciw takiemu światu. A raczej – przeciw takiemu widzeniu świata. A przecież jest to widzenie przekonujące o swojej wierności temu, czemu świadectwo dają piekielne pieśni szydyczko-satyrycznego (!) poematu.

Czemu dają świadectwo? Rzeczywistemu, mentalnemu, wymyślonemu, mistycznemu zejściu do piekła, jak i dalszej wędrówce do czyśćca i rajów? Za życia?

Absurdalność Dantejskich wizji dowcipnie uchwycił Czesław Miłosz w *Ogrodzie nauk*: „Piekło Dantego jest przede wszystkim Hadesem starożytnych [...]. Znajdujemy tam i Cerbera, i Charona, i Styks, i Acheront, i ognistą rzekę Flegeton, i zamarzlą rzekę Kocytus, w której właśnie uwięziony jest Szatan. Co więcej, roi się tam od stworów wziętych z mitologii starożytnych i z ich literatury. W Piekło? W chrześcijańskim Piekło? To tak, jakbyśmy dzisiaj wymyślili fantastyczny kraj, w którym na równych prawach mieszkają obok siebie Winston Churchill, Madame Bovary, Feliks Dzierżyński, Pan Twardowski, Robinson Crusoe, rusałki, koboldy i miłośnicy nam właśnie panujący minister X”.

Eschatologiczna fantastyka?

A przecież z podobnie powściągliwą nieufnością i słabo tłumionym oburzeniem reaguję na zdania świętej Katarzyny ze Sieny o piekle. Zdania, których podmiotem mówiącym jest Bóg.

Wymienia cztery katusze. (Trzy pominę). „Czwartą katuszą jest ogień, który pali a nie strawia nigdy. Substancja duszy nie może się spalić, albowiem nie jest ona czemś materialnym, co ogień zdołałby zniszczyć. Ale Ja, w swej boskiej

sprawiedliwości, pozwalam, że ten ogień pali ich boleśnie, że ich udręcza, nie niszcząc wszelako, że ich karze mękami wielkimi i w rozmaity sposób, według różnorodności ich grzechów, t.zn. więcej albo mniej, stosownie do ciężkości ich winy.

Do tych czterech katuszy dochodzą wszelkie inne, jak zimno, gorąco, zgrzytanie zębami i inne jeszcze”.

Przeraźliwe i przerażające. (Choć dla niektórych może być śmieszne). Przyszło mi do głowy, że może słońce jest piekłem. I inne gwiazdy też. Biedny (!) święty Franciszek i mój mistrz Julian Przyboś. I ja biedny – solarystyczny zakochaniec. Jak oni. (Z zachowaniem przyzwoitych proporcji).

No dobrze, ale piekło (jeśli wierzymy w jego istnienie) nie jest „chrześcijańskie”, ani Bóg – rzymskim katolikiem. Piekło Dantego nie jest słońcem. Jeśli już pozwoliłbym sobie na porównanie, to – z jakimś Instytutem Tortur. Instytutem Doskonalenia Cnotliwych. Albowiem, idąc za świętą Katarzyną, mówiącą (przywłaszczonymi) słowami Boga: „w piekle czarci są wykonawcami mej sprawiedliwości i pracują na rzecz moją. Działają oni też na korzyść stworzeń ziemskich, ćwicząc je w cnotach licznymi szturmami, rozlicznymi pokusami i zniewagami, które prowokują [...]. W ten sposób czarci składają cześć i chwałę memu imieniu, i tak przez nich wypełnia się moja Prawda”.

Mogę (na chwilę) pominąć pytanie o to, jakiego typu doświadczenie (objawienie, zachwycenie, odurzenie) stanęło u początku, dało impuls do tercynowej wycieczki w Pośmiertne. Czym było to oślepienie błyskawicą, po którym nieszczęsny Wędrowiec padł „jako pada człowiek senny”. (Wszak to jego własne słowa – w polskim tłumaczeniu). Ale wypada mi pamiętać choćby o zaświatowych wędrownikach szamanów, czy o tybetańskim *Bardo*. I o – najbliższych mojemu myśleniu – refleksjach Andrzeja Falkiewicza: „Dlaczego widzenia chrześcijańskich mistyków mają zawsze za temat chrześcijańskich świętych, a z kolei wyznawcom Kryszny ukazuje się Kryszna? [...] Wcale nie po to pytam, aby doświadczenia te dezawuować. Są »prawdziwe« w tym znaczeniu, że nie zostały na użytek bliźnich skłamane, ale w naszych krytycznych umysłach budzi zawsze niedosyt konsystencja ich »prawdy« – nieporównywalna ze zdroworozsądkowo konstатовaną rzeczywistością, inaczej »rzeczywista« niż rzeczywisty świat, lżejsza, bardziej wiotka niżby się pragnęło”.

Właściwie powinienem czytać *Boską komedię*, jak *Tybetańską księgę umarłych*, albo Gilgamesza. Z szacunkiem. I zaufaniem do zapisanego doświadczenia. Nie wiem – czy z wiarą. Bo nie wszędzie Dantemu wierzę. Jak nie wierzę dzisiaj wielu tak zwanym (i nie tylko tak zwanym) duszpasterzom. Mój symbol wiary przestał

być symbolem. Jest niesymbolicznym aktem wiary. Przeraził mnie bolesnej. Przerazając bezpodstawniej. Naiwnie czuję.

Potwierdzanej indykatoem miłości. Wierzę w nadziei, kochając.

To, co uznałem za nieprzyzwoite, jest (w moim przekonaniu) „wmawianiem” Bogu naszej interpretacji Jego woli. Napis na bramie jest nie tylko jej „autoprezentacją”, lecz odnosi się do tego, co za bramą. I to, jak sama brama, zostało stworzone przez Potęgę wszechwładną, przez Mądrość najwyższą, Miłość pierwotną? Nie wierzę!

Nie wierzę, dlatego, że wierzę w Potęgę wszechwładną, w Mądrość najwyższą, w Miłość pierwotną.

Ciężko mi z tym Dantem. Bo uświadomiłem sobie, że go jakoś kocham. Że jest moim – darujcie to porównanie – komilitonem w grzechach.

Od ciemnego lasu grzechów zaczyna się ten cudowny poemat. I chyba cały jest – tak mi się teraz wydaje – kosmiczną spowiedzią. Choć inicjacyjna przewina dotyczy „tylko” sprzeniewierzenia się (pośmiertnej) wierności Beatrycze.

No tak, ale ona sama jest nie tylko sobą. (Norwid się śmieje: „O! ty – ty – a nie ty...”). Czyli jest upostaciowaniem Potęgi, Mądrości i Miłości.

Gotów jestem przystać na to, że cały ten poemat powstał z owego bolesnego odczucia zakochania „od pierwszego wejrzenia”, kiedy w iluminacyjnym błysku objawia nam się cały sens istnienia i cudowność świata – pokracznego i niszczonego przez naszą pychę – i nagle przywracanego istnieniem tego jedyne go człowieka, bliźniego – najczęściej innej płci – tej Beatrycze, czy tego Ciebie, którego imienia nie znam.

LESZEK SZARUGA

Ważki

jestes dowodem na istnienie
swiata twoje zycie jest jego
przemijaniem wraz z toba
gasna gwiazdy znikaja
galaktyki wazka zatopiona
w kryształe czasu odlatuje
w niepamięć choć właśnie
ten epizod był zapewne
znakiem zaniku
czujności bo nie dostrzegłeś
dziwności u początków
powstawania
wszechświata twojej i ich
jeszcze nieznanym nam
współobywateli
kosmicznej ojczyzny

nie poznamy się nigdy nie
poznamy ich bogów jeśli
ich mają ale wiemy że
ich świat jest twoim i moim
światem a oni nie wiedzą
że nie są osamotnieni
w erze bezczasu

tyle samotności w bezmiarze
istnienia w pełni
niebytu

Ogród

moje słowa stają się
twoimi słowami gdy czytasz
ten wiersz i wiesz że świat
się wymawia na wiele sposobów
z różną mocą i z obcym
akcentem
na końcu

będziemy razem milczeć wiersze
zapiszemy serią pauz a one i tak
będą znaczyć to co
niewyraźalne

jak ów demonstrujący na placu
czerwonym w moskwie młody
człowiek rozdający białe
kartki i za to właśnie
aresztowany bo
jak stwierdził funkcjonariusz
już my wiemy
o co chodzi

my wiemy więcej bo
dotarły do nas wiadomości
sprzed trzynastu miliardów
lat lecz wciąż pozostaje wielka
niewiadoma o tym co się działo
w erze plancka tam
teleskop nie sięga

tam sięga księga
ale zapisana *littera*
ignota objawioną hildegardzie
z bingen mniszce i kompozytorce
znawczyni ziół która bywała *ubi*
monocreote w zamkniętym
ogrodzie pamięci

Pustosłowie

coś się dzieje z poezją nie wie
o czym mówi i do kogo a słowa
wymykają się z wersów wędrują
pod strzechy i płoną na wietrze

w ciągu mojego życia ani chwili
bez wojny i coraz częściej powtórki
z ludobójstwa w kambodży w byłej
jugosławii w rwandzie w ukrainie
odkopujemy zbiorowe mogiły

poezja nie ocala poezja się wstydzi
swej bezradności bezsilnego
gniewu wstydzi się nagiej
prawdy którą wciąż ubiera
w piękne pustosłowie

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Osika

Przez lata
podziwiałem
dorodną osikę

Trwała za oknem
a ja
kontemplowałem
jej wyniosłe piękno

ale i ona
się zestarzała
– coraz bardziej bezlistna
wypróchniała

Tego roku
nawet jemiółuszki
nie przysiadły
na niej

Poleciały dalej

Minął czas

„Minął czas
jak z bicza trzasł”
– pod koniec życia
powiadała mama

I mnie odprowadza
na drugi brzeg
każdy listek brzozy
każdy wiatr

Powroty

Nikt nas już tutaj nie pamięta
ni ziemia stóp naszych ni zwierzęta
pasące się na łące Czas
powyganiał głosy z każdego zakątka
z każdą kroplą rosy
wyparowała tu nasza obecność
Rozglądasz się – skobel przy furtce
chwieje się jakby przed chwilą
potracił go ojciec
ale to tylko wiatr

O podróżowaniu

Jeszcze nie byłem
tu gdzie jestem
Świat nie za duży
nie za mały
Ciągłe przede mną
rzeczy pierwsze
– a spotkać wieczne
w przemijaniu
oto co dla mnie
najważniejsze

W drodze

Głos Boga
w śpiewie świerszczy
tuż za skrajem
nadnoteckiej drogi
z Rybna do Sosnówki

w szumie rzeki
w ciszy po opuszczonych
przez ślimaki
muszlach

w beczeniu kozy
na rysunkach
Jerzego Panka

w świetle
na ramionach krzyża
w Krzesznej

w szepcie
starej Kaszubki
która przystaje
żegna się

i idzie dalej

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Dedykacje

W 2011 roku, jak to się czasami mówi, niemal na gwałt trzeba mi było zgromadzić co najmniej dwa komplety mojego naukowego dorobku (książki, najważniejsze artykuły...). Czas naglił, gdyż czekali na nie wyznaczeni przez Radę Wydziału Filologicznego UG recenzenci mojego profesorskiego projektu – a ja... nie posiadałem na tę chwilę wszystkich potrzebnych do „nadania biegu sprawie” publikacji. Pojedyncze egzemplarze – te owszem – miałem na podorędziu, ale skąd wziąć pozostałe? Jąłem więc ich szukać między innymi po trójmiejskich antykwariatach, aż w końcu – szczęśliwie! – natrafiłem na jedno z moich dzieł. Był to nadzwyczaj skromny objętościowo i stosunkowo niedawno wydany *Dar zamieszkiwania. Eseje o doświadczeniach i wartościach* (Pelplin 2002). Ucieszony, poprosiłem o ów *Dar*, a kiedy przyszło do płacenia, przyznam, nieco zdziwiła mnie cena owej książeczki. „Dlaczego tak drogo?” – zapytałem sprzedawcę, a on na to: „Bo to, proszę pana, rzecz z dedykacją! A to kosztuje...”. I rzeczywiście, na przedtytułowej stronie stało: „Drogim Alinie i Jurkowi Afanasjewom, na pamiątkę naszej długoletniej przyjaźni” i tak dalej. Wtedy też z całą wyrazistością uświadomiłem sobie, iż dedykacje mogą mieć również swoją materialną wartość, i – bywa – że za książki z nimi trzeba nam czasem jeszcze nieco grosza dołożyć. Powodowany ciekawością zapytałem, jak się rzeczzone dziełko do jego rąk dostało? Skąd ono? A on na to: „Bohaterka owego wpisu po śmierci męża pozbywała się swojej biblioteki, i trochę od niej kupiliśmy. Ale wie pan, to bardzo specyficzny księgozbiór; głównie lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. Niespecjalnie ludzie dziś tego szukają”. Tak czy owak wyszedłem ukontentowany.

Po tym zdarzeniu przypomniałem sobie, jak to latem 1996 roku Alina Afanasjew zaprosiła mnie do swego mieszkania przy ulicy 3 Maja w Sopocie, które przez dziesiątki lat dzieliła ze swoim sławnym mężem, poetą, reżyserem i satyrykiem Jerzym oraz z ich jedynym synem, zwanym też „małym Jurkiem”. Po śmierci autora *Sezonu kolorowych chmur* trzeba jej było sprzedać owo niezwykle lokum, pełne różnego rodzaju rodzinnych pamiątek, obrazów, rzeźb i książek. Na

odchodnym dała mi na „dobre wspomnienia” parę swoich plastycznych prac oraz torbę rozmaitych publikacji. Wśród nich, jak się okazało, znalazły się dwie z nadzwyczaj ciekawymi dedykacjami. Pierwsza to trzecie wydanie (Warszawa 1956) *Żywego i martwego morza* Adolfa Rudnickiego z następującym wpisem (pisownia jak w oryginale): „Dla p. AFANASJEW / Droga Pani, niektóre z tych opowieści (jak przedtem *Szczury, Niekochana, Pałeczka*) uległy / przeróbce i zmianom, I tak *Żywe i Martwe Morze* istnieją obecnie jako *Regina, Regina / Borkowska* (ze *Wspólnego zdjęcia*) *Autoportret z dwoma kilogramami złota* należy czytać / tylko do str. 281) *Majora Huberta* skróć także w przyszłości. // Serdecznie Panią pozdrawiam / Sopot, VII, 69 A. Rudnicki”.

Ileż w powyższym zapisku, przyszło mi na myśl, interesującego materiału dla skrupulatnego badacza artystycznych dokonań autora *Niebieskich kartek!* Ileż powodów do rozmyślań nad świadomością pisarza, któremu – jeszcze dziesięć lat po tak zwanych październikowych przemianach – w jakiś sposób nadal ciąży jego niegdysiejsze zaangażowanie w socrealizm – i on (Rudnicki) wciąż próbuje się z nim (oraz z samym sobą), rozliczyć! Snuje wobec tego jakieś plany; sugeruje przyszłe poprawki, skróty, przeróbki... Jak się zdaje – daremnie, gdyż bez publikacyjnych efektów w tej konkretnej sprawie. *Żywe i martwe morze* nie miało już dalszych edycji.

Druga z подарowanych mi książek to zbiór wierszy Stanisława Grochowiaka *Menuet z pogrzebaczem* (Kraków 1958) z dość lakoniczną dedykacją: „Wielkiemu Jerzemu Afanasjewowi widz z któregoś tam rzędu w cyrku Tralabomba / S Grochowiak / Kiermasz 59, październik”.

Dziś już nie żyją zarówno adresaci owych dedykacji, jak i ci, którzy je na stronach swych książek wpisywali – ale pozostał wcale interesujący ślad ich spotkań, zadzierzgniętych naówczas znajomości (a może i przyjaźni nawet!), emocji, które im towarzyszyły, a także – jak w przypadku Rudnickiego – dość żywy w swym kształcie, spontaniczny zapis pisarskich zmagania z własnym dorobkiem. Niby drobne rzeczy, acz przecież nie bez znaczenia nie tylko dla zainteresowanych literackim życiem swojej epoki. Wszak zawiera się w nich również swego rodzaju troska o przetrwanie w czyjejs zyczliwej pamięci; coś jakby znak niegdyś przez wędrowców wycinany kozikiem na drzewie bądź wydrapywany kamykiem na murze: tu byliśmy... A może też znaczyć: *sta viator* – jeśli znajdziesz tę książkę w torbie od żegnających cię przyjaciół lub w antykwariacie; zatrzymaj się, zadumaj...

W jednym z takich antykwariatów swego czasu nabyłem dwie ciekawe książeczki. Pierwsza to zbiorek *Otawą*, jak głosi podtytuł, *Wierszy dawnych i nowych*

Beaty Obertyńskiej, wydany w Jerozolimie w 1945 roku. Jego autorka, po latach łagrowej udręki trafiła do armii generała Andersa, by razem z nią przemierzać długi, żmudny i trudny szlak ku wymarzonej Ojczyźnie. (Której to wolnej Polski nie doczekała; zmarła w 1980 roku w Londynie). A zatem jest ta książeczka również widomym znakiem związanych z ową drogą nadziei. Ktoś (może jakiś żołnierz udręczany pustynną monotonią?), maczając pióro w atramencie, napisał (i to gdzie? w miejscu narodzin Chrystusa!): „Troszkę poezji / w szarzynę życia / od [tu nieczytelny podpis] / Nazaret, 30, VI, 45”.

I na teź samej stronie, tuż przy powyższych słowach, jakieś dziecko, po latach, długopisem (czyli jakby już w innej epoce!), koślawymi literami zostawiło takie oto świadectwo swego edukacyjnego trudu i zapału: „dom i as i Ala i Ola lala”.

Trzeba przyznać, zdumiewający to palimpsest: na tej samej kartce spotkanie dwu pokoleń, nawarstwienie się doświadczeń, niespodziewane skrzyżowanie się ludzkich traktów i drózek.

Druga z zakupionych przeze mnie książek to opublikowany przez Towarzystwo Wydawnicze Ignis w 1921 roku zbiorek Kazimierza Wierzyńskiego *Wiosna i wino*; tomik zawierający chyba najbardziej optymistyczne wiersze w długich dziejach polskiej poezji. W prawym górnym rogu przedtytułowej strony ktoś położył następujące słowa: „Kwaśniewskiej Halinie / Wrzesień 1944 r. / Wojna”.

A więc tyle też może wystarczyć na przejmujące w swej istocie świadectwo naszej dramatycznej epoki! I leż tu smutku i ludzkich tęsknot zarazem!

Pora jednakże przejść do powojennych czasów. W latach sześćdziesiątych, w okresie moich polonistycznych studiów – najpierw na gdańskiej WSP, a potem na Uniwersytecie – zaprzyjaźniłem się z poetą i malarzem w jednej osobie: z Mieczysławem Czychowskim. Z tamtego okresu zostało mi sporo jego plastycznych prac, a także tomiki, które w owym czasie opublikował. Wszystkie opatrzył serdeczną dedykacją, a w paru przypadkach również swoistym logo swojej malarzkiej „firmy”: rysunkiem kogucika. Co on znaczył? Do czego nawiązywał? Nie wiem... (Na marginesie dodam, że Władysław Kopaliński w swoim znakomitym *Słowniku symboli* rozmaitym znaczeniom figury koguta poświęca aż dwie bite strony. Tak więc i w tym przypadku jest się też nad czym zastanawiać). Była to zatem (i do dziś pozostała) jedna z wielu tajemnic tego artysty – cygana; postaci barwnej i tragicznej zarazem: poety niepokornego, jak kogut czupurnego, i również jak kogut dumnego tak ze swych dokonań, jak i ze swoistego „stada” rozlicznych admiratorów swojego talentu. W debiutanckim tomie *Miejsca wydrążone* (Gdańsk 1960) znajdujemy taki oto *Poemacik z kogucikiem* – z tytułowym ptakiem

w głównej roli; tym razem, jak się zdaje (i jak to swego czasu odczytywano), politycznego koniunkturalisty:

Stoi na wieży kogucik
takie blaszane gówno
i rozdziobuje słońce.

Jeśli wiatr zawieje z tej strony
– kogucik obróci się tam.
Jeśli wiatr zawieje z tamtej strony
– kogucik obróci się tu.

Skurwysyński kogucik.
Takiemu to zawsze dobrze.

Dedykacji zamieszczonej w *Zapisywaniu trenu* (Gdańsk 1971) „Kaziowi Nowosielskiemu / z serdeczną przyjaźnią” towarzyszy już nie tylko kogucik, ale i kwiatek, a zaś aż dwa owe ptaki znalazły się we wpisie zamieszczonym na przedtytułowej stronie jednego z ostatnich zbiorów gdańskiego poety, w *Krwiałamowane* (Gdańsk 1979).

Niezwykłymi rysunkami zwykł też opatrywać swoje książki przyjaciel Czychowskiego (a i mój po trosze) Ryszard Milczewski Bruno – metrykalnie: z Grudziądza (ul. Kalinkowa 55), ale tak naprawdę to nie wiadomo skąd – bo niemal przez całe życie domem był mu wędrujący z nim świat; gdzie stopę położył – tam i próbował (zazwyczaj – beznadziejnie) zamieszkać. „Tu dom mój – o kamień upadły / Tu mi życ daj – prowincjo macocho” – oświadczał w zbiorze *Poboki* z 1971 roku. Zamieścił w nim taką oto skierowaną do mnie dedykację: „Kazikowi Nowosielskiemu / te trochę rwów / i wyrwasów / najserdeczniej / ku [tu wyraz nieczytelny; zdaje się: duchom] rozpraszam – – / Bruno / Kalinkowa, 17. 11. 72”.

Milczewski uprawiał samosiejną poezję życia i słowa. „Sobieskrobek jestem” – pisał w debiutanckim tomie, a w innym dodawał, iż jest „urodzony w galopie” – co widać nawet w składanych przezeń dedykacjach. Ot, choćby takiej, jak ta w zbiorze *Dopokąd* z 1974 roku: „Kazikowi / Nowosielskiemu / – trochę: diabelstwa – / pierwocin zgubienia – – utraty i tak dalej / pochwy? – – / serdecznie / – Bruno / Kalinkowa – styczeń 75”. A obwiódł te słowa konturem łba – jakby swojego, ale nie do końca. (Swego czasu, kiedy to w trakcie wędrówki „przez ten sen dobry świat” przyszło mu zanoć w naszym mieszkanku w Gdańsku – Brzeźnie, po przespanej nocy zostawił na pamiętkę coś jakby plakat przedstawiający głowę w kształcie męskiego przyrodzenia. Niestety, po paru dniach zniknął z naszego korytarza. „Odkleił się od ściany i wyrzuciłam...” – oznajmiła nasza sąsiadka).

Równie bogate w dygresje (na poczekaniu czynione!) bywały też dedykacje składane przez Mirona Białoszewskiego. Kiedy 21 kwietnia 1977 roku pojawił się na jednym z prowadzonych przez profesor Marię Janion tak zwanych seminariów otwartych, nie omieszkałem i ja ustawić się w kolejce po wpis od sławnego autora. Kiedy kładłem przed poetą *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, czuwająca nad tym spotkaniem Pani Profesor tak oto – prowokacyjnie! – skomentowała tę sytuację: „A to idzie ten, który bardzo nie lubi tej książki” – co oczywiście (i ona wiedziała o tym!) było nieprawdą. I co widzę? Białoszewski, nawet nie spojrzawszy w moją stronę, bez większego namysłu wypisuje: „P. Kazimierzowi / Nowosielskiemu / który podobno wrogo / jest ustosunkowany / do tych pisań / – no ale co ja mam / na to poradzić? / mogę tylko pisać / dalej, a to tylko / pogarsza sytuację. / Niech się pogarsza. / Gdańsk – Oliwa Miron Białoszewski / 21 kwietnia / 1977 Warszawa Lizbońska 2 m 62”.

Ten ostatni adres pojawił się w chwili, kiedy – co nieco skonsternowany – zdołałem wymamrotać, że i ja kiedyś napisałem szkic o *Zajściu pantoflami* (z rozmaitych powodów bardzo mnie ów wiersz zaciekawił!) – i chętnie, jeśli taka wola Autora, przesłałbym mu go. Przytaknął, wpisując swój warszawski adres. Kiedy w trzy lata później raz jeszcze pojawił się w Gdańsku, zostawił na tytułowej stronie swych *Wierszy* (Warszawa 1976) taki oto ślad: „P. Kazimierzowi Nowosielskiemu / z podziękowaniem / za ciekawe pisanie / o *Zajściu pantoflami* / Gdańsk Miron Białoszewski / 21 listop. 1980”.

Także znany gdański prozaik Zbigniew Żakiewicz zwykł dość obficie okraszać rozmaitymi uwagami swoje wpisy na ofiarowywanych mi książkach. Pisał je z werwą, zamasyście, dużymi literami. Częstokroć długie zdaniowe okresy zdawały się wylewać poza granicę przyznawanej im strony. Były przysadziste, tęgiej postury – tak, jak i sam autor. Przytaczam tylko niektóre z nich. Pierwsza z dedykacji pochodzi ze zbioru „opowieści żartobliwych” zatytułowanych *Ciotuleńka*, wydanych w Gdańsku w 1988 roku: „Kochany Kaziu, ty Wilniuku kujawski, pamiętaj: całe nasze szaleństwo z Wilna (którego nie ma). / Ten żart na serio przyjm z przyjaźnią / Zbyszek – Tatuleńko / Gdańsk, marzec 88 rok”.

„Kochany Kaziku Nowosielski, – po paru latach napisał w opowieści *Wilno, w głębokościach morza* (Kraków 1992) – przecież Twój stryj chodził w Oszmianie do gimnazjum razem z Zosią, Lusią, Wackiem Ogonowskimi – tymi od »Kniazia tatarskiego«, starego Abacza – krew, męka, udręka naszych Rodziców ciąży na nas (wiem o tym), a przecież to Morze... Przepraszam, że tak późno! / Twój Zbyszek Abacz i Wołk – Wołczański / Rybnik(!), 25 IX, 95”.

A zaś *Gorycz i sól morza. Gdańskie Smorgonie* (Gdańsk 2000) opatrzył następującym wyznaniem: „Kochanym Mariom i Kazikom Nowosielskim z lch piękną Adamową Rodziną – my Misie Smorgońskie, pamiętając też nowosielskie Oszmianny, witamy się pięknie i dopraszamy się miodu! / Zbyszek Żakiewicz / 6.VI.2000 rok”.

Są też książki będące wspomniałymi pamiątkami wizyt w naszym domu, a także zadzierzgniętych tu na długie lata przyjaźni – jak to się działo choćby w przypadku Ludmiły Marjańskiej, która w zbiorze *A w sercu pełnia. Wybór wierszy*. (Warszawa 2003) położyła to zdanie: „Kochanym Przyjaciołom – Marylce i Kazikowi Nowosielskim na wspomnienie lat, w których gościli mnie w Oliwie, kiedy byłam w Sopocie (i pewnego dnia przed 8 laty, gdy usłyszałam radosną nowinę – i innego dnia na plaży, gdy jasnowłosy Adaś poznawał morze...) / Ludmiła Marjańska / sierpień 2003”.

Zostawili nam swoje dedykacje goszczący w naszym domu między innymi: Anna Kamieńska, Adriana Szymańska, Zbigniew Bieńkowski, Stanisław Misakowski, Teresa Ferenc, Zbigniew Jankowski, Janina Wieczerska, Jacek Łukasiewicz, Bronisław Maj, Waldemar Żyszkiewicz, Aleksander Jurewicz, Krzysztof Dybciak, Tomasz Burek, Bogusław Żyłko.

Do końca życia nie zapomnę wieczoru, kiedyśmy w Hotelu Asystenckim w Gdańsku – Brzeźnie, w naszym skromniutkim pokoiku (11 m², 2-letnia córeczka, dziesiątki, jeśli nie setki książek między innymi na tak zwanych półkotapczanach!), kiedyśmy to przyjmowali na kolacji Stefana Kisielewskiego (Kisiela) po wygłoszonym przez niego w hotelowej świetlicy wykładzie. W swoich znakomitych *Dziennikach* pod datą 21 lutego 1975 roku zapisał: „Poza tym spotkałem się tu z młodzieżą w domu akademickim w Brzeźnie – humaniści z tutejszego uniwersytetu, mili, spragnieni polityki i – plotek. Urządziłem im odczytek o historii »Znaku«, słuchali z przejęciem. Bardzo antykomunistyczni i bez żadnych złudzeń. Dom akademicki jeszcze pomysłu Kliszki: małe, ciasne ciupki, wspólne kuchnie i łazienki”. W swoim *Gwiazdozborze muzycznym* zostawił nam następujący wpis: „Dla Marii i Kazimierza Nowosielskich z podzięką za miły wieczór / Stefan Kisielewski / Brzeźno 20. II. 75”.

W 1976 roku przenieśliśmy się wreszcie do blokowego mieszkania na nowym osiedlu w Gdańsku – Oliwie, gdzie i podrastające dzieciątko mogło się wreszcie swobodnie poczuć (niebawem przyszły na świat następne dzieci), a i moje książki – których też stale przybywało – rozgościć na przygotowanych przez stolarza półkach. Były wśród nich także nadsyłane mi przez poetów, powieściopisarzy, eseistów... Można tam znaleźć wzruszające świadectwa czyjejs zyczliwości,

zawiązujących się, dość często tylko korespondencyjnie, acz częstokroć długo-trwałych i bardzo szczerych, przyjaźni, pamiątki po wyprawach na spotkania autorskie, publikacje przywożone ze zjazdów pisarzy lub naukowych konferencji. Dziesiątki ich. Są wśród nich i takie rarytasy, jak zbiorki poezji z wpisami od Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, jak również książki z dedykacjami od Zygmunta Kubiaka, Marii Janion, Jana Bolesława Ożoga, księdza Jana Twardowskiego, Michała Głowińskiego, Jerzego Harasymowicza, Kazimierza Świągockiego, Joanny Pollakówny, Leszka Aleksandra Moczulskiego... Przesyłali mi również swoje tomiki z prośbami o uwagę debiutujący poeci i przysposabiający się do wysokich lotów początkujący naukowcy. Każda z tych książek to mój jedyny w swoim rodzaju skarb. Kto go odziedziczy? Czy ktoś kiedyś weźmie go do ręki – i choć przez chwilę wspomni, jeśli już nie mnie, to autora książki? A może wystawi na jakiejś aukcji, albo na targu staroci położy na straganie – a gdy nadejdzie amator, on (sprzedawca) będzie się z nim targował o dobrą cenę; „Bo to przecież panie ręcznie pisane. Dzisiaj już się takich rzeczy nie spotyka”.

GRZEGORZ WRÓBLEWSKI

Obrzęd pokłonu

Niszczące regularność horyzontu
zdarzenia...

Co obroni nas przed wimaną i
kataklizmami?

Gotowana głowa przepiórki, czy może
chimeryczne,
zółte yamabuki? Wymówki, pałacowe ceremonie,
oszukane aranżacje kamieni rozrzuconych
na plaży...

Jak najszybciej wykupić koję na Andromedę.
Głowa przepiórki (ewakuacja)!
Uciekać z dala od zmysłowych, ziemskich
jadłodalni i twarzy podczas wyścigów
konnych...

Odcinki

Kwas nukleinowy...
Zbliżamy się do końca,
czyli pseudogenów.
Bardzo dostojnie było mi
reprezentować biało.

(Tutaj miejsce na ew.
komentarze...).

Bez względu na to,
że ocierałem się
o kumulusy,
jako uboczny rezultat
sekwencji.
Jednak w końcu
(ostatecznie) nim
byłem.

Umiarkowany optymizm

Kulki nadal się toczą.
Podobno z naszym lub bez naszego udziału.
Jowisze nie przyjmują chyba rządowych
pielgrzymek...
Podobnie jak niewidome krety, niszczące
ogródki pełne egzotycznych kwiatów
upolowanych w sieci z okazji, żeby
potem ich nie podziwiać, gdyż nadmierna
jaskrawość jest oczywiście nie-do-zaakceptowania.
Nie było jednak innego wyjścia...
Księżyc to tylko żarówka, umiejętnie zawieszona
ma przyciągać komary i inne skrzydlate zjawy.
Rozedrgany, błękitny Sund... Woda spiskuje
wraz z półkulami kresomózgowia.
Wiosenne słońce opala i niszczy mi
skórę.
Radośnie (zdaje się) oddychamy.

Sirsasana

Chłopiec z kolorowymi LEGO...
Jeszcze nie został specjalistą
od patroszenia ptaków i nie remontuje
kopenhaskich kamienic.

Wszyscy obserwują jego żółte zamki
z zazdrością.
Młodość kontra zjechane wątroby.
Kibice przegrali w kasynach i utracili
zdolność stania na głowie, żeby gorzej
rozchodził im się płyn ustrojowy.
Jensen ma demencję i nie może sobie
niczego przypomnieć...

Sirsasanę uprawiał jego dziadek,
ale bardzo możliwe, że chodziło mu
o synową z Lundu. Sprawa nierozstrzygnięta.
Zabierze swoją ostateczną wersję w kurhany...

%

Kwietniowe słońce na wyspie Amager.
Somebody put something in my drink
(Ramones). Czy wszystko można zacząć
od nowa? Dwa głosy:
1. Jutro jest zbawiennie!
2. Nie ma go, zanim nie nadejdzie...
Czyli niczego na 100% nie da rady
(od nowa). OD NOWA istnieje
wyłącznie hipotetycznie.
Albo 50 na 50% (dwa głosy).

PIOTR PIASZCZYŃSKI

Zew

Dość często w dyskusjach o historii
mówi się o „łasce późnych urodzin”.
Dotyczy to Niemiec i tak zwanego
obszaru postkomunistycznego.

Inaczej ta kwestia ma się w naturze.
Otóż słabe pisklę, wyklute najpóźniej,
co mu okrutna przyświecała gwiazda,
jest po spartańsku wyrzucane z gniazda.

Szczęśliwie uniknięty ponury
zew historii. I zwykły zew natury.
Mała refleksja na życia tego miarę:
to samo jest losu wyrokiem lub darem...

E-maile

W. moje cierpliwie odbiera,
swe natomiast sygnuje K.K.
Co jego zdaniem oznaczać ma
pechowego Kolekcjonera

Kłęsk... To oczywista przesada,
ze sporą dozą kokieterii.
Ponieważ na koncie posiada
od lat sukcesów całą serię.

Ja pod swoimi zwykle klikam
po prostu P.P. – jak należy.
Można to jednak też odczytać
w ten sposób: Permanentny Przegryw...

66

„Od dzisiaj imię twoje
przez rok jest sześćdziesiąt i sześć”
– pisze K. w porannej poczcie.
Zatem nic, tylko toast wznieść?

O wieku sygnały daje
mi ciało: bólu dźgnięciem.
Zmusza, bym poczuł się starzej
o dziesięć lat albo więcej.

Zaś bezcielesna reszta
to nieopierzony młodzik.
Jemu najpewniej zawdzięczam,
że w trampkach tak lubię chodzić...

BOGDAN TOSZA

Powrót Fedry

Jackowi Waltosiowi

I znowu stoi zastygła
węzłem tragedii
którego już nikt i nigdy
nie zdoła rozsypać
teraz kiedy wróciła
z wystaw ze spektakli
oszołomiona aplauzem
speszona oklaskami
patrząca na siebie jakby
nie rozumiała całego zgiełku
którego tak bardzo
chciała uniknąć
który ją zaskoczył
aby teraz znowu w ciszy
przeżywać stare dramaty
sceny bez słów
źle wypowiedzianą miłość
niespełnienie ciała
jeszcze bardziej skurczona
w ostrym świetle
narysowanego reflektora
„Samą mnie zostaw mojej doli nieszczęśliwej”^{*}
I znowu zastyga w skurczonym geście
szybko schnącego cementu
„oko jej oszalałe już nas nie poznaje”^{**}

^{*} Jean Racine, *Fedra*, tłumaczył Tadeusz Żeleński (Boy), w: *Tragedie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958.

Na wystawie Hammershoia

Skąd przychodzi to światło
które ma siłę stworzenia
a jest przecież tylko po to
aby wyłonić właśnie jego
gdy stoi z książką przy oknie
w pustym pokoju
Co czyta ten Hamlet
który jest bardziej duński
niż książkę Elsynoru kiedy tak
„stoi ponad życiem, ponad światem”^{*}
i wie że to właśnie do niego
kieruje przesłanie szalony prorok
a wtedy za ścianą ona
kopenhaska Penelopa
kończy tkaninę którą za chwilę
jeszcze raz rozpruje
bo umiłowany żeglarz
znowu nie przysłał listu
walczy gdzieś ze sztormami
jakby nie wiedział jaka burza
szarpie jej małe serce
Słońce które wcześniej odbiło się w morzu
wchodzi jeszcze mocniej do wnętrza
i zastygła na zawsze bielą soli
osiada na firankach na meblach
i drewnianych deskach zużytej podłogi
Cisza w sąsiadujących pokojach
niepokoi ich wzajemnie
– co się tłucze w jej sercu
– czym zajęta jest jego głowa
i w tym milczącym nasłuchiwaniu
do obojga równocześnie napływa
bolesny dźwięk wiolonczeli
Henryego Bramsena który grał

^{*} Stanisław Przybyszewski, *Na drogach duszy*, Kraków 1900.

tu ostatnio pierwszą suitę Bacha
Kiedy nieproszeni znowu
zaglądamy do jej pokoju
niewidocznym ruchem
jeszcze bardziej odwraca głowę
aby nie było widać
bezgłośnie spadającej łzy

Prenumerata

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

w kraju i za granicą

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąż (9)

2013

Paul Ricoeur: „Filozofia Heideggera jest tak silnie skoncentrowana na ontologii, że kryteria wyborów moralnych i politycznych zupełnie w niej nie występują. To ontologia, która nie jest w stanie wytworzyć etyki”.

Nie chodzi o moją trwogę przed indywidualną, osobistą śmiercią, ale o tragedię śmierci innych. Według Heideggera jedynie Niemcy i Grecy zasługują na taką „trwogę”. Podludzie, jak Żydzi czy Słowianie, nie należą do „filozoficznych wybrańców” tego typu.

Enzo Traverso: „Jeśli I połowa XX wieku należała do Franza Kafki, Zygmunta Freuda, Waltera Benjamina, Róży Luksemburg, Lwa Trockiego, to druga raczej do Raymonda Arona, Leo Straussa, Henry’ego Kissingera, Ariela Sharona. Żydzi reprezentowali nowoczesność w różnych jej przejawach, ponieważ jednocześnie byli jej prekursorami, aktorami, krytykami i ofiarami”.

Mnich buddyjski do Richarda Francisa Gombricha: „Bogowie nie mają nic wspólnego z religiami”.

Frans de Waal uważa, że rytuał religijny jest niezbędny do podtrzymywania więzów społecznych. Przekonuje przy tym, że moralność nie pochodzi od Boga. Religia powstała z głębokiej potrzeby moralności – wartości, które przejawiają nie tylko ludzie, ale i spokrewnione z nami wyższe zwierzęta. Jak moralność wynikła z ewolucji – tego nie wiemy.

Józef Hen: „Dla tej garstki Żydów, która jest w Polsce antysemityzm nie jest taki ważny. Można żyć, nie zwracając na to uwagi. Bardziej szkodzi Polakom, bo pozwala nimi manipulować, zaciemniać rzeczywistość. To oni powinni protestować”.

Marek Edelman: „Człowiek to jest coś wyjątkowo paskudnego. Byle tylko dać mu szansę”.

Róża Luksemburg: „Czuję się u siebie na całym świecie; wszędzie gdzie są chmury, ptaki i łzy ludzkie”. W oczach Niemców pochodząca z zaboru rosyjskiego Żydówka Luksemburg jest piękną osobą moralnie oraz tragiczną aktywistką lewicowo-komunistyczną. Natomiast w oczach Polaków – fanatyczną rewolucjonistką bolszewicką, ślepą (a to mało powiedziane!) na walkę o niepodległość Polski. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana: tak jak Polka Maria Skłodowska-Curie celowała w naukach ścisłych, ale w Paryżu, tak jak Polka Olga Boznańska w malarstwie (też w Paryżu), tak polska Żydówka (posługująca się literacką polszczyzną) Róża Luksemburg celowała w analizach finansowo-imperialnego kapitalizmu i sytuacji klasy robotniczej na przełomie XIX i XX wieku. Wychodziło jej w tych analizach, że niepodległość Polski nie jest najważniejszą kwestią, gdyż rewolucja socjalistyczna wyrówna rachunki i klasowe, i niepodległościowe w równym stopniu.

Victor Hugo: „Najczęściej motłoch zdradza lud”. Znowuż aktualne.

Poeta amerykański Charles Olson: „Rzeczywistość odnawia się sama każdego roku. Rzeczywistość jest słoneczna. Rzeczywistość jest wieczna”.

Robert Collingwood: „Najważniejszym wyzwaniem dwudziestowiecznej filozofii jest osądzenie dwudziestowiecznej historii”.

Wolter: „Zabijanie jest zabronione, chyba że zabija się wielką liczbę ludzi i przy dźwięku trąb”.

Ludwig Wittgenstein: „Świat i życie to jedno”. To teza mojej światologii.

T. Gillim: „Wszecławiat to wielkie kłamstwo kosmiczne”.

Heraklit: „Bóg jest dniem i nocą, zimą i latem, walką i pokojem, sytością i głodem”.

Poeta francuski Pierre Reverdy: „Etyka to estetyka mego wnętrza”.

Youssef Bari oskarża wysoką poezję arabską, że milczy, że nie uczestniczy w ludowych rewolucjach w krajach arabskich, że tak samo jak dyktatorzy poeci są oderwani od zwykłych ludzi, od codziennej rzeczywistości, że poezje takich wielkich poetów, jak ateistyczny Adonis, są niezrozumiałe, pisane hieratycznym, wysokim, górnolotnym językiem elit, że salony muszą runąć, a sztukę trzeba wyzwoić od despotyzmu.

Saul Friedländer twierdzi, że Franza Kafki zaburzenia i mroczne strony psychiki miały podłoże homoerotyczne i to dlatego pisał do Mileny, że jest „nieskończenie brudny: to dlatego tak głośno mówię o czystości”. Dlatego poczucie winy, rozliczanie się z prawem, sądem nad sobą, ojcem, zakazami. Kafka bardzo dbał o swoje ciało, pływał, gimnastykował się. Relacje z kobietami były nieudane. Niewinny a skazany. Literatura, chociaż uważana była czasami, za katorgę i „martyrologię pisania”, miała zostać poligonem doświadczalnym walki o własne życie

uwolnione od prawa, zakazów, wyroków. Podświadome łaknienie unicestwienia. Miłość i nienawiść do samego siebie. Wszystkie trzy siostry zginęły w niemieckich obozach zagłady.

Wydaje się, że z naszych geniuszy romantycznych to Juliusz Słowacki celował w wykwintnej masturbacji oraz (skrywanym?) homoseksualizmie.

Susan Sontag: „Sztuka to stan ostateczny każdej rzeczy”. Ta prawda szczególnie dotyczy poezji.

Można ewentualnie dorzucić, że poezja to stan pierwszy i ostatni każdej rzeczy. Jednak „stan ostateczny” bardziej trafny: Poezja to stan ostateczny każdej rzeczy, każdego uczucia, każdego istnienia.

Bretoński Guillevic: „Im bardziej jesteście zakorzenieni, tym bardziej jesteście uniwersalni”.

Geniusz Joyce’a, na przykład taki w *Ulissiesie*:

„Stefan wskazał kciukiem okno, mówiąc:

– To jest bóg.

– Hurra! He! Hurraaaa!

– Co? – zapytał pan Deasy.

– Okrzyk na ulicy, odpowiedział Stefan, wzruszając ramionami”. (Przekład Maciej Słomczyński).

2018

John Cowper Powys w autobiografii: „Každy rodzaj religii bliski jest memu sercu, oprócz jej wersji modernistycznej, w której etyka zastąpiła anioły, a Pierwsza przyczyna zajęła miejsce Chrystusa. Jestem tak samo wrażliwy na religię jak na piękne nogi kobiet. Komunizm przemawia do mnie, gdyż wzbudza religijne emocje. Katolicyzm przemawia do mnie z takich samych powodów jak przemawiają wszystkie tradycyjne hebraizmy rasy żydowskiej [...]. Przeciętny Amerykanin jest w swojej istocie moralny, ale areligijny”.

Lichtenberg: „Nie ma ludzi bardziej zarozumiałych od tych, którzy opisują swoje własne uczucia i doznania, zwłaszcza jeśli przy tym opanowali trochę sztukę posługiwania się prozą”.

Dylemat między innymi współczesnej literatury francuskiej. No i mój bezapelacyjnie, chociaż poezja jest z natury mową „intymną”, a moje małe prozy z natury eseistyką autobiograficzną.

Robert David Kaplan: „Myślę, że największym wyzwaniem jest zachowanie europejskiej kultury; podkreślanie znaczenia spójności kulturowej może uratować

Europę, skupianie się na wymiarze etnicznym nie da takich efektów. Kładąc nacisk na problemy etniczne ocieramy się o kwestię rasy i rasizmu, co jest wysoce destabilizujące dla społeczeństwa. Innymi słowy – jeśli nowi emigranci przyłączą się do dominującej kultury Europa zachowa stabilność. Będzie możliwe zachowanie silnych i wysoce zinstytucjonalizowanych państw europejskich mimo napływu emigrantów”. Odwrót od wielokulturowości do międzykulturowości z dominującą rolą (praworządnej, obywatelskiej, oświeceniowej, humanistycznej) kultury europejskiej – też tak teraz uważam.

Niezwykle pouczający (i opowiadający się po stronie aktywizacji i adaptacji do „panującej cywilizacji”, patrz wyżej!) dziennik polskiego emigranta Józefa Feliksa Zielińskiego, który wywraca na nice „sentymentalno-romantyczne” żale i udręki emigrantów popowstaniowych. Zieliński to taki romantyczny pragmatyk, dalekowzroczny (również w dziedzinie przewidywań politycznych w przyszłości), uważny i krytyczny obserwator społeczny, prawdziwy młody mężczyzna nieustraszony od miłości i miłości. Wyuczył się między innymi zawodów fotografa, poligrafa, czytał, pisał, aktywnie uczestniczył w życiu francuskim i polskim, na koniec, po powrocie, wspomógł naukowe środowisko w Płocku. Inne wartościowe wspomnienia napisał Feliks Wiktor Riedl, który miał zaledwie trzynaście lat, jak uciekł z Galicji do powstania styczniowego. Niesamowite wrażenie robią jego opisy polskich jeńców idących na Sybir po wyroku (łajdactwo, pijaństwo, rozpusta, choroby weneryczne, stany nihilistyczne i straceńcze: ciemna strona totalnej klęski). Danina krwi, upokorzenia, tragizmu, która przerobiona przez kulturę, kult męczeństwa, martyrologii, wiary zrodziła wreszcie romantycznych pragmatyków, jak Piłsudski czy Dmowski.

Poeta amerykański Delmore Schwartz: „Przedmiotem poezji jest doświadczenie, a nie prawda, nawet jeśli poeta pisze o ideach”.

Poeta amerykański (krótko żył) Samuel Greenberg: „Poeta szuka ziemi w samym sobie”.

J. Gray: „Ludzki umysł jest zaprogramowany na przeżycie, a nie na prawdę”.

2019

Podporucznik August Emil Fieldorf (późniejszy generał „Nil”) podczas wojny polsko-bolszewickiej (zamordowany przez sąd komunistyczny w majestacie prawa w 1953) napisał we wniosku o nadanie Krzyża Walecznych mojemu dziadkowi starszemu sierżantowi, dowódcy plutonu ciężkich karabinów maszynowych Wacławowi Sokólskiemu (5 XI 1920) za skuteczną obronę wsi Zabord koło Równego:

„Odważny, pracowity. Zawsze na stanowisku”. Syn Miłosz jako przedsiębiorca wziął sobie tę opinię za dewizę życiową.

Wojciech Pszoniak: „Dla mnie jedną z największych tragedii Polaków jest to, że nam wymordowali Żydów”. Dla mnie też. Zdarza mi się, że tracę bicie serca na wspomnienie tej tragedii nie do pojęcia.

François Mauriac: „Ależ tam gdzie jest demon jest i Chrystus!” – odpowiedź udzielona Julienowi Greenowi, który wyznał, że „nienawidzi katolicyzmu w literaturze”.

André Gide przestał kochać Związek Sowiecki tak naprawdę wtedy, kiedy osobiście dowiedział się, że prześladują tam oficjalnie homoseksualistów. Green przestał kochać faszystów, kiedy dowiedział się o prześladowaniu homoseksualistów po 1933 roku przez III Rzeszę. Francuscy literaci z pierwszej połowy XX stulecia długo zachwalali sobie „orientalną” (np. w Maroku) pedofilię: Gide, Montherlant, Green... Klaus Mann podobnie (oraz liczni pisarze brytyjscy począwszy od Jonathana Swifta). Inny moralny (destrukcyjny) problem nowoczesnych francuskich klas wyższych to (zakorzenione głęboko i silnie tajone) kazirodztwo.

Claudelowi udało się opanować swój homoseksualizm, ale wielkim kosztem, i to wyłącznie dlatego, że uznał, że jako wierzący i praktykujący katolik nie powinien uprawiać śmiertelnego grzechu. Zgodnie z tym wzorem postąpił Joseph Ratzinger, przyszły papież Benedykt XVI, podobno z sukcesem.

2020

Wystan Hugh Auden: „Eliot (miał w młodości) mistyczne wizje, o których nigdy nie mówił. Yeats nie doświadczył żadnej wizji tego typu, a bez przerwy o nich mówił”.

Francuska aktywistka Chantal Mouffe: „Pierwszym zadaniem demokracji nie jest likwidacja uczuć, lecz mobilizowanie ich w kierunku celów demokratycznych”.

Dlatego „gorący polityk” (choć cyniczny) Kaczyński pokonał „chłodnego polityka” (choć niecynicznego) Tuska. Wygra ta siła polityczna, która w ostateczności „przechytry populistyczne żądania ludu”. Wrogiem wspólnym dla prawicy i lewicy jest globalna oligarchia neoliberalna.

Charles Olson: „Poezja jest formą energii przekazanej czytelnikowi przez poetę z miejsca, w którym on sam ją odebrał”. *Genius loci?*

Paul Valéry: „Myślę jak absolutnie czysty racjonalista. Czuję jak mistyk”. Apollińskość i dionizyjskość w jednym utworze, dziele, światopoglądzie, religii (bez osobowego boga).

Tragifarsa, tragicomedia; w mózgu czysta inteligencja, w sercu empatia – dobrej prozie to służy.

Zatroskany Heidegger w liście do żony w okresie niedostatku po 1918: „Co mam zrobić, jak pojawią się kartofle?”.

Zbuntowani studenci w Berlinie w 1968 do Günтера Grassa: „Grass, ty ropuchu! Nie myśl sobie, że jesteś Goethem!”.

Ingeborg Bachmann (córka praktykującego nazisty): „Faszyzm jest pierwszą rzeczą w relacjach między mężczyzną a kobietą”.

Avishai Margalit: „Wittgenstein postawił pytanie: Dlaczego jedno ukrzyżowanie urzekło świat na dwa tysiące lat, podczas gdy dziesiątki tysięcy innych ukrzyżowanych przez Rzymian pozostało całkowicie zapomnianych? Jedną z oczywistych odpowiedzi jest taka, że my reagujemy na opowieści, a nie na statystykę: godna pamięci opowieść (narracja) trwa dzięki jednemu ukrzyżowaniu, a statystyka prawie w całości odpowiada za te pozostałe”.

Do jakich lektur (pozapoetyckich) wracałem wielokrotnie w dojrzałym życiu? Do tragedii Eurypidesa, Upaniszadów, Ewangelii i Listów świętego Pawła, Ewangelii apokryficznej świętego Tomasza, *Hamleta* i *Makbeta* Szekspira, *Esejów* Montaigne'a, *Zbrodni i kary*, *Biesów*, *Braci Karamazow* Dostojewskiego, *Portretu artysty z czasów młodości*, *Dublińczyków* i *Ulissesa* Joyce'a, *Procesu* i *Dzienników* Kafki, *Zeszytów* Weil, *Człowieka zbuntowanego* Camusa, filozofii Heideggera, refleksji Nietzschego, Ciorana oraz pierwszego traktatu Wittgensteina (!). Inni konstruktywni pisarze, to przede wszystkim Balzac, Zola, Broch, Musil, Witkacy... Realizm bez granic...

Umberto Eco: „Kardynał Martini (1927–2012) zapytał mnie listownie, czy możliwe jest założenie etyki bez Boga. Odpowiedziałem mu, że możliwe jest założenie etyki, wychodząc od ciała. Ciało potrzebuje pozycji pionowej, chce spać, jeść, pić itd. W miarę, jak spełniają się jego wymagania, ma się do czynienia z sytuacjami etycznymi. Jak kogoś się wiesz za stopy, przytrzymuje w pozycji horyzontalnej, nie pozwalając wstać, ucina się język, żeby nie mówił, mamy wtedy do czynienia z sytuacją nieetyczną. A więc etyka fundamentalna oparta jest na potrzebach/wymaganiach ciała. Jeśli ktoś stosuje taką etykę, jest doskonałym chrześcijaninem”.

Prawda jest bólem fizycznym (Kafka=Jezus).

Kolejne fascynujące pamiętniki, tym razem autorem ich jest Ludwik Jabłoński (1810–1887) z Galicji. Przedni gawędziarz typu Paska czy Rzewuskiego. Siostra wyszła za Aleksandra Fredrę, autora podobnie świetnych pamiętek *Trzy po trzy*. Jabłoński używa osobliwego i soczystego języka „jagiellońskiego”, a styl ma tak zwany sarmacki, smaczny, pożywny a pokrętny. Doskonały portrecista, i to złośliwy. Ograniczony przez swoje kastowe pochodzenie, ale i szczerzy patriota, w sumie oryginał, wspaniały komentator, mocny charakter i krytyczny obserwator (np. słuszny atak na niepotrzebne powstanie styczniowe). Arcydzieło dziewiętnastowiecznego pamiętnikarstwa polskiego. Kopalnia informacji, spostrzeżeń, sądów, portretów ludzkich i romantycznych uniesień nad przyrodą i krajobrazem ojczystym. Autentyk!

Claudio Magris: „Każdy poranek to początek, za każdym razem świat opuszcza noc. To jest prawdziwe *fiat*. Nie istnieje żadne *fiat* mistyczne i pojedyncze”.

Francuski filozof François Larnelle: „Pierwsza myśl, jaka mi przychodzi do głowy jest taka, że Bóg jest wynalazkiem bezużytecznym i niebezpiecznym dla ludzkości. Mniej zbrodni popełniono przeciwko niemu, niż w jego imieniu. Przeciwwstawiam mu Chrystusa [...]. Oddzielam więc tego Podwójnego Boga od Chrystusa, aby zachować samego Chrystusa [...], który jest zderzeniem grecko-judejskim dynamizującym (wysadzającym) historię. Jego przesłanie jest wydarzeniem, które niszczy chrześcijaństwo jako religię, a zwraca nam je jako pragnienie, obietnicę, przyszłość i zbawienie”.

Laboratoryjny poeta, mieszkający w „moim” bretońskim mieście Saint-Brieuc, Christian Prigent: „Jeśli poezja ma polegać na układaniu mniej lub bardziej rytmicznych wierszy o ogólnej tematyce politycznej albo o banalnej tematyce sentymentalnej, to lepiej zabrać się za coś innego. Od tego są piosenki [...]. To, co popycha kogoś do poezji, nie jest związane z pragnieniem wypowiedzenia się o świecie, lecz z tym, że świat jest dla niego tajemnicą. Posługując się narzędziami, a mianowicie językiem, stara się w sposób jak najbardziej trafny wyrazić to wrażenie, jakie na nim świat wywiera. To wrażenie (efekt) zawiera w sobie mrok, ciemność, głęboką niejasność każdego doświadczenia uczuciowego, czyli fakt, że nic nie jest poznawalne”.

Czytam z zapałem i zazdrością mistrzowsko napisaną powieść *L'Anomalie* Hervé Le Telliera (nagroda Goncourtów) – świetnie łączy styl niski i wysoki, fantastykę naukową z realistycznym opisem naszej epoki. Świetny pomysł – w USA lądują samoloty ze sklonowanymi pasażerami i zaczyna się piekło (anomalii). Kilka

miesiące wcześniej takie same samoloty z tymi samymi pasażerami już wylądowały! To samo spotkało Chińczyków, ale ukryli sprytnie to wydarzenie, a może nawet się pozbyli bez pardonu „ludzkich klonów”. Amerykanie podeszli do tego inaczej, humanitarnie – cała akcja przedstawiona jest jak w powieści psychologiczno-sensacyjnej, ale to powieść z wyższej półki z atrakcyjną (choć oszłamiającą w przesłaniu) podbudową intelektualną. Różne poziomy prezentacji niesamowitych wydarzeń, w tym indywidualne potraktowanie poszczególnych przypadków, niepokojące przesłanie dla nas współczesnych o złożonej strukturze świata (i jego wątpliwej rzeczywistości); no i poza tym czarny humor! Popis czystej inteligencji pisarskiej. Na końcu coraz więcej przylatuje tajemniczych samolotów z załogą i pasażerami – żywymi klonami.

Co na to Oumuamua?

STEFAN CHWIN

Dziennik 2022 (4)

Piątek, godzina 22.34. Adam Z. na filologii chińskiej

Dowiedzieliśmy się wczoraj, że Adam Z. przyjechał do Gdańska, żeby uświetnić swoją obecnością inaugurację sinologii na gdańskim uniwersytecie – więc może warto się wybrać?

Przed szóstą wchodzimy do wielkiej sali na parterze Biblioteki Głównej. Sala na jakieś trzysta osób. W sali – dwunastu gości. Dziekan, urzędnicy, paru sinologów oraz my. I ani jednego studenta. Puste rzędy krzeseł ciągną się aż pod sufit.

Od razu spostrzegamy Adama Z. Stoi z boku, koło sceny, rozmawia z kimś, podchodzimy, tamten kłania się, rękę ściska, odchodzi, na twarzy Adama ulga, że pozbył się natręta, miły uśmiech, witamy się. Wiotkość policzków obsypanych króciutkim, siwym zarostem. Gdzie się podziała ta ironiczna sprężystość, z którą – jak pamiętamy – dawnymi czasy rozcinał powietrze wokół siebie w spokojnym marszu ku przyszłości? Siwy, ale i mocno czarnobrewy, usta uchylone, górna warga nieco wywinięta, ubranie na nim luźne, szare, płóciennie-guzikowate, miękkie buty z zamszu, w ogóle wszystko zmiękczone, wiotkie, luźnawe, jak za duży płaszcz na chudym wieszaku. A gesty płynne, ostrożne, skóra na szyi przyszarżona, ciężkie powieki, oczy bez blasku. Mówi, że właśnie wyszedł z objęć śmierci, po operacji serca. – Jak się czuje? – Jeszcze lepiej niż przedtem. – Może biegać? – Jak najbardziej. Biega, wchodzi po schodach, serce dużo mocniejsze. – Ale wygląda nietęgo. Oczy mruży, powieki opadają, nikły uśmiech błąka się po twarzy, starość.

Dostał dużą nagrodę literacką w Chinach. Prywatną, od ubogiego poety, który ma potężnych przyjaciół, chińskich biznesmenów, co dają duże pieniądze na kulturę i piękno. Wyraźnie lubi ubogiego poetę, który – widzimy – właśnie wchodzi na scenę. To mały, ruchliwy Chińczyk, krępy, zwinny, w garniturku czarnym jak smoła, z czarną grzywką, uciętą nad czołem, wiecznie uśmiechnięty jak świeżo zerwane, żółtawe jabłuszko. – Literatura – Adam mruży oczy – rodzi się z nieróbstwa, z beczynności. – Śmieję się z takich mądrości. – Z nieróbstwa, z beczynności? – pytam od niechcenia, bo widzę na co się zanosi. – A Balzak?

On pisał – mówię – bo gonili go dłużnicy. Miał na gardle nóż nieoddanych pieniędzy, więc walił powieść za powieścią jak maszyna do pisania. – Adam leniwie zaprzecza: – On wiedział, że młodo umrze, dlatego pisał tyle. Bo czuł, że nie zdąży. – Boże drogi – myślę sobie – co za tandeta, ten obraz Balzaka, który przeczuwa, że umrze młodo i dlatego wali sto powieści. Mój śmiech wewnętrzny aż kipi pod przeponą, ale oblicze zachowuję poważne, dostojne, przychyłne. Co się tam będę spierał. Znamy się od bardzo dawna, więc wiem, na czym polega ta gra.

Podchodzi do nas profesor W., starsza pani, Chinka z sinologii, w niebieskiej bluzce i białych spodniach. Adam chce nas sobie przedstawić, ale my się z Chinką już znamy od paru miesięcy, więc pozostają nam uściski dłoni i uśmiechy.

Mówię: – Chyba pierwszy raz widzieliśmy się z tobą, Adamie, przypadkiem, jak jechaliśmy do Drohobycza. Wpadliśmy na ciebie na jakimś postoju, w jakimś mieście ukraińskim na południu, już nie pamiętam jakim. Dawne czasy. – K. dodaje do tego, jak to w Drohobyczu, gdzie byliśmy na rocznicy śmierci Schulza i zabrakło dziesiątego do kadyszu, trzeba było zaczekać, aż ktoś się znajdzie, żeby odmówić razem żałobną modlitwę. Adam opowiada podobną historię, że też kiedyś kogoś gdzieś zabrakło do podobnej modlitwy. Potem mówi o francuskim pisarzu, który napisał *Eloge de...* – jak to przetłumaczyć? – zastanawia się. – Pochwała nijakości? Nie – przez chwilę się waha. – Raczej: pochwała delikatności. – I dodaje, że chińska poezja, chińscy poeci, inaczej niż Europejczycy kierują się delikatnością, nie lubią ostrych efektów, za którymi przepadali europejscy romantycy. Tak – powtarza powoli z mocną pewnością w głosie – kultura chińska na delikatności jest oparta.

Dobry Boże! Mój śmiech wewnętrzny znowu wybucha pod przeponą, aż muszę twarz swoją trzymać w ryzach, żeby uczuć swych nie ujawnić, bo nie wypada. Kultura chińska – oparta na delikatności?! Przypominam sobie chińskie rodzaje tortur, wojny wewnętrzne chińsko-chińskie, straszliwość rewolucji kulturalnej, postać Czang Kai Szeka, Mao Tse Tunga, furię polityczną hunwejbiniów, okrucieństwa w wojnach z Japonią. Mówię: – Widziałem poruszający album fotograficzny. Sceny ze szkoły męstwa. Jak uczono siły wewnętrznej, zmuszając młodych żołnierzy do zakłuwania jeńców bagnetem. Okropne zdjęcia. – Adam Z.: – Ale to Japończycy robili. – Nie tylko – dorzucam – Chińczycy też.

Adam Z. tylko rozluźnia się na te słowa, mrużąc oczy przed światłem neonów, bijącym spod sufitu: – Ale mówmy o rzeczach naprawdę ważnych. Właśnie zachorowała moja kotka. Nasza kotka – poprawia się. – A jak się ona nazywa? – pytamy. – Nazywa się Dońka. – To ładne, takie lwowsko-ukraińskie – kiwamy głowami. – Nie – poprawia nas Adam Z. – to jest częstochowskie. Bo nasza kotka

z Częstochowy pochodzi. A nazywa się Madonna – Adam Z. uśmiecha się melancholijnie. – W skrócie Dońka. – Potem rozmawiamy o uniwersytecie w Chicago. Adam – jak nam mówi – już tam nie jeździ. Operacja mu przeszkodziła. Co robi teraz? Żyje.

Ale czas już zaczynać. Uroczystość sinologiczna rusza. Przemowy oficjeli, informacje o nagrodzie dla Adama, potem przemowa ubogiego poety chińskiego po angielsku. Adam siedzi za stołem pośrodku sceny. Przychodzi kolej na jego wiersze. Będzie czytać? Nie, wstaje, rozgląda się i zaczyna opowiadać o tym, jak kiedyś w Chinach zobaczył drzewo. Mówi tak, jakby nikogo w sali nie było. Do samego siebie. Patrzy gdzieś ponad naszymi głowami. Oczy ma błyszczące, ciężkie powieki opadają. – Kiedy patrzyłem na to drzewo – patrzy przed siebie – była noc. Spokojna. Cicha. Stałem obok drzewa i patrzyłem na jego liście, zupełnie nieruchome. I powoli uświadamiałem sobie cud. Że to drzewo istnieje. Nie pytałem o nic. Nie chciałem od niego niczego. Nie podziwiałem go. Patrzyłem tylko i przenikało mnie wzruszenie, że takie drzewo jest. Że po prostu jest. Że istnieje. Obok mnie. Samo dla siebie. Rzeczywiście. To była piękna chwila. I poezja, poezja chińska, rodzi się z takich właśnie uczuć...

Potem Adam Z. czyta kilka swoich wierszy. Tym samym, lekko uniesionym głosem, jakby trochę przez nos, unosząc głowę na wiotkiej szyi i mrużąc oczy od światła neonów.

Kiedy kończy, na salę wkracza chór uniwersytecki, by uświetnić inaugurację sinologii. Pięćdziesiąt osób w uroczystych strojach. Pieśni chóru słucha osób dwadzieścia oraz my. Za naszymi plecami dziesiątki pustych rzędów krzeseł ciągną się aż po sufit.

(tu zapis w dzienniku urywa się).

Poniedziałek, godz. 17.59. Gdańsk, Berlin

A więc jedziemy do Berlina. Który to już raz? Setny czy dwusetny? Bywaliśmy w tym mieście z rozmaitych powodów. A po raz pierwszy? W 1984. Traumę mamy z tamtego czasu prawdziwą. Bo granicę między Wschodem a Zachodem przekraczaliśmy w najbardziej chyba ponurym miejscu, na czarno-szklano-żelaznej stacji Friedrichstrasse, przerażeni, że nas aresztują – z bibułą paryskiej „Kultury” w bagażach. Była głęboka noc, deszcz, mgła, za oknami pociągu druty, mury, strażnice, reflektory, strażnicy z psami. Machnęli na nas ręką: – Przechodzić!

A teraz jedziemy do Berlina na zaproszenie Związku Gdańszczan, którzy zechcieli, bym wygłosił wykład o Solidarności. Do pociągu wsiadamy na dworcu

gdańskim po dziewiątej rano. Na zewnątrz upał, w przedziale mroźne powietrze z klimatyzacji. Od okna wieje lodowaty chuch, aż mrużymy oczy.

Przed Poznaniem pociąg staje w krainie ogródków działkowych. Spod jednego z wagonów bucha biały dym. Cóż to? A nic, pociąg się pali. Ugasili szybko, jedziemy dalej, ale mamy opóźnienie – półtorej godziny. Do Berlina wjeżdżamy pod niebem brudnym jak sufit w ciemnej piwnicy. Chmury burzowe nad iglicą Alexanderplatz mętnie przysłaniają szklaną kulę. Wsiadamy na stacji Friedrichstrasse, potem metrem do Kochstrasse, blisko samego Check Point Charlie. Ruśzamy na skrzyżowaniu w stronę hotelu, niebo tymczasem spada na nas nagle ciężką, szarą ulewą, która zalewa jezdnię i chodniki. Chowamy się pod balkonami starej kamienicy razem z jakimiś Japończykami, Arabem i Niemką, co ma czerwone szpony, na których lśnią pierścienie. Czekamy godzinę.

Następnego dnia z hotelu do Apostolen Kirche. Stacja Kochstrasse U6, kierunek Alt-Mariendorf, potem do Hallesches Tor, dalej U12, kierunek Ruhleben i wreszcie Nolendorfplatz, potem Else-Lasker Schuller i jesteśmy na miejscu.

Pod drzewami dom parafialny. Wchodzimy. Czeką na nas dziennikarz z tłumaczką. Na ścianach złoto-płócienne obrazy aniołów Bożych. I od razu pytanie: – Czy Polacy myślą o sobie w kategoriach postkolonialnych? – Tylko się uśmiecham. – Polacy? My byliśmy bezwzględnie kolonizowani przez Rosję i Niemcy, ale nie mieliśmy nigdy żadnego kompleksu kolonizowanych, takiego na przykład, jaki mieli Hindusi w Indiach wobec Brytyjczyków. Oni uważali swoją kulturę za gorszą i dlatego pilnie uczyli się angielskiego. A my? My czuliśmy zawsze kulturalną i moralną przewagę nad zaborcami. Szczególnie nad Rosją. Kto tam się chciał uczyć rosyjskiego! Myśmy pogardzali tymi, którzy nas chcieli skolonizować. Uważaliśmy ich za gorszych od nas. A nad Niemcami czuliśmy moralną wyższość, bośmy nigdy tak nie mordowali innych narodów jak oni. – Dziennikarz nie jest zachwycony moją odpowiedzią. – A dzisiaj? Jak jest dzisiaj? – dociska. – Dzisiaj? – znowu się uśmiecham. – Polacy czują respekt wobec Niemców, ponieważ oni mają lepszą gospodarkę, ale równocześnie śmieją się z nich. Bo Niemcy nie potrafią żyć. Polacy widzą w nich zaharowanych Szwabów. – Czy to ma związek z polskim katolicyzmem? – dopytuje dziennikarz. – A jakże! – odpowiadam, śmiejąc się. – Polski katolicyzm jest karnawałowo-barokowy, ozdobny, teatralny, procesjowo-odpustowo-jarmarczny, kolorkowo-bibułkowy, wstążeczkowy, palemkowy. Dlatego my, Polacy, dziwnie się czujemy w surowych kościołach ewangelickich. Nasza złoto-barokowa lekkomyślność ściągą nam na głowę kłopoty, ale nasze wady – powiem to tak – sprzyjają życiu... Tak jak nasza polska ironia...

Świetnie się bawię, występując w roli nadzwyczaj pewnego siebie Polaka, który ma gdzieś cały świat oraz kosmos. Dziennikarz wypytuje, czy to prawda, że fotografuję chmury. – A jakże! – odpowiadam. – Chmury w każdym kraju? Niebo nad Ameryką, nad Anglią, nad Alpami, to zupełnie inne niebo! – Potem pyta mnie o Ukrainę. I o moje książki. Kończymy wywiad mocnym uściskiem dłoni. Na odchodnym proszę, żeby tłumaczka napisała mi po niemiecku na kartce: „Polacy lubią Niemców, ale boją się Niemiec”. Piszę czerwonym długopisem.

Wychodzimy z sali parafialnej.

Kościół ewangelicki po drugiej stronie ulicy. Z czerwonej cegły, neogotycki. – Zupełnie taki jak u nas na Matejki we Wrzeszczu – mówi K., gdy wchodzimy do środka. Wnętrze białe, sklepienie półkolisty na filarach, brak obrazów, ołtarz-stół, krucyfiks bez żadnych ozdób. Tylko umiarkowane kolorowe witraże w prezbiterium i po obu stronach głównej nawy. Ludzi przyszło sporo, chociaż godzina wieczorna. Na witrażach chrześcijaństwo dobroczynne. Sceny z życia Jezusa, ale tylko optymistyczne. Dobry pasterz, uzdrowiciel, rozmnożyciel chleba. Żadnego wizerunku Matki Boskiej. Scena Ukrzyżowania wciśnięta w kąt, żeby nie rzucała się w oczy. Na ścianie przy wejściu jedyny obraz olejny – portret jakiegoś pastora w żabocie.

Konferencja z poważnymi referatami o związkach między Gdańskiem i Berlinem. Ludzie uważnie słuchają, chociaż przewaga siwych głów. Całą imprezą kierują młodziaki. Główny – dobrze odżywiony przystojniak w stalowym garniturze, pod krawatem. O godzinie dwudziestej zaczynam wykład. Chłodna analiza, rzeczowa, lapidarna. Szukam odpowiedzi na pytania, które uważam za ważne. Dlaczego solidarnościową stolicą Polski w 1980 roku stał się akurat Gdańsk. Jakie czynniki kulturotwórcze wpłynęły na to, że właśnie tutaj powstało ogólnopolskie centrum ruchu strajkowego. Dlaczego w ogóle taka organizacja jak Solidarność mogła powstać w sowieckiej strefie wpływów i to akurat wtedy, w sierpniu 1980. Czy by w ogóle powstała, gdyby na Kremlu nie urzędował wtedy stary Breżniew tylko ktoś dużo twardszy, kto wzięłby wszystko żelazną ręką za twarz. Dlaczego Gierek nie wysłał czołgów na stocznnię gdańską od razu 14 sierpnia 1980. Co się stało z Solidarnością po wprowadzeniu stanu wojennego. Dlaczego Solidarność w latach 1980–1989 nie była w stanie wywołać w Polsce choćby jednego strajku generalnego. Czym była dla narodów środkowoeuropejskich, a czym dla Zachodu. Czy ktokolwiek w sowieckiej strefie wpływów poszedł jej śladem. Dlaczego Niemcy zajęli ambiwalentne stanowisko wobec stanu wojennego. Czy Solidarność rzeczywiście rozbiła mur berliński i doprowadziła do rozpadu systemu komunistycznego? Czy to ona sprawiła, że w Rosji pojawił się Gorbaczow? Czy to

raczej dzięki „drugiej Jałcie” Gorbaczowa i Reagana w 1989 roku doszło do zjednoczenia Niemiec i odzyskania niepodległości przez Polskę. Do tego, co mówię, daję na ekranie dużą wideoprezentację, którą przygotowałem. Trzysta dwadzieścia dwie fotografie z historii Polski i Europy Środkowej.

Kończę swój wykład, siadam w pierwszym rzędzie, odkładam maszynopis, a tu przystojniak w stalowym garniturze natychmiast wyskakuje przed ołtarz, interweniuje i to stanowczo. Po angielsku wygłasza w uniesieniu gorącą mowę o tym, jak to Solidarność była nadzieją dla całego świata, jak rozbudziła w narodach marzenie o wolności, jak zachwyty wszędzie rozniecała, jak gorące uczucia w sercach rozpałała, jak zmieniła świat, jaka była wielka, cudowna i wspaniała. O, widzę, że nie przedstawiłem ja w moim wykładzie też, na które czekano...

Potem rozmowy z ludźmi. Polka z Grecji dziwi się temu, co mówiłem o Solidarności, bo nigdy o „takich rzeczach” nie słyszała. Stary prawak, który wszystkiego wysłuchał z pionową zmarszczką między brwiami, wykrzykuje do mnie, wstrząsając grzywą siwych włosów, że Wałęsa to podły pacholek kagiebowski, czego dowodem namacalnym, że komuniści zabili księdza Popiełuszko, a nie jego. Inteligenci polsko-niemieccy, którzy uprzejmie witają mnie po polsku, pytają, czy Jaruzelski miał rację, że wprowadził stan wojenny, bo w Niemczech prawie wszyscy tak uważają. Potem podchodzi do mnie starszy pan o długiej twarzy, ze wzburzoną czupryną, szarosrebrną, z przedziałkiem pośrodku głowy, składa ręce w buddyjskim geście powitania, kłania się nisko, wyznając, że jest byłym dyplomatą niemieckim. Tłumaczy, że my, dyplomacja niemiecka, staliśmy w 1981 roku w rozkroku. Popieraliśmy Jaruzelskiego, ale też mocno popieraliśmy Solidarność...

Do hotelu wracamy taksówką, którą sprowadzają organizatorzy. Wsiadamy przed kościołem, upewniając się, czy kierowca wie, dokąd ma jechać. Ruszamy. Po parunastu minutach taksówka staje. Taksówkarz wyciąga rękę za plastikowej zasłony po pieniądze. Pakistańczyk, Arab, Cejlończyk? Młody, rozdrażniony, krótka broda, śniady. Płacę. Wyglądam przez okno taksówki. Ciemna ulica, neony, wystawy. Zaraz! Przecież to nie jest nasz hotel! Gdzie on nas wywiózł?! A on do nas – stanowczo, żebyśmy opuścili natychmiast taksówkę, bo ma zgłoszenie od następnego klienta. K. błyskawicznie otwiera drzwi samochodu i zostawia je otwarte, tak że facet nie może ruszyć. Podaje mu kartkę z nazwą właściwego hotelu. Taksówkarz krzyczy, żebyśmy wyszli z jego taksówki. Ale kiedy K. zaczyna wystukiwać numer na komórce, milknie. Pomyślał, że zadzwoniła na policję? – Dobrze – kiwa głową pojednawczo. – Zawiozę. Ale dopłacić trzeba! – A więc o to

chodziło! Daję mu parę euro. Nawet nie liczy, tylko wsadza do kieszeni. Podrzuca nas do hotelu. Wsiadamy.

Nazajutrz podróż powrotna. Ale gdzież się podziały dawne niemieckie koleje, którymi jeździliśmy przed laty? W internecie wiadomości, że wszędzie remonty, więc trzeba szukać połączeń – i to ilu! Wszystko poplątane. Z Kochstrasse powinniśmy dotrzeć do Ostkreutz, bo stamtąd mamy pociąg do Frankfurtu nad Odrą. Ale wiadomości w komórce zmieniają się z minuty na minutę! Wsiadamy na Ostkreutz, ruszamy, pociąg nagle staje gdzieś na zwrotnicach. Konduktorzy z zawiniętymi rękawami szarych, urzędowych koszul biegają po wagonie. Co się stało? Ano jakiś pasażer zamknął się w toalecie i zapalił papierosa, co uruchomiło alarm przeciwpożarowy. To ten Arab, który teraz wychodzi z toalety, która jest niedaleko nas? No, na szczęście ruszamy dalej. Na stacji przesiadkowej wsiadamy do małego pociągu jednowagonowego. Pędzimy przez zielone równiny i lasy podberlińskie. Na jakiejś stacji – dłuższy postój. Wchodzi kolejarz: – Wysiadać! Opuścić pociąg! – Wsiadamy, idziemy przed dworzec. Ludzie z nami. Nadjeżdża autobus podstawiony zamiast pociągu. Jedziemy przez ładne wschodniemieckie miasteczka. Wycieczka krajoznawcza z Mulldorf aż do samego Frankfurtu.

We Frankurcie czekamy półtorej godziny na peronie. Pociąg do Berlina zostaje zmieniony w pociąg do Gdańska. Wsiadamy. Mościmy się przy oknie, oddychamy. No, nareszcie, chwila odpoczynku. Odpoczynku?! Do przedziału wtacza się siwowłosy chudzielec w marynarczce ciasnej z granatowego pluszu, koszula biała, siwawy zarost na policzkach, włosy wzburzone jak u Einsteina, świdrujące oczy piwne, dżinsy na chudych nogach, pantofle miękkie, sprężynujące, żółte, walizka pancerna na kółkach, różowa. Siada przy nas. I od razu zaczyna do nas nadawać wielojęzycznym żargonem polsko-niemiecko-włosko-angielskim. – Aktorzy? – pokazuje na mnie i K. chudym palcem. – Nie aktorzy – odpowiada K. – Pisarze. – Aha – macha ręką. – Ale artyści, prawda? – Chwyta mnie za łokieć: – Ty jak mój brat, *quite* jak mój brat! Ty mój brat! Brat! – I obejmuje mnie mocno chudym ramieniem. Widać jestem podobny do jego niewiadomego brata? A on przedstawia się, podając mi śniadą dłoń z sinawymi żyłkami na grzbiecie: – Gianni Battista jestem. Veneziano! Żonę mam w Gdyni, jadę do niej. – I wyciąga komórkę, a w komórce setki zdjęć rodziny Gianniego, które nam podsuwa pod nos. Na nich gdyńska żona, córka – niedobra córka, dodaje Gianni – i pokazuje tam zdjęcie za zdjęciem. – Ja, Gianni, z Braunschweigu – przedstawia się raz jeszcze. – Teatr. Muzyka. Opera. Operowy śpiewak. – A jaki ma pan *kind of voice*? – pytamy. – Ja? Prawie mezzosopran. – I zaczyna śpiewać *La donna e mobile*. Dołączam do niego i razem głośno wyśpiewujemy na cały wagon sławną włoską pieśń. Boże drogi!

Nagle przychodzi mi do głowy, że on będzie tak z nami jechać jeszcze cztery godziny! Cztery bite godziny! Jezus Maria! Wyjmuję komórkę i pokazuję mu nasze zdjęcia w internecie, by jakoś wypełnić czas, ale zajmuje to najwyżej dziesięć minut. Co będzie dalej?!

A on włącza swoje gadanie – i to jakie! Traci kontrolę, którym językiem mówi i do kogo. Raz słowa niemieckie, raz włoskie, raz angielskie. K. patrzy na mnie. Domyślamy się – facet czegoś się nawąchał? Wygląda na to. Nagle zrywa się i wychodzi z przedziału. Znika na kilkanaście minut. Wraca. Mówi, że był w Warszawie. – Było piwko? – pyta K. – Oj – Gianni kręci przepaszająco głową. – Cztery były! Cztery! Och! – I odlicza na palcach. Siada przy nas i znowu strumień włosko-polsko-angielsko-niemiecki wylewa się z niego jak gorąca woda z pękniętego termofora. Po chwili dostrzega przed sobą młodą nauczycielkę pływania z Sopotu, która siedzi naprzeciwko niego. Zresztą siedzi w krótkiej, czarnej spódniczce, wygodnie rozparta, z szeroko rozstawionymi, gołymi nogami. Gianni zachwyca się: – Jakie ty – mówi do niej – ładne zęby masz! – i ostry palec przysuwa do jej ust. – Ale jak ty siedzisz! – zachwyca się, przewracając oczami. Wyciąga ręce przed siebie, chwytając chudymi palcami za dwa gołe kolana i zwierza jej nogi, jakby zamykał bramę garażu. Nauczycielka z Sopotu coś tam mówi do niego po angielsku, ale on już nadaje tylko po niemiecku, wyrzucając z siebie całe potoki słów. – Lubi pan piwo? – pytam, żeby mu przerwać. – A jakie? Polskie? – Patrzy na mnie nieprzytomnie, potem zrywa się, podbiega do drzwi przedziału. Pokrzykuje: – Piwo! Piwo! – Krzyczę: – Nie! Nie! Nie chcę żadnego piwa! – Ale on wybiega na korytarz, znika, po kilku minutach wtacza się z trzema półlitrowymi butelkami tyskiego. Dwie w garści, jedna pod pachą. – Dobrze! O, dobre! Tyskie! Pić! Pić! – i wciska mi do ręki. Bronię się, bo mi lekarze zabraniają, ale on napiera, trochę obrażony, że daru nie przyjmuję. Całe szczęście, że K. zaspokaja swoje pragnienie złotym płynem z miasta Tychy, żeby Gianni dał nam wreszcie spokój. I tak mijają nam kolejne godziny w naszej drodze z Berlina do Gdańska. Coś mówimy do Gianniego, on nas zatapia swoim gadaniem. To wybucha śmiechem. To śpiewa. Głośno podziwia Roberta de Niro. Krzywi się na Leonarda DiCaprio. Znowu śpiewa. Palcami wyciągniętymi przed siebie imituje grę na fortepianie. Wykrzykuje. Śmieje się. Tłucze otwartą dłońią w kolano. Plask! Plask! Podnosi koszulę, żeby pokazać nam, jaki ma płaski, opalony, włoski brzuch. Trąca mnie łokciem w bok. Chwali mój czarny kapelusz i białą brodę. – Mój brat – woła, wpatrzony we mnie. – Mój brat! – Koło Inowrocławia znika na dłużej. A więc chwila spokoju? Kiedy wysiadamy w Gdańsku, już go nie widzimy. K. prosi, żeby nauczycielka pływania z Sopotu przypomniała mu,

że powinien wysiąść w Sopocie, gdzie miała, jak mówił, na niego czekać żona z Gdyni.

Uff... Nareszcie wjeżdżamy na dworzec w Gdańsku. Teraz tramwajem na Morenę. Nareszcie zniknąć. Zniknąć bez śladu. Ale cóż to? Na przystanku przed dworcem szeroko otwiera na nasz widok ramiona jakaś kobieta. Kto to jest? W kwiecistej sukni, ufarbowana na rudo, z torebką: – O, jak ja się cieszę, że państwa widzę! Pierwszy raz w życiu – na żywo! Bo państwo są, że się tak wyrażę, bohaterami masowej wyobraźni! Jakże ja się cieszę! Opowiem o tym spotkaniu moim znajomym! – I pochylona, wrywa nam walizki z rąk, żeby je wnieść do nadjeżdżającego tramwaju. – Nie, nie! – wołamy uprzejmię. – Sami damy radę! – ale ona nie rezygnuje. Całe szczęście, że nagle zagarnia nas ciepły tłum pasażerów, wchodzących z przystanka do wagonu, w którym toniemy jak wisienki w kremie czekoladowym. Tramwaj rusza. Na Morenę!

MAREK KĘDZIERSKI

Marginalia (2)

To się nie dzieje. To było po prostu nie do wytrzymania. Co to za ludek! Wujku, od Savony, a właściwie już od Genui, a najpóźniej od San Remo, co parę minut jakiś ponadwymiarowy SUV siedzi mi na zderzaku. Początkowo myślałem, że to Czesi, że to tak, jak w Czechach mafiosi, choć nie tylko, chcą pokazać, ile znaczą i co potrafią, więc jadąc wypasionym SUV-em, chcą mieć drogę wolną, mimo zakazów i ograniczenia szybkości, ale zauważyłem, że to głównie auta z małymi zgrabnymi tablicami z insygnią *grimaldi blue* i objaśnieniem: *Principaute de Monaco* wjeżdżają mi na zderzak, no ale muszę przyznać, że tylko jakby ustawiali się w dołkach startowych, czaili się z tyłu, pół metra za mną, czekając na strzał, a tym strzałem było moje ustąpienie drogi, zejście im z drogi, zjazd na prawy pas, a pasy są dwa i bez pobocza i bez przerwy zakręty i tunele, które są remontowane w dużej ilości jednocześnie, tunele. Jak już zjadę, to nawet się uśmiechają przyjaźnie, tak po włosku, nie, nie było mowy, by pokazywali mi palce, jak w Czechach, albo robili straszne miny, oni są ponad, ci z Monaco, *les monegasques*, monakijczycy, czy jak ich nazwać?... polszczyzna ma jakieś słowo na tę mikronację? Arogancja nie z tej ziemi. Nie, żeby cię chcieli odstrzelić, nie. Tak, wiem, to mogli być na przykład Włosi, albo Francuzi, po francuskiej stronie od La Tourbie do samej Nicei też mi najjeżdżały na bagażnik najczęściej właśnie takie tablice o sympatycznym desiginie. Jasne wujku, że to mogli być po prostu Rosjanie albo oligarchowie ukraińscy, ty też siedzisz za kierownicą auta o obcych numerach, nie ma co zwać winy na jakąś nację, a tyle jest dobrych aspektów istnienia czegoś takiego jak Monaco. Znajomi i przyjaciele z Hożej i Brackiej mówili mi: Jak będziesz tamtędy przejeżdżał, to zatrzymaj się w Monte Carlo, najlepiej pojedź pociągiem, bo w lecie nie ma jak parkować. I rzeczywiście pojechaliśmy, młodemu się podobało, mnie też, rzeczywiście, to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Ale już po godzinie zrobiło mi się duszno. *Muss es sein?* No ale młodemu się bardzo podobało. Że w sumie duży porządek. Jak w Szwajcarii, z tym że nikt ci na każdym kroku nie zwraca uwagi, nie poucza, nie karci wzrokiem. Dworzec kolejowy też robi wrażenie, wjeżdża się

tym pociągiem bądź co bądź malutkim i podmiejskim, jak do kwatery głównej Pentagonu. No ale młodym się podobało. Na pewno wygodne, wszystkie te tunele pod i nad ulicami, windy, poziomy, na poziomie, zwłaszcza w deszczowy dzień wygodne, dla ludzi niesprawnych ruchowo. Na szczęście, dla mnie, bo nie dla młodzieży, nie było żadnego tenisa, łódki i, jak twój Bernhard by powiedział, tak zwane jachty, z nimi też w miarę spokój. W muzeum oceanograficznym wszystkim się podobało, wiesz, jakiego ja mam bzika na punkcie oceanów i pokazywania wszystkim tego, co w oceanach się dzieje. Spędziliśmy tam parę spokojnych godzin. Pachniało prawdziwym morzem. Ale, tak z ręką na sercu, najbardziej zaimponowały mi nie lamborghini, jachtkluby, tenis, wystawy absurdalnie drogich butików, tym bardziej nie zabetonowanie całej części kraiku fatalną wprost architekturą, tylko – uwaga: ilość i stan publicznych toalet. Doliczyłem się kilkunastu, zerkalem od czasu do czasu, co za klasa! Niektóre pod dyskretnym okiem tak zwanego żeranta, z obsługą, inne zupełnie puste, wszystkie bez zarzutu, tak w punkcie czystości, jak i smaku. Nie przesadzam. Imponujące, zwłaszcza, że o kilometr dalej zaczyna się rozległy kraj beztoaletowy. Choć szczył się przejęciem w prostej drodze po Rzymianach tak zwanych wespazjanów (nieprawda!). W ciągu ostatniego ćwierćwiecza pod pretekstem walki z brakiem higieny w wielkiej Francji praktycznie zlikwidowano toalety publiczne. Ktoś w potrzebie ma na własną rękę wyjść na swoje. Z wiadomym rezultatem. W Paryżu wespazjany zastąpiono puszkami metalowymi i dopiero te tykają jak bomba higieniczna, niesprawne pseudo *high-tech*, nie mówiąc o tym, że jest ich dziesięć razy mniej i jeden na dziesięć funkcjonuje. Wujku, jak cała pobliska Nicea długa i szeroka, nie znajdziesz w niej ani jednej sprawnej toalety, więc ludzie sikają ostentacyjnie pośrodku ulicy, nonszalancko zwalając winę na miasto. Słusznie i niesłusznie. Ale...

Ale ty, wujku, o ile pamiętam, dobrze wspominałeś Monaco, mówi Kuba, a ja, jego stryj, owszem, zgadzam się z Kubą. Tak, bardzo dobrze, bratanku, ale po części też nie brakuje w nich samochodów. Pierwszy raz, kiedy tu spędziłem parę dobrych dni, były akurat wyścigi uliczne, *grand prix* jakiejś formuły, nie pamiętam której. Nie, rajd Monte Carlo jest zimą, to było w maju. W powietrzu, już późnowiosennie rozgrzanym, unosił się zapach gumy zostawionej na asfalcie. Ale przebiła się przezeń od czasu do czasu woń bardzo wonnej roślinności. Ja wtedy przyjechałem z leniwej wiosny na dalekiej północy, więc ten początek lata i tafla morza napawały lekką euforią. Zamożność owszem zauważyłem, jej dyskretność i teźże przeciwieństwo, ostentację. Hotel z widokiem na Zamek, posiłki na tarasie *restaurant du Château*, wszystko na rachunek dworu, że tak powiem. Na samym

początku powitała nas Caroline, bardzo błyskotliwa, *très, très charmante*. Za sprawą Georgesa Sandulescu. Przyjaciel Ionesco i praktycznie wszystkich wielkich, przed przyjazdem do Monaco był w Sztokholmie członkiem Komitetu Nobla, wielki kosmopolita i poliglota, z temperamentem, chętnie dzielił się anegdotami, światowymi. Uchylił na przykład rąbka tajemnicy na temat roku 1969, kiedy Witold kandydował, a nagrodę otrzymał Samuel, parę miesięcy po śmierci Gombrowicza. Chodziłem sobie po tym Monaco trzydzieści lat temu i rozmyślałem, jak pogodzić dzieło i osobę, a przede wszystkim przesłanie Becketta z całym tym opulentnym lub lekko ukrywanym blichтром. I co ja tu robię. Wyjaśnieniem był tu zapewne fakt, że w końcu wieku Beckett stał się irlandzkim klasykiem, do czego Komitet Noblowski utarował drogę, a Sandulescu zgodził się przejąć ster Princess Grace Irish Library, Irlandzkiej Biblioteki, ufundowanej przez Grace Kelly i usytuowanej w kameralnych wnętrzach ostentacyjnie nieostentacyjnej „starmiejskiej” kamienicy, *nota bene* w okolicach usianych dworsko-rządowymi instytucjami. Po kilkudniowych obradach mafii beckettowskiej na koniec pojawili się sami Beckettowie, bratanica i bratanek pisarza. Euforycznie.

Biblioteka nie kłuje w oko, mówię, jak inne posesje, na których uprawia się kulturę: balet, opera, orkiestra, teatr pod dworskim patronatem i/lub pod gołym niebem. Co do muzyki, pieniędzy starczy na zaproszenie gwiazd, ale poziom raczej nie jest wyrównany. Czasami zdarzają się mocne knoty. Orkiestra konkuruje z Niceą, już choćby z tego powodu, że gra kilka stacji dalej. Monaco mocniej było słyhać w ostatnich dwóch latach. Jak nastawisz ucha w milczącej Nicei, mówiła mi sąsiadka, to usłyszysz dźwięk instrumentu z Monaco. Bo w Monaco nie było *lock-downu*, to znaczy był i nie był. Moja sąsiadka gra na altówce w dworskiej orkiestrze. Młoda Ying przyjechała z Chin, by grać w Wiedniu, a potem skusiła się na Monaco. Mieliśmy testy, opowiada Ying, ale jak się okazało, że za wiele jest pozytywnych, nasz dyrektor zadzwonił z pytaniem, co robić, do odpowiedzialnego ministra dworu, czy jak to się tam nazywa, mówi Ying, i ten zasugerował, żeby nic nie robić, to znaczy przede wszystkim nie robić testów. Bo jak się nie robi, to automatycznie wszystkie są bardziej negatywne. Biedna Ying przechorowała, ale wszyscy chorowali. Nie tylko instytucje serwujące strawę duchową, także restauracje były w Monaco otwarte. I granice. Można sobie wyobrazić, co robi głodny mieszkaniec wielkiego kraju w tak małej odległości do małej oazy wolności. I rzeczywiście, po eleganckich zbiorowych posiłkach w księstwie, liczby pacjentów w szpitalach po francuskiej stronie lokalnie szybowały w górę. Nawet w „normalnych” czasach służba zdrowia w Monaco zależna jest od infrastruktury

u sąsiadów. A co dopiero w czasach pandemii. Więc mer miasta Nicei, pan Estrosi, wdał się w publiczną polemikę z Księżstwem. Nieco później panowie się dogadali. Zamieciono pod dywan.

Graham Green nie chciał się dogadać. Brytyjski rezydent na Lazurkowym Wybrzeżu w 1982 roku pod wielce znaczącym tytułem *J'Accuse*, wydał książkę o ciemnej stronie Nicei, oskarżając lokalną administrację o mafijność i korupcję. Podobnie jak nie udało mu się przekonać jurorów Nobla, nie przekonał francuskiego sędziego w czasie wytyczonego mu przez miasto procesu o zniesławienie. Po śmierci Greena, mer Nicei nazwiskiem Médécine uciekł do Urugwaju, sprowadzono go stamtąd, postawiono przed sądem i skazano za korupcję. Ale Greena nie było już na tym świecie. Główna ulica handlowa Nicei to Avenue Jean Médécine. Ten, któremu udowodniono korupcję to był Jacques, syn Jeana. Co ma wspólnego Jean z Jacquiem, Nicea z Monaco, Estrosi ze swym kolegą monakijskim, Georgem Marsanem? Nie wiem.

Wujku, przerywa mi bratanek. Tak, *à propos*, to jeszcze jedno bardzo się młodemu podobało. Wszędzie te nasze flagi *à rebours*. W pewnym sensie dla młodych wszystko tu jest *à rebours*, zamiast biało-czerwoności, czerwono-białość. Nie trzydzieści osiem milionów, tylko trzydzieści osiem tysięcy, trzysta dwanaście tysięcy kilometrów *contra* dwa kilometry, kwadratowe.

Tak, mówię, są pewne podobieństwa. Podobne hymny mamy – nasz napisał generał Wybicki podczas burzy napoleońskiej trzysta kilometrów w linii prostej od Monaco, natomiast ich pieśń patriotyczna zrodziła się w głowie notariusza Bellando, którego Wiosna Ludów zrobiła kapitanem Gwardii Narodowej. Hymn śpiewany w rytmie równie marszowym jak Mazurek Dąbrowskiego. Wprawdzie Monaco nie ma armii, ale za to porządku publicznego pilnuje pięciuset piętnastu policjantów. Pomyśl: pół tysiąca na trzydzieści osiem, to byłoby pół miliona na trzydzieści osiem milionów. Mają wszystko, premiera, rodzaj parlamentu, partie polityczne, w miarę skuteczny system wyborczy, nawet *sui generis* konstytucję. A sędziowie są nominowani, bez dyskusji, przez Księcia Suwerena. Książę jest głową państwa, i jeżeli uzna, że jego interwencje, choć nie formalne, służą dobru poddanych, czyni to, co uzna za stosowne. Tak wygląda parlamentarna monarchia semi-konstytucyjna.

Czymś takim, zwłaszcza, że są pieniądze, a państwo jest unitarne, więc niezależne, łatwiej sterować. Trzydzieści osiem milionów, pomyśl Jakubie, może warto rozważyć restaurację monarchii, mówię bratankowi.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (4)

Jasny, świetlisty głos brzmiący jakby nową barwą czy odcieniem, jeszcze bliższy.

Instrument siły, która nią i w niej gra?

Ratuje mnie, a ja ją.

Czuję, że wypełnia mnie spokój i pewność.

Jej oczy złączone są z uśmiechem i głosem.

Pewność, która daje spokój i spokój, który daje pewność.

Była na zewnątrz, potem moje cząstki w niej i jej we mnie, coraz więcej.

Wygładzone, wypolerowane jak drzewo, i jak ciało.

Nie mogę z nią żyć w nieporozumieniach, to tak jakbym ze sobą żył w nieporozumieniach.

Myślałam o murze. Mur zatrzymuje. Nie pozwala wyjść. I nie pozwala wejść. Chroni. Może naszym zadaniem jest wzmacnianie muru. A może chodzi o to, żeby go nie przekraczać – nie rozbijać, bo nie jesteśmy gotowi na to, co jest po drugiej stronie? I jeśli pojawi się gotowość, znajdziemy przejście? Nie znamy odpowiedzi. Cały czas mam wrażenie, czy to właśnie jest przecucie, że potrzebna jest nam cierpliwość, że zbyt szybko chcemy przejść do kolejnego etapu. Skąd pewność, że ten już się skończył?

Nie chodzi o przeczekiwanie, ani zostawianie rzeczy samym sobie, z życzeniem, że się rozwiążą splątania.

Nie chodzi o zaniechanie. Mam wrażenie, że próbujemy przyspieszyć na siłę. A przecież mamy czas.

Przyciąga mnie to, co w niej skryte, wycofane, mroczne i ciemne.

Co jest dobre – związek najbliższy jaki może być czy ostrożność, roztropność i rozsądek?

Małe kroki i susy, skoki.

Upodobnianie się do siebie, przemienianie.

Wspólne pasma, myśli, pragnienia, pożądania i poruszanie się w nich.

Uczymy się siebie – siebie nawzajem i siebie samych. Ja na pewno. Chyba pierwszy raz jestem tak blisko drugiego człowieka. Przyjmuję z wdzięcznością każdą chwilę. Z pokorą. Nawet chmury. Czy staję się lepsza? Silniejsza? To niepojęte, zadziwia jeszcze. Dlaczego wydarza się teraz? Dlaczego on? Wywraca mi życie do góry nogami. I jednocześnie wszystko układa. Zaczynam żyć – czuć – współodczuwać. Dojrzewam? Do pełni? Czy w końcu poczuję się kompletna? On łagodnieje...

Kocham ją, ale ona kocha mnie mocniej i schodzę na drugi plan.

Stapiamy się i czuję, że chce jeszcze bardziej być ze mną.

Odchodzimy od świata. Przychodzimy do siebie.

Spraw, żebym kochał tak jak ty.

Przeniknij i rozpal miłosny ogień.

Ile mojego ducha jest w niej, a ile jej we mnie?

Jak istniejemy w ciałach? Na ile w nich jesteśmy, a na ile nie?

Gdyby jedno umarło, ile by zabrało drugiego?

Rozpołowieni, scaleni.

Nawet szamotanina staje się miłością.

Gniewam się, patrzę w okno i widzę w nim ją.

Czuję ból. Spustoszenie. Nadal. Nie było oczyszczenia. Próba? Wszystko co dzieje się od czasu widzenia, to próby? Testuje mnie? Męczy go moja obecność czy nieobecność? Irytuje, że jestem sobą, że nie myślę i czuję jak on? Czy to złość na siebie? O to, że jednak wybrał źle?

Gubię się, nie rozumiem tego. Czy nie mógł powiedzieć, co czuje, zamiast odwracać głowę, z pretensją, jak przekuć ten smutek w coś dobrego.

Skoro mamy być naturalni – prawdziwi, nie powinnam przepraszać za to, że nie jestem taka, jaką chce mnie widzieć, jaką chciałby, żebym była.

A jednak – wybacz mi.

Nagość już nie wystarcza, i gnieźdzenie się w sobie.

Bez miłości przestajemy być.

Czy mamy prawo ten dar zachować jedynie dla siebie? Nie! Bo przecież on promieniuje, musi promieniować.

Jakie otrzymaliśmy z nim zadania? A może jedno wspólne zadanie? Dzielić się dobrem, które daje – sprawia miłość.

Tak dużo pytań. I świadomość, że być może nie uzyska się na nie odpowiedzi.

Główne zadanie – wzmocnieni miłością do siebie wzajemnie, kochać innych.

Co to za hybryda?

Skąd siła?

Jaka moc?

Może diabeł rozpala ten żar?

Kocham. I jestem kochana. To wzmacnia. Daje siłę. Wymaga jednak uważności. Wpatrywania się i wsluchiwania w niego – to oczywiste. I w siebie także.

Nie myślimy o sobie. Myślę o niej, ona myśli o mnie, myślimy o sobie.

– Opuszczam cię.

– Do kogo pójdziesz?

– Do ciebie.

Mówię, że może powinniśmy odpocząć, nie spotykać się kilka dni, tydzień. I widzę jej oczy.

Przyjmuje słowa, działa nimi i jest w nich.

Czy żyjemy w jedności? I tak, i nie.

Dobro może istnieć także w sytuacjach przegranych, są tylko pozornie przegrane.

Jeśli jest miłość, jest wszystko, jeśli jej nie ma, nie ma nic.

Diabeł to kłamstwo, świat na opak. Jeszcze większe rozdrobnienie w rozpadzie. Krach i katastrofa.

Maksima i minima, które stykają się, w swoim paśmie.

Bez płaczu co znaczyłby śmiech, a bez śmiechu płacz?

Linia zamienia się w koło, które odkręca się i prostuje.

Żeby coś poznać, trzeba wywrócić na nice, zobaczyć odwrotność, przeciwieństwo.

Sam, w milczeniu, snuje głos, zamknięty w nim, poza swoim zamknięciem, w niewidzialnej dali.

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem (7)

19.

W tym samym 1977 roku na łamach paryskiej „Kultury” opublikowana została *Deklaracja w sprawie ukraińskiej*, której sygnatariusze wzywali do uznania prawa Ukrainy do suwerenności państwowej, podkreślając, że „patrioci ukraińscy najgęściej zaludniają więzienia i łagry, opór na Ukrainie stał się synonimem oporu narodowego w imperium”. W zakończeniu dokumentu pojawia się też apel: „Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSRR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”. Ze strony rosyjskiej deklarację podpisali Andriej Amalrik, Władimir Bukowski, Natalia Gorbaniewska, Władimir Maksimow oraz Wiktor Niekrasow, ze strony polskiej Zbigniew Byrski, Józef Czapski, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Dominik Morawski oraz Aleksander Smolar. Dołączyli – redaktorzy emigracyjnych pism – węgierskiego „Irodalmi Újság” Tibor Meray oraz czeskiego „Svědectví” Pavel Tigrid. Dodatkowo podniesiono kwestię zagrożeń dla przyszłości, podkreślając, że jedną ze spraw fundamentalnych jest postawa „narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie, im prędzej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo tylko ona może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi”. Zarazem – odnosząc się do przeszłości, autorzy przypomnieli opinii publicznej: „Nie można tu nie wspomnieć krzywd wyrządzonych Ukrainie ze strony wielowiekowego polskiego imperializmu”.

Wokół pisma skupiło się wówczas grono pisarzy, dla których „kwestia ukraińska” była przedmiotem szczególnej uwagi – do najważniejszych należeli Stanisław Stempowski, Stanisław Vincenz, Józef Łobodowski oraz Bohdan Osadczuk. Jednocześnie Giedroyc forsował na łamach pisma wypracowaną we współpracy z Juliuszem Mieroszewskim „koncepcję ULB”, czyli programu zakładającego

utworzenie między Rosją i Polską strefy suwerennych krajów, które dotąd były przedmiotem sporu w rywalizacji o wpływy – Ukrainy, Litwy i Białorusi. Ten program zresztą – nie miejsce tu na obszerniejszy wykład na ten temat – miał silne zakorzenie w historii zarówno I Rzeczypospolitej, jak Wielkiego Księstwa Litewskiego, a także we wspólnocie dążeń niepodległościowych w XIX stuleciu, później zaś w nieudanej próbie sojuszu Polski i Ukrainy, jaką był układ zawarty między Piłsudskim i Petlurą. Można zakładać, że w zmienionych warunkach u progu wieku XXI te kwestie musiałyby ulec daleko idącym przewartościowaniom, nie ulega jednak wątpliwości, że zgłaszana obecnie przez Ukrainę gotowość wstąpienia do Unii Europejskiej stanowi bez wątpienia okoliczność dla Polski korzystną, zaś jej zaspokojenie leży w naszym najżywszym interesie.

Historia jednak nie ma w zwyczaju zbyt długo stać w miejscu, często też jest autorką zdarzeń nie tylko mało prawdopodobnych, ale też i niewyobrażalnych. Bo przecież mało prawdopodobnym zdarzeniem było wyewoluowanie w ciągu ledwie stu lat małej grupki wyznawców Allacha w potężne imperium rozciągnięte między granicami Indii a Półwyspem Iberyjskim. Podobnie zaskakujący jest stosunkowo szybki rozwój Rosji z niewielkiego i składającego hołdy władcom mongolskim Księstwa Moskiewskiego w potężne imperium, jakim był Związek Sowiecki. Już tylko te dwa przykłady wystarczą, by wobec biegu dziejów pozostawać pokornym i nie przesądzać o przyszłości nawet najmniej pozornie znaczących zjawisk. Można przypuszczać, choć to rzecz ryzykowna, że właśnie obecnie, w roku 2022, takim zdarzeniem, w globalnej perspektywie pozornie zupełnie marginalnym, jest wojna rosyjsko-ukraińska, być może rangą swą, szczególnie na obszarze Europy, donioślejsza od wojny bolszewicko-polskiej z roku 1920, która, za sprawą przede wszystkim bitwy warszawskiej określanej mianem „cudu nad Wisłą”, zatrzymała pochód komunizmu w głąb kontynentu.

Gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, przypomniałem sobie interesujący fragment monumentalnej monografii Normana Daviesa *Europa*, w którym, komentując sytuację Ukrainy w połowie XVII wieku, podkreślał: „Przejście Ukrainy z rąk Polski w ręce Rosji miało ogromne znaczenie. Ukraina była dla Moskwy źródłem zasobów gospodarczych i zapewniła jej pozycję geopolityczną, niezbędną, by mogła stać się wielkim mocarstwem. Co więcej, przyłączenie Ukrainy nastąpiło w tym samym okresie, w którym wyprawy badawcze i podbój Syberii sięgnęły wybrzeży Pacyfiku. Formuła »Moskwa + Ukraina = Rosja« nie figuruje w oficjalnej wersji dziejów Rosji, ale mimo to odegrała w nich fundamentalną rolę. A wobec tego za prawdziwego założyciela imperium rosyjskiego należy uznać Aleksego Michajłowicza, a nie jego sławniejszego syna, Piotra”.

Obecnie wygląda na to, że Rosji zagraża równanie „Rosja – Ukraina = Moskwa” i właśnie temu starają się Rosjanie zapobiec, co sprawia, że samo istnienie suwerennej Ukrainy stanowi *casus belli*. Zredukowanie Rosji do Moskwy z dołączonym Sybirem oznacza kres ambicji imperialnych, o tyle zresztą anachronicznych, że Kreml nie odrobił lekcji z drugiej połowy XX stulecia dowodzącej, że by pozostać mocarstwem – jak wciąż Anglia czy Francja – trzeba, po mniej lub bardziej dramatycznych epizodach, pogodzić się z demontażem imperium, które zresztą te dwa kraje zręcznie zastąpiły, tworząc Commonwealth czy sieć krajów frankofońskich i utrzymując w zasadzie niezłe relacje z byłymi koloniami. Trzeba też przyznać, że w początkowej fazie rozpadu Związku Sowieckiego nic obecnie dramatu nie zapowiadało i relacje Moskwy z Kijowem zdawały się relatywnie poprawne. Zwrot nastąpił w momencie, w którym Ukraińcy postanowili związać swą przyszłość z Unią Europejską, wtedy więc, gdy okazali się zdolni do podmiotowości na arenie międzynarodowej i gdy ludność kraju dowiodła w trakcie Euro-majdanu w latach 2014–2015, że stanowi naród polityczny. Nie dziwi zatem wypowiedź jednego z bardziej interesujących prozaików rosyjskich, Dmitrija Bykowa, już wcześniej protestującego przeciw aneksji Krymu, który, komentując wojnę rosyjsko-ukraińską, stwierdził: „Na naszych oczach rodzi się wielki kraj i nie jest to Rosja. Z jednej strony jest mi boleśnie wstyd, a z drugiej jestem z nich strasznie dumny”. „Oni” to, rzecz jasna, Ukraińcy. I myślę, że Bykow – gdyby wówczas mógł – z pewnością byłby sygnatariuszem *Deklaracji w sprawie ukraińskiej*, tyle tylko, że wówczas byłby dziesięcioletnim chłopcem.

Grzegorz Przebinda, wybitny znawca rosyjskiej literatury, pisząc o pierwszej powieści Bykowa, relacjonuje: „Objaśniając genezę pierwszej powieści, Bykow polemizuje *ex post* ze świętokradczą wobec pamięci ofiar opinią Aleksandra Kożewnikowa – francuskiego heglisty z rosyjskich emigrantów – iż Stalin podjął jakoby represje, »aby zmienić rosyjską psychologię i zbudować superpaństwo złożone z nadludzi, a nie dlatego, iżby kogoś paranoidalnie podejrzewał«. Jednakże zdaniem Bykowa wszelkie poszukiwania logiki terroru prowadzą nieuchronnie do uznania jego racji, co też wielu niestety w dzisiejszej Rosji czyni. Dlatego kluczowy epizod jego powieści wygląda w autointerpretacji pisarza następująco: »Bohater Rogow widzi przed sobą, wydaje mu się, utopię – łagier czystych ludzi w siole o nazwie Czyste, widzi tam przepiękną letnią polanę, biegnie po tej polanie i zwala się w straszne, śmierdzące grzęzawisko«. Ten obraz stanowił przestrożę również dla samego pisarza. Dlatego tytuł *Usprawiedliwienie* – a nie *Uniewinnienie*, jak w polskim przekładzie – winien być rozumiany dwojako. Po pierwsze w cudzysłowie, czyli ironicznie, jako polemika ze stalinistami w Rosji

(także współczesnymi), poszukującymi patriotycznej logiki w masowych zbrodniach. Po drugie zaś, wprost – jako samousprawiedliwienie twórcy za odrzucony już podziw dla »sowieckiego projektu«.

Przypuszczam też, że przynajmniej dwie rosyjskie poetki gotowe by były podpisać ową deklarację. Uczyniła to jednak tylko Natalia Gorbaniewska, której utwór *Dwa wiersze na śmierć Jerzego Giedroycia* warto tu przywołać:

1.

Starzy i młodzi,
każdy odchodzi
przed zakończeniem stulecia,
młodzi i starzy,
nikt z nich nie marzy
o tym, by rozciąć jak świeca
mroki ciemnoty,
by ciepła dotyk
osiągnął temperaturę
ust oraz powiek,
tak jakby ten wiek
dziewczynką był de La Toure'a.

2.

Stół, komputer, krzesło, łóżko –
tylko to zostało.
Z kim rozmawiać? Wykuć trudno,
w słowo przekuć żalność.
Nie na lampę kołpak szyty
miedzianego dzwonu.
Nie tak wszystko, wszystko nie tym,
kołkiem w gardle stoi.
To wyzwanie, to wezwanie,
przeprawy ugorem
przetłumaczy na nieznaną
język stary Charon.

Myślę też, że idee owej deklaracji nie są obce Jelenie Fanajlovej, autorce wydanego niedawno w Polsce zbioru *Szybki numerek w hotelu Europa*, która niedawno ogłosiła wiersz *Zosia i Giedroyc* (a warto dziś przypomnieć, że chodzi o Zofię Hertz odpowiedzialną w „Kulturze” za „wszystko”).

Śnią mi się czyjeś wargi
Te sny mnie niepokoją.
Giedroyc pisze do przyjaciółki
Swego serca

Ona zamężna, on straszliwie zajęty.
Tam tak naprawdę
Mowa wyłącznie o sprawach do zrobienia
Czy zdołają cokolwiek połączyć
I stworzyć

Na razie oboje na wygnaniu i bez pracy
W głębokim smutku.
Nigdy żadne z nich
Tak bardzo nie oczekiwało wsparcia
Czapski mnie pozostawił, pisze,
Jestem na niego wkurzony.
Ona pakuje walizki obojga,
Są zadziwiająco niepraktyczni.
Ich generał traci swoje wpływy
On pisze że Monte Cassino było
Czynem absurdalnym i wznieca ogień krytyki i rozpaczy

Czy przekroczą cienką czerwoną linię
Między światem żywych i martwych
Między duchowym i cielesnym
Wyobrażonym i realnym

Potem do samej śmierci
Będą pracować w Paryżu
We wspólnym domu
Który wznoszą własnymi rękoma
Jej mąż cierpi
Że gra drugoplanową rolę
Skarży się w listach Miłoszowi

Kto z was najważniejszy, pyta
Autorka filmu dokumentalnego.
Oczywiście, Jerzy, odpowiada Zosia.
Oczywiście, Zosia, odpowiada Giedroyc.

Jak powiadają ludzie, którzy ich nieźle znali,
Ona była zbyt piękna i chłodna

Zbyt racjonalna wobec romantycznych zależności
(Po prostu ustawia każdego
Kto znajdzie się pod ręką,
Co nam wiadome z gorzkich żalów
Gości tego domu)
Zaś jego interesują wyłącznie sprawy *Na niepodległość Ukrainy*
Polityki i Kultury.
Zmienili bieg historii
Doczekali wolnej Polski
Ukraińskich i rosyjskich opozycjonistów
Włączyli w kontekst sprzeciwu
Świata Europy Środkowej

Sprawdził ich los
Na skrzyżowaniu wojennym
Nie raz wspominali to spotkanie
Oraz ludzi, najważniejszych dla sensu ich życia,
Oboje mają ciężki charakter, lecz Zosia bardziej uparta.
Szybko pojęła, że jest jej potrzebny.
Umrze niedługo po nim.

Jak mawiał Redaktor,
Ważne to tylko, co napiszemy i zarysujemy
W czasie, który jest nam dziś dany

Być może ma rację inny wybitny pisarz rosyjski, Wiktor Jerofiejew, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” stara się zarysować realistyczny, choć podszyty ostrą ironią obraz Rosji i Rosjan: „Nie mamy prawdziwej historii, tylko cudacznie groźną bajkę pełną zmyśleń i fantazji. Role napisano dawno temu, zmieniają się tylko aktorzy. Był Iwan III, Iwan IV Groźny, Mikołaj I, który bardzo nie lubił Polaków, Aleksander III, Lenin i Stalin. Teraz czas na spektakl Putina. Do tego istnieje niezmienny od stuleci statysta, czyli naród, który od czasu do czasu wydaje na świat garść obłąkańców myślących jak Europejczycy. Czasami można ich rachować nawet na kilka tysięcy [...]. Nigdy nie było ich wielu. Znałem chyba wszystkich ważniejszych, od Josifa Brodskiego po Sacharowa. To byli ludzie, którzy naiwnie wierzyli, że u nas można zrobić humanistyczny przewrót. A wielu jak Brodski uważało i uważa, że przewrót humanistyczny jest konieczny, ale wyłącznie po rosyjsku, na moskiewską nutę”. Świadectwem zaś tego ostatniego jest wiersz Brodskiego *Na niepodległość Ukrainy*, w którym czytamy między innymi:

Mówmy, dźwięków materię pauzami znacząc surowo:
Krzyż wam na drogę, chachły, po liźniku droga.
Idźcie strojni w żupany, by nie rzec – w mundury,
W rosyjskie trzy litery, w świata cztery strony.

Niechaj teraz w lepiance chórem z wami Hansy
z Lachami zrobią porządek, pohańcy.
Jak leżć w pętłę, to razem, zupkę jeść pospołu,
A milej w pojedynkę kurę gryźć z rosołu.

Żegnajcie, chachły, razem żyliśmy – i z oczu!
Splunąć by w Dniepr, być może jeszcze się wstecz potoczy.
Brzydzicie się godnie nami, znudzeni, znużeni swą męką,
Rozłączonymi węglami, wielowiekową udręką.

Żle nas nie wspominajcie, waszego chleba, nieba
Nam, gdy stłoczą makuchy, fałszywego nie trzeba.
Nie ma co krwi psuć czy rwać na piersi koszuli,
Skończyła się, widać, miłość, jeśliście ją czuli.

Póki co, „w rosyjskie trzy litery” udał się rosyjski okręt „Moskwa”, który po-
szedł na dno Morza Czarnego.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (68)

Bez tytułu i daty (LVII)

Oktostychy lubią swoje towarzystwo, wolą, gdy jest ich więcej.

Poezja nie odrzuca tego, co ładne czy piękne, choć bywa, że na tym poprzestaje. Zwykle sięga po „wszystko”, czyni tak również wtedy, gdy posługuje się najskromniejszymi środkami wyrazu.

„Umieranie / to robota najcięższa / ze wszystkich. // Starzy i chorzy / powinni być od niej zwolnieni” – *Ja protestuję* Anny Świrszczyńskiej z tomu *Cierpienie i radość*.

„Tak lekko było nic o tym nie wiedzieć” – jakże ten cytat ze *Spisu ludności (Sto pociech)* Wisławy Szymborskiej bywa w moim życiu dramatycznie aktualny, co nie znaczy, że daje mi pociechę.

„Wiersze nie są po to, żeby je rozumieć, a więc nie są też po to, żeby je interpretować – są po coś innego. Jeśli mnie pan zapyta, po co są – to ja na to pytanie nie odpowiem, bo odpowiedź jest mi nieznana. Przeznaczenie poezji jest tajemnicze, miejsce jej przebywania jest tajemnicze, miejsce jej początku jest tajemnicze, samo jej istnienie jest tajemnicze. Pewno nie powinna istnieć, ale istnieje – to jest właśnie tajemnicze” – Jarosław Marek Rymkiewicz w rozmowie *O Sarmatach, motłochu i ciemnościach poezji* w tomie *Wolność i współczucie. Rozmowy z pisarzami* (2002).

Nie mam nic przeciwko, ale jako zabawne – i poniekąd wymuszające – uważam zabiegi autorów, którzy dla uzasadnienia celowości, może nawet potrzeby wydania kolejnej książki posługują się argumentem rocznicy, na przykład iluślecia debiutu prasowego, książkowego, wreszcie argumentem koronnym: okrągłej rocznicy urodzin.

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (13)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

„Wieczność gwarantem ludzkiej godności” – co zrobić z takim zdaniem oznajmującym, które nie znalazło gościny w tekście głównym, zapisanym jakiś już czas temu? A więc pozostało bezdomne, mimo wspierającego je pierwotnego kontekstu. Ironicznego lub niepodważalnego, jak wyściełane aksamitem od spodu wieko jasnej trumny z drewna. Bowiem natrafiłem na nie przypadkiem. Ktoś podpisał tym zdaniem-zawołaniem, a nawet: hasłem, barwną fotografię radośnie uśmiechniętej rodziny, jakby właśnie spędzała długie i wymarzone wakacje... A była to fotografia reklamowa, sporych rozmiarów, umieszczona w witrynie – kto uwierzy na słowo poecie? – przedsiębiorstwa pogrzebowego... Tu zaraz, za rogiem, gdzieś blisko, w Berlinie, w miesiącu lipcu, przepadłym za odwróconym do ściany lustrem bieżącego, jak brunatna woda w umywalce po remoncie, lub bezpieczeństwa, jakoby ten pies Pawłowa, roku. Co zrobić z taką wiecznością, która gwarantuje biednym ludziom godność w odartej ze skóry terażniejszości? Nie dotykać jej? Zostawić w spokoju? Zagrzebać w świętej pamięci? Obudzić przeciwko niej bezbronne, nigdy poprawnie nie zapisywane, arcy ludzkie słowo? Ale jakie słowo jest w stanie wybudzić się i otrząsnąć z najgłębszego snu o wieży w Babilonie – i zaprotestować w naszym imieniu? Zawołać? Wykrzyknąć niezgodę na wygnanie? Bronić prawa do odmowy składania zeznań, kiedy już nawet nasze metafory załamują się w śledztwie? „Wieczność gwarantem ludzkiej godności” – takie zdanie z witryny zakładu pogrzebowego, pomyślałem, z pewnością spodobałoby się Wojtkowi, bo doceniał absurdalny humor. Nie było jednak żadnych szans, by pogadać. Wojtek. Nie Wojciech, a właśnie tak, po prostu, Wojtek... Kto jeszcze dałby radę w sytuacjach awaryjnych i najzwyczajniej pospolitych utrzymać tę nie-naganną formę? Właściwie – ten ujmująco elegancki i niepowtarzalny styl, sznyt i fason w jednym, intuicyjnie ufundowany na niewymuszenie tolerancyjnym dystansie do ludzkich poczynań i solidnie oparty na cieplej, całkowicie wolnej od

jakichkolwiek pretensji i złościwości, ironii? Nikt inny – tylko on. Przy tej wrażliwości musiało to sporo kosztować...

18 sierpnia 2022 był przyjemnym, ciepłym, nie przesadnie przesłonecznionym, jak też niemal bezchmurnym dniem. Samolot, należący do linii lotniczych AIR FRANCE, około godziny dwunastej dwadzieścia uderzył kołami o płytę paryskiego lotniska CDG. Właśnie przyleciał z Berlina na pół godziny przed czasem. „Znakomicie” – pomyślał mężczyzna. „Mam szansę zdążyć na czas”... Czy w ten sposób mógłby się zaczynać kryminał? Dziennik podróży do stolicy XIX wieku? Być może... Leciałem do Paryża jednak we własnej postaci, bez cienia literackiej wątpliwości, jakby umysł mój został uprzednio wysadzony z zawiasów – nie byłem wszakże, poza tym, że czyniłem słusznie, odrywając się od ziemi, dosłownie i w przenośni, niczego więcej pewien; nie wykluczam więc, że stało się to za sprawą doznanej jasności widzenia. Kierowała mną też jedna myśl: zdążyć. Zdążyć na czas. A potem? Potem to się zobaczy... Wojtek Sikora odszedł z tego świata całe dwa tygodnie wcześniej, we czwartek, 4 sierpnia. Był moim przyjacielem – jedną z najważniejszych osób, jakie poznałem. To na jego pogrzeb na cmentarzu w Le Mesnil le Roi, przewidzianym na godzinę piętnastą, nie chciałem się za nic w świecie spóźnić; jakby od tej mojej punktualności miał zależeć jego dalszy los – inaczej: jakby to moje staranie mogło mieć wpływ na jego pośmiertną pomyślność. Na CDG można się łatwo pogubić, szczególnie kiedy jest się na tym ogromnym lotnisku pierwszy raz. Jednak bez chwili namysłu realizuję plan – dotarcia do miejsca przeznaczenia, wcześniej przygotowany. Więc najpierw: do stacji RER B. Przedtem bilet. Potem do Hal, tam RER A. A więc, po kolei: betonowy korytarz z ogromnymi oknami, po prawej i lewej, ruchomy chodnik, dodatkowe przyspieszenie. Mam mały plecak. Idzie dobrze. Klimą działa. Nie ma trzynastej. Jest stacja kolejowa. Ale gdzie RER? Wreszcie! Za biletami ślamazarna kolejka. Zajmuję w niej jednak miejsce i idę do automatu. Nie lubię kart i ekranów dotykowych. Dobrze... CDG – Maisons Laffitte. Zatwierdzam, ale kartę wypluwa – nieważna. Jak to? No to jeszcze raz. Znow to samo. Podchodzi do mnie śliczna dziewczyna w mundurze Réseau Express Régional – chce udzielić pomocy. Drugiej. Pierwsza niepotrzebna, czego żałuję, bo jej hebanowa skóra promieniuje dobrocią. Mam bilet, więc w dół, na peron. Zajmuję miejsce, czekam na odjazd, uff, ruszamy, można odpocząć. Wiem, że na linii RER B prowadzone są prace, ale mojego przystanku to na szczęście nie dotyczy. Wiadomo – robią, bo sierpień, miesiąc urlopowy. Trasę sprawdzałem wielokrotnie, gdyż plan robót wywieszony jest w sieci. Dla pewności, bo nie znam języka, przestudiowały trasę moje córki. Jadę więc. Wprawdzie

mam wydruk wiadomości od Marysi, córki Wojtka, że między Halami a La Défense RER A nie kursuje, ale jakoś umyka to mojej przeczności – może dlatego, że takiej informacji nie ma na oficjalnej stronie? Ale, jak się już na stacji Châtelet-Les Halles okazuje, tak właśnie jest. Nie inaczej. RER A kursuje dalej dopiero z przystanku Défense. Więc znów: ruchomy chodnik i dodatkowo – krok długi taternicki do metra. A wszystko pod ziemią... Nie denerwuję się, ale jestem już od tych przyspieszeń przepecony. Pierwsza linia metra obłożona przez turystów. Ale jedzie. Krótkie odcinki między stacjami. Niby szybko, ale wolno. Tracę sporo. Louvre-Rivoli. Palais Royal. Tuileries. Nazwy wprawdzie ewokują wspomnienia, ale nie mają końca aż do ostatniego przystanku, gdzie ma czekać – oby nie uciekł, bo kłapa! – ten nieszczęsny RER A. Ale ten jest. Czeka. Udało się, ale dla odmiany – zimno w wagonie jak w chłodni. Obmyślam, gdzie się odświeżyć i przebrać. Niby to planowałem, ale nie sądziłem, że będę musiał to robić na ulicy. Jestem w Maisons Laffitte o czternastej czterdzieści trzy. Miejsce znam. Idę w prawo – nikogo. Uff. Ściągam przy rabatkach marynarkę, koszulkę, zaczynam szybkie ablucje, aż tu nagle po betonowych schodach wychodzi wprost na mnie z gołym torsem i dezodorantem w ręce rozgestykulowany tłumek, jak na filmie, z młodym Basterem Keatonem, niemym, tyle że w zwolnionym tempie – nie zakonotowałem, że na poziomie niżej jest pętla autobusowa; i że nadjechał autobus. Nie takie rzeczy tu widzieli. Jest czternasta czterdzieści siedem. Taksówka! Tam, gdzie autobus – nie ma... Ale jest numer radio-taxi. Wybieram. Nie ma takiego numeru. No to teraz wciskam zielony guzik na słupie do wzywania taksówek, ale ten wydaje z głośnika sygnał jak zajęty telefon, tyle że na całą okolicę, jak dzwon z sercem pobijającym ślapstikowy rekord. Jest upa! i jest czternasta pięćdziesiąt jeden. Na nogach nie dojdę, bo to jakieś dwadzieścia minut. Wyskakuję na Avenue de Poissy. Na wysokości bistra. Same osobowe. Jeden autobus. Znów: żywej duszy. Nagle szyld TAXI – na pojeździe nadjeżdżającym z naprzeciwka. Nie jedzie przed nim nic i nie mam nic do stracenia – wychodzę na jezdnię z podniesionymi w górę rękami. Musi się zatrzymać. Nie ma wyjścia. Kierowca jest jakby z konduktu pogrzebowego w Nowym Orleanie: marynarka, krawat, biała koszula, rząd uśmiechniętych zębów, kapelusz. Obok równie elegancka dama. Różowa suknia i pod różowym toczkiem z koronką skromne spojrzenie. Są jak wyjęci ze zdjęcia. Albo jakby bez pośpiechu wracali po nocy w zadymionym klubie, gdzie ogromne policzki wdmuchiwał do trąbki Dizzy Gillespie. Mówię w czym rzecz. On przeprasza, że nie jest stąd, ani że nie jest w pracy, tylko tak, prywatnie, z żoną, w drodze do domu. Nie zauważył pan, *monsieur*, szyldu na dachu – TAXI PARISIEN... Jednak nalegam, ale nie za bardzo, bo czuję, że mnie podrzuci do *Église Saint-Vincent*, gdzie czeka

już niecierpliwie Wojtek. Wsiadam. Kierowca zawraca. Łamie przepisy. Jedziemy. Zgadza się przyjąć dziesięć euro. *God bless you!* – dziękuję. Tak jakoś pasuje. Jest czternasta pięćdziesiąt siedem. Jestem przed czasem. Zdążyłem.

Wojtka znałem od zawsze. Skądinąd: to *zawsze* miało początek w styczniu 1990, kiedy byłem pierwszy raz w Paryżu – student polonistyki UJ na urlopie dziekańskim, poeta po debiucie w „Zeszytach Literackich”, w towarzystwie Marcina Mamonia, członka ruchu Wolność i Pokój, studenta historii UJ, początkującego dziennikarza, z którym się wtedy przyjaźniłem. Mieliśmy miejscówkę u Manueli Gretkowskiej, w skromnej kawalerce, z niezapomnianą łazienką pełną Lenina w celu ochrony przed gryzoniami, nieopodal placu Nation. Manuela przywitała nas po królewsku, racząc białym winem, gdyż na szampana nikogo stać nie było, na Trocadero, w rześście iluminowany wieczór naszego przyjazdu pociągiem z Kolonii, wyciągając różnej wielkości kieliszki z przepastnych kieszeni gogolowskiego płaszcza. Znana już w pewnych kręgach jako poetka, przyszła autorka *My zdies emigranty*, mieszkała ze swoim ówczesnym mężem, Cezarym Michalskim – publicystą „bruLionu”, zdradzającym talent i wyczucie dla spraw ważnych, fascynatem i studentem Alaina Besançona. (Czytał wtedy książki w Kulturze niedowidzącemu Józefowi Czapskiemu). Manuela i Cezary byli otwarci i serdeczni, jednakże nie chcieliśmy nadużywać ich gościnności. Paryż urzekał, pragnęliśmy zostać dłużej, ale nie było za bardzo jak – może u Jasia Rojka, który także w mieście, na jakimś stypendium, był? Marcin miał kontakt do Wojtka Sikory i jakieś do niego glejty, które miał przekazać – z NZS? „Arki”? powstającego „Czasu Krakowskiego”? Nie pamiętam, a może też: nie wiedziałem, najważniejsze jednak, że się dobrze poskładało. Marcin miał sprawy, Manuela Wojtka znała, on zaś mieszkał w pobliżu z Agatą i dziećmi, po przeciwnej stronie Nation – i tak najpierw poszedł do niego z wizytą inżynier Mamoń, potem, pod wieczór, poszliśmy obaj. Ja po raz pierwszy, w towarzystwie zakupionej w Krakowie na wszelki wypadek i uchodzącej za cymes butelki koszernej wódki – tak więc i w ten oto skromny sposób zasiadłem za stołem w pokoju kominkowym przy rue Dorian, a gospodarz, będący uroczym rozmówcą, po kilku godzinach konwersacji zaproponował nam obu gościnę. Okazało się przy tym również szybko, że nawet w Paryżu Kraków jest mały. Wojtek otarł się był o XII LO im. Bolesława Bieruta w Nowej Hucie, gdzie my zdawaliśmy maturę. Zapamiętał wyraźnie, czego nie krył, polonistkę Helenę Styrnę – nic dziwnego, matka Marcina była wybitną nauczycielką, którą z kolei ja darzyłem, myślę, że ze wzajemnością, niekłamaną sympatią.

Trzydzieści jeden lat później pisał z Flins-Neuve-Église: „po drodze w kościółku zapalam świeczkę i chwilę sobie podumam w *sacrum*. Nigdy nikogo w nim nie ma, jak wiesz”. Mieszkali wtedy z Agatą w ogromnym domostwie, które było wcześniej farmą rolną i oborą w roli głównej, na granicy regionów Île-de-France i Normandii. Agata zdecydowała się podnieść z ruiny to zapuszczone miejsce i stworzyć dom, co się jej nie bez ogromnego wysiłku obojga i wielu wyrzeczeń w miarę powiodło. Tamże, po tych miedzach, polach i lasach, Wojtek odbywał rytualne spacerki. Kilkakrotnie mu w tych przechadzkach po okolicy towarzyszyłem. Szło się przez zadbany las, równo poodmierzane pola, pod otwartym przestworem, z przystankiem na papierosa, aż do horyzontu, który się nie ruszał z Tilly. W drodze powrotnej przy drodze czekał dziadek, chciał się pochwalić, że kolejny raz w Mantes, wskazywał kierunek ramieniem, trafił *tysiaka* w zdrapkę, co nie tylko było wynikiem demencji, lecz również projekcją ludzkich możliwości, a przy tym: sugestywną, choć trochę dla nas za prostą, wizją spełnienia losu. Też byśmy tak chcieli... notorycznie bez kasy (a najbardziej ja) czy widoku na przemawiający do rozumu obrót koła fortuny. Jednak, nieco podobni w indywidualnym uporze do protagonisty z *Lotu* Formana, jako wzoru postępowania, i jakby nas nie krytykować, próby podejmowaliśmy... Na przykład w średnich latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy przez dłuższy czas graliśmy w niemieckiego totalizatora piłkarskiego – na wcale nie jasnej linii, mającej swój początek w Tournan-en-Brie (Wojtek), biegnącej przez Bonn (ja) do Krakowa (Jankes). Ten ostatni z zawodników, Zbigniew Jankowski, przyjaciel Wojtka z SKS-u, był najważniejszy – jako że dysponował ścisłym oraz analitycznym umysłem, dogłębnie badał aktualną tudzież zmienną sytuację na murawach, a potem podsyłał typy. Ja zaś, po telefonie od Wojtka, obstawiałem. Składaliśmy się w prosty sposób – co tydzień inny. Robiliśmy to w Niemczech, gdyż tutaj totalizator najwięcej płacił. Mimo jednak większych szans, niż dziadek we Flins, milionerami nie zostaliśmy, choć raz nam się udało, bo wygraliśmy kilka marek... W swoich najlepszych chwilach był Wojtek bez wątplenia na poziomie tej powagi, jak to notuje Chiaromonte w odniesieniu do Fryderyka Nietzschego, jaką się ma przy zabawie jako dziecko. Ona cechuje prawdziwą dojrzałość. Tak widzę go i ja w tym, jak się miało później okazać, przedostatnim rozdziale życia, który spędził na pracy i świeżym powietrzu na wsi. Ulubiona rozrywka? Proste. Książka w ciepłe popołudnie, na leżaku. Lubił wtedy jeszcze, jak mówił po swojemu, *popętać się* po kurortach nad La Manche – ze szczególnym uwzględnieniem faworyzowanego Honfleur. Postawił coś nawet w kasynie, w Deauville, i zgarnął kilkaset euro... Na glebie jakiego doświadczenia wyrosło przysłowie o tym, że ten, kto ma szczęście w kartach, nie ma w miłości?

Bo miłość ta czasem okazuje się być podobna do odczuwanego jako puste *sacrum*, przed którym się wpada w zadumę po zapaleniu świeczki w kościółku pod wezwaniem Świętego Dionizego, który stracił głowę? Wojtek miał bliżej do Rouen, gdzie mieszka teraz z jego wnukiem Marysia, niż do stolicy, w której prawie przestał bywać. Bliżej mu było, odnoszę wrażenie, też do Flauberta – tego późnego, z listów („wszystkie sztandary zostały do tego stopnia splamione krwią i gównem, iż byłby już czas najwyższy nie mieć żadnego”), i do tej katedry, którą malował Monet, bo mieści się w niej jedna z bram piekła.

Kiedy po wydaniu *Wierszy napisanych*, w maju 1992, otrzymałem stypendium Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej na miesięczny pobyt w Paryżu, Wojtek, a pojęcia nie miałem, że jest sekretarzem Funduszu, zaproponował mi, żebym zamiast w jakimś hotelu zatrzymał się u nich, w Tournan-en-Brie. Miałem wtedy okazję poprzyglądać się, jak pracuje przy składzie książek i pism „Kultury”. Zrobiłem mu wtedy nawet zdjęcie, które mam przed sobą. Jest nie najlepsze, choć przypomina, jak stukał w klawiaturę przedpotopowego komputera – przed ekranem, jakby wykradzionym ze szrotowni z *Gwiezdných wojen*. Nad głową miał otwarty parasol przeciwdeszczowy, przymocowany do półki, osłaniający sprzęt przed światłem, które wpadało z góry przez pleksiglasowy dach biblioteki, jadalni i zarazem – pracowni... Tych książek nie mogłem mu darować! Tych, a było ich wiele, do których nie miałem dostępu. Czytałem je, jakbym chciał wchłonąć naraz wszystkie, więc powierzchownie, choć przez to rozedrganie najbardziej mnie, myślę, w swą orbitę wciągały. Nie było zresztą i na taką lekturę po łebkach czasu – Paryż zobowiązywał, a jako pewnego rodzaju fanatyk sprzed kilku lat *Gry w klasy*, wręcz po nim biegałem. Dzięki Wojtkowi odkryłem wtedy, już spokojniejszy, jakiegoś wieczoru, *Szkice piórkiem*, których lektura była rewelacją. Jakiś czas potem, w jakimś innym czasie, dostałem od niego w prezencie pierwsze ich wydanie z 1957 roku, ciut nadwyreżone. Okładkę pierwszego tomu, która odpadła, oprawiłem w ramkę i do dziś wisi ona nad moim biurkiem w charakterze fiszki zgubionej przez anioła-stróża. To najcenniejsza pozycja w mojej bibliotece. *Habent sua fata libelli*. Tak. „Książki mają swoje losy”. Sam zresztą czułem wtedy, że i ja mam swój los, który mi sprzyja. Jak zresztą miałbym czuć się inaczej, kiedy Jan Lebenstein, niezwykle przeze mnie ceniony, znalazł kilka godzin na rozmowę ze mną u siebie, w pracowni? Olga Scherer podjęła whisky na tarasie mieszkania obok placu Wogezów i przyznała się do moich wierszy? Książkę wyznaczył termin na audyencję? Wojtek rozpałał grilla wieczorem przy pomocy suszarki do włosów, by zaraz ze swoistym wdziękiem smażyć się *chipolatas* przypalać...

Nasze rozmowy się rozpoczynały, krążyły, nie kończyły. Może nawet da się je teraz wszystkie jakoś usłyszeć, jak słyszę dziś tę odpowiedź Agaty na wspólnym spacerze latem, w lesie – kiedy dokładnie? Gdzie? Jest Dominika, moja żona, Wojtek gdzieś na przodzie, ich dzieci w ruchu, Marysia, Michał, Paweł, tną niemiłosiernie komary. Jaką ty masz krew, że cię omijają? Błękitną.

Wojciech Sikora, urodzony 16 kwietnia 1956 w Krakowie i zmarły 4 sierpnia 2022 w Paryżu – „w uznaniu wybitnych zasług w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, a także dla rozwoju polskiej kultury i osiągnięć w dokumentowaniu prawdy o historii Polski” – odznaczany był kilkakrotnie Krzyżami Orderu Odrodzenia Polski: Kawalerskim, Oficerskim i Komandorskim, lecz faktów tych specjalnie nie celebrował, nie przechwalał się nimi, ani ich nie komentował. Trochę inaczej było z nadanym mu w 2018 Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości, który wręczał mu osobiście, rok później w Laficie, minister Krzysztof Szczerski. „Nie zasłużyłem, było wielu innych, większych ode mnie kozaków, którzy mocniej niż ja kopali w d... komucha” – pisał do mnie. „Będę wyglądał jak sowiecki generał” – dodawał z ironią. Typowy Wojtek... gość o bardzo rzadkich i pilnie dziś poszukiwanych cechach charakteru, jak: bystrość, skromność, dyskrecja, lojalność, otwartość. Zdystansowany względem siebie, a to na sposób zdrowy. (Teraz ja wystawiam mu laurkę – z pewnością by mnie za niniejsze zdania i uwagi, które nie przychodzą łatwo, pogonił). Bronisław Wildstein nazwał go w pośmiertnym wspomnieniu „emisariuszem wolności”, przypominając scenę wypuszczenia z więzienia na Montelupich w Krakowie, 1 września 1980, trzech przyjaciół: jego, Andrzeja Mietkowskiego i Wojtka, kiedy to Sikora wychodzący jako ostatni, wpinał, opuszczając bramę zakładu karnego, z powrotem kolczyk w ucho, jak na jakimś odłożonym na półkę, albo nienakręconym, filmie – kolczyk: „symbol (aluzja do obrazu *Dzikość serca* Lyncha) osobowości i wolności jednostki”. Dobrze to powiedziane, ale słabo się z Wildsteinem zgadzam... Emisariusz? W moim pojęciu Wojtkowi, z jego anarchiczną „intuicją oryginalną”, bliżej było do „chuligana wolności”, które to określenie przylgnęło do Bobkowskiego. Sam Wojtek zresztą wspominał w swojej ostatniej (oraz nadaktywnej) fazie życia, że w Krakowie przyjaciele wołają na niego „zbójnik”. I sam się tak w listach, z autoironią i bez, podpisywał – i było w tym najwięcej racji... Andrzej Mietkowski, żegnając przyjaciela podczas uroczystości pogrzebowych, skonstruował bliższy mi obraz – zdominowany przez charakterystyczny przejaw cechującego Wojtka żywiołu: przekory, najlepszej w gatunku, bo ubezpieczającej wolność. Mietkowski przypomniał bowiem inną scenę, chociaż też – więzienną: w której Wojtek,

zabierany z celi, odzyskujący wolność, ku zdumieniu klawiszy i współwięźniów do celi jeszcze na moment wraca, gdyż m u s i dokończyć wydrapywany łyżką na ścianie napis: „bądź wierny idź!”. Niewątpliwie był to wynik, niech Wojtek wybaczy, działania siły ducha, tyle że w ujęciu Ciorana: jako „odwagi niewyobrażania sobie własnego losu i n a c z e j”. Ta siła, choć niełatwa to zarejestrowania, wielu przyciągała.

Jak „wszyscy święci z Maisons Laffitte”, z którymi spoczął na cmentarzu w Le Mesnil le Roi, a którym był przez całe życie – niekiedy, w moim przekonaniu, nazbyt jednak bezkrytycznie wierny – miał Wojtek swoje lunarne, ciemne strony. Wtedy, kiedy walczył, jak mawiał sam, z demonami, lub gdy te na wskroś demoniczne siły odnosiły przewagę, wycofywał się, milczał, zapadał, znikał, zanikał, tracił kontakt z rzeczywistością, aż trzeba było się do niego dobijać, upominać, wymuszać odpowiedzi, dopraszać o znak życia. Nie tańczył wtedy tanga z Jennifer Lopez („*don't say anything, don't think*”), nie chwalił cymeliami (najbardziej przypadł mi do gustu bilet o treści: „WŁADYSŁAW BRONIEWSKI / Prezes kuli ziemskiej / zaprasza JWP na wódkę”), nie słał wici o euforycznie groźnym Paryżu, który się budził do rewolty na 1 maja w przekładzie Tuwima. Ale nawet wtedy można było na niego liczyć – bo był... Kiedy już dawał radę, wychodził na prostą, zmuszony był przecierać oczy, zdumiony ciemnością na zewnątrz, jak każdy, kto zdążył dostrzec zagrożenia dla ludzkiej wolności, godności i indywidualności, których symbolicznym skrótem i zatrwającą prezentacją był dla Wojtka pożar Notre Dame, kiedy ten wybuchł w przeddzień jego sześćdziesiątych trzecich urodzin. Ten ogień pałacy wewnątrz katedry odczuwał jako „zapowiedź końca człowieka zakorzenionego w transcendencji”. W te urodziny czuł się jednak na trzydzieści sześć lat, o czym pisał, choć się to publicznie nie udzielało... Byłem więc przez jakiś czas od niego starszy o kilka lat. Opowiadałem mu o trudnych powrotach do przebywających w czyścicu książek. O tym, że przyszłość rysuje mi się przed oczami, jak w *Kolonii karnej* Kafki, tyle że ulepszona przez powszechną cyfryzację. Zwracałem uwagę na ostatnie wywiady-ostrzeżenia Huxleya – i renesans *Roku 1984*. Dopytywałem się o Francję. Słuchałem o Attalim. Trochę obgadywaliśmy Houellebecqa. *Black Lives Matter*. *Woke*. *Cancel culture*. Oboje bez kropli *Heilsgewissheit* w duszy, tej pewności zbawienia, jaką ma Werner Herzog, o czym poinformował niedawno za pośrednictwem prasy... A było to wszystko jeszcze przed kowidem, podczas trwania którego wyszło na jaw wiele spraw najbardziej bolesnych oraz trudnych do przyjęcia jako prawdy o naturze ludzkiej – tak, że nawet wydawany przez niego profesor Ryszard Legutko musiał zagłosować za wprowadzeniem segregacji

sanitarnej. Wczoraj wakcynacja – jako spełnienie miłości bliźniego. A dzisiaj – co? Jej ciąg dalszy, jak choćby dochodzący do głosu w wypowiedzi dyrektora ONZ do spraw żywności, Beasleya, ostrzegającego cały świat przed niedoborami żywności w 2023, bo te będą jak – „piekło na ziemi”. Demony? Sympatia dla diabła? Prześladuje mnie myśl: odłączają go od aparatury podtrzymującej przy życiu, on jednak żyje nadal, widzi wszystko, nie może się ruszyć.

W uproszczającym, ale narzucającym się z siłą, ujęciu – życie Wojtka, to najbardziej aktywne społecznie i oddane aktywnej pracy zawodowej, rozpina się pomiędzy dwoma symbolicznymi datami: śmiercią Stanisława Pyjasa 7 maja 1977, po której rozpoczyna działalność opozycyjną, stając się znaną osobą, oraz – po czterdziestu dwu latach od tamtej tragedii tudzież zatoczeniu wcale nie najprostszego hermeneutycznie koła (na marginesie: czy to nie choć trochę zastanawiające, że Pyjas przychodzi na świat 4 sierpnia, a Sikora 4 sierpnia ze świata odchodzi?) – odsłonięciem pomnika, upamiętniającego zamordowanego przez SB studenta polonistyki UJ, kiedy to, pod koniec maja 2019, ze względu na stan zdrowia rezygnuje ze swoich funkcji w Stowarzyszeniu „Instytut Literacki Kultura” oraz w Fundacji Kultury Paryskiej. Te sprawował od 2010 roku – z osobistego upoważnienia Henryka Giedroycia, którego nadzwyczajnie poważał. To podanie się do dymisji – paradoksalnie – stało się dla Wojtka największym wyzwaniem. Powtarzał przecież nie raz, pewnie z przekorą, choć równocześnie i – straceńczą dumą, że z tej pracy „wyjeżdża się na wózku, nogami do przodu”. Od tamtych wydarzeń coraz częściej dzielił czas na pobyty w Krakowie, gdzie się opiekował matką, oraz powroty do Francji. Te pobyty w „mieście smoka”, na które bardzo narzekał w okresie panowania, by przypomnieć dwa rzeczowniki, przynależące do repertuaru dzisiejszej nowomowy, *maseczek* i *obostrzeń*, kiedy to kiblował na Czarnowiejskiej („czarnej wsi”) w swoim starym pokoju bez cienia szansy na wyłot, miały jednak tę dobrą stronę, że widywaliśmy się częściej. Czy to w kawiarni na Brackiej, bo tam można było zapalić, czy na łyżwach przy Reymonta, gdzie ostatni raz się z Wojtkiem widziała Dominika i nasze córki, które go bardzo lubiły. Ostatnie kilka miesięcy podzielił pomiędzy Kraków i – nowość w jego życiu – Houdan, urocze miasteczko, w którym nikogo nie zna, i gdzie mieszka sam, jak palec, w wynajętym mieszkaniu przy rue de Paris. Tam, w drugiej połowie lipca, traci przytomność – i już jej nie odzyskuje.

We wstępie pisanym do *The Americans*, Jack Kerouac spostrzega, że na fotografiach Roberta Franka drewniane garmitury zdają się emanować takim samym smutkiem, co szafy grające w rzadko odwiedzanych barach na prowincji. Dużo

zaskakującej prawdy jest w tym porównaniu – przypomniało mi się ono, kiedy przeglądałem naszą korespondencję z ostatnich lat, już po śmierci czy krótko przed nią, gdy leżałem w szpitalu, o czym powiadomiła Oleńka. Pod linkiem do przesłanego przez niego jakiegoś trzy lata wcześniej motywu przewodniego z filmu *Pani i władca – na krańcu świata*, wyjątkowo dla niego istotnego obrazu, otworzyła mi się na Youtube ramka: „Ulubione. Wojciech Sikora”, po takiej przerwie całkiem niespodziewana! Widać, że nic w syntetycznym środowisku po nas nie zginie... Był na tej liście lubiany przez niego Paolo Conte („potykam się o Eliota, noc, w tle Paolo Conte”) (*It's wonderful – via con me*), przejmująca muzyka filmowa Tiersena z *Amelie*, zaskakujące *Sugar baby love* jako podkład do zdjęć z Catherine Deneuve... Jednak to nie jego ulubiony wiersz jego ulubionego poety, chociaż ten też jest (Szewczyk Leśmiana) („w życiu nic nie ma, oprócz życia”), mógł się podczas jego pogrzebu w gorące sierpniowe popołudnie rozleć po wrzuceniu obola do szafy grającej, w której się schował, lecz Jacques Brel, bo *Ne me quitte pas* do niego pasuje jakby suchą łzę uronił, albo jakby ptasznikom z psalmu „siłta się porwały”. Ostatnią wiadomość listowną wysłałem do niego 28 listopada 2021. I ona tu również na sam koniec pasuje: „Cześć Wojtek,

jesteś tam jeszcze? po tej drugiej stronie?
Strasznie długo nie mieliśmy kontaktu!
Do dupy się ten nasz świat zrobił.
Aż się nie chce wyjrzeć za okno.
To, że nie piszę, nie znaczy, że o Tobie
nie myślę. Co mówię, żebyś wiedział.
Trzymaj się! Oby Ci nie było źle!”.

Nienazywanie

W krainę łagodności – pozornej przynajmniej – przenosi uporządkowaną, pisana szeroką frazą poezja Anny Piwkowskiej zaprezentowana w zbiorze *tylko trzy drogi* (2000), piątym już w dorobku tej autorki przekonanej o tym, że „to nienazwane we mnie jest niezmienné”. To nienazwane zatem staje się centrum świata, skupiając wokół siebie obrazy składające się na mozaikę obserwacji i przeżyć. To poezja regularnego na ogół rytmu, przejrzystego widzenia, pogłębionej refleksji. To poezja raczej dnia, niż nocy – przez noc trzeba przepłynąć, by odnaleźć oparcie na brzegu jawy, noc jest tym, co następuje po wypełnieniu czasu życia („Po mnie już tylko noc krzycząca nocą”). Noc jest samotnością, śmiertelną przechadzką, jak ostatnia droga Ingeborg Bachmann opisana w wierszu otwierającym książkę Piwkowskiej (przywoła też poetka postaci Sylvii Plath, Haliny Poświatowskiej). Nie dziwi więc wyznanie z innego utworu:

Tak bardzo pragnę samotności [...]

Jeszcze tylko kostka cukru i własny

lęk przed śmiercią

rozwieja się jak dym

o siódmej godzinie

cytrynowych od słońca poranków.

Nie znaczy to jednak, że rozwiewa się bez śladu. Przeciwnie: dotknięcie

śmiercią naznaczyło te wiersze niezwykle silnie. „Śmierć jest rzeczą absurdalnie łatwą”, przeczytamy w kolejnym utworze. Śmierć pojawia się przypadkiem, dopełnia ludzkie życie mimochodem, jak w wierszu *Tren tamtego lata*. Jest jednak cały czas obecna, stanowi jeśli nie treść, to tło doświadczenia. Nie wykluczałbym, że ku niej odsyła ostatni wers wiersza o Don Juanie, w którym, po wyczeniu wszystkich kochanek bohatera, pojawia się wreszcie i ona – „bezimienna, z którą był najdłużej”. Owa bezimiennosc może być jednak także maską samotności:

Tak. Są telefony, żeby ludzie o sobie

nie zapomnieli.

Tylko możesz nie zdążyć podnieść

słuchawki,

kiedy akurat będę umierała.

Lecz jest też w tej poezji wyzwanie rzucone śmierci w jej wymiarze egzystencjalnym tylko: to przekraczająca horyzont doraźności perspektywa zmartwychwstania. W wierszu *Wielka Sobota* spotykający się przy krzyżu, „na przecięciu dwóch światów”, odchodzą odmienieni:

Chodźmy stąd tacy grzeszni, szczęśliwi, radośni,

nasze ciała są ciepłe, w lesie pachną

sosny,

zanoszą się skowronki szarą strugą

śmiechu.

Modlimy się by zostać, wytrwać

w naszym grzechu.

Dążenie do zrozumienia objawienia śmierci wpisane w wiersze Piwkowskiej – widoczne tu zarówno w cyklu kolęd wigilijnych, jak w wierszach wielkanocnych: trudnych, utrzymanych na granicy artystycznej wytrzymałości, jak to widać w *Inwokacji* – jest jednym z tych zadań, których podjęcie jest w poezji równie ryzykowne co fascynujące. Tym bardziej, że dopiero perspektywa śmierci określa rzeczywisty wymiar innego żywiołu tej liryki: miłości.

*

Po (2002), kolejny, szósty już tom Anny Piwkowskiej urzeka spowolnieniem czasu, zaskakującym wpisaniem wieczności w drobiny przemijania: „Cicho, raz za razem / na dworcowym zegarze wskazówka zegara / miarowo drgała, stała, potem przesuwiała / wieczność o jedną kreskę”. Tym bardziej to pociągające, iż mamy do czynienia z wierszem zdyscyplinowanym, zrytmizowanym, zdobnym wyrafinowanymi rymami i asonansami oraz wyszukаныmi przerzutniami. Kłasy czna miara buduje dystans wobec świata i wobec własnych przeżyć, zaś uwaga skierowana na detal wzmacnia smak egzystencji – przemijającej, lecz pełnej spełnień, zaspakajającej głód życia, jak w tytułowym utworze: „Spotkanie bosej stopy z ręką, / dotykasz po omacku, poznajesz po ciemku, / jak wtedy, coraz wyżej, do kolana, do / ciepłego biodra. Pauza i znowu jest po: / po chwili, po miłości, życiu z tobą, po- / [...] Zabierz mi świat cały / mówiłam. I co teraz gdy nagle jest po?”. Co teraz? Teraz wiersz, poetycka refleksja, powrót w słowie: erotyk na pożegnanie.

Niespodziewane spotkania, spięcia ludzkich losów, miłość nigdy nie spełniona, przypadkowość doraźnych przeżyć – wszystko to znajduje stały punkt odniesienia porządkujący pozorny chaos bytowania w paradoksie spinającym świętość i grzech, jak w przywoływanym już wierszu *Wielka Sobota*, w którym para kochanków spaceruje po lesie i zatrzymuje się w (zrujnowanej?) przestrzeni świątyni:

Kłękamy przed krzyżem.
Leży w kamiennej niszy więc spuszcza-
my niżej
oczy, aż do samego dna bólu, do
ramion
ukrzyżowanych wczoraj, jutro zmar-
twychwstałych.
Ten moment na przecięciu dwóch
światów jest stały,
pewny jak na dwóch dłoniach pie-
częcie dwóch znamion.
Chodźmy stąd tacy grzeszni, szczę-
śliwi, radośni,
nasze ciała są ciepłe, w lesie pachną
sosny,
zanoszą się skowronki szarą strugą
śmiechu.
Modlimy się by zostać, wytrwać
w naszym grzechu.

W tle doraźnych odczuć otwiera się przestrzeń historii – osobistej, rodzinnej, ale i wspólnej. Miara wiersza się zmienia, rytm załamuje – tak jest w najbardziej interesującym utworze jakim jest *Zazdrość*. Być może mamy tu do czynienia z zapowiedzią nowej poetyki Piwkowskiej, dopełnienia obszaru intymnej refleksji epickim oddechem. Ta zmysłowa opowieść łączy różne wymiary egzystencji,

osobisty i historyczny, podobnie jak się to dzieje w spostrzeżeniu wiersza *Rzeka Moskwa*, gdzie mowa o dziewczynie, która „właśnie odwróciła nie tylko głowę/ ale wręcz cały porządek świata”.

*

Z dawnych i nowych wierszy skonstruowała Piwowska zbiór *Niebieski sweter* (2004), w którym zanurza się w przestrzeń historii, odkrywając w niej nieco już zamglony obrazek: „Piękne charty przez park i zające przez gazon / i pałac, trochę jednak mniej wart niż życie / wywiezionych i zabitych o świecie / właścicieli”. Pojawia się Rosja: „czas się tutaj toczy jakimś innym trybem. / To tak jakby ktoś zaczął wigilijną rybę / obierać nie od łusek lecz z wnętrza, od ości”. Fascynacja Rosją jest zresztą widoczna w całym tomie, podobnie jak skłonność do poruszania się po obszarach kresowych: „Mój pradziadek ze strony matki, Maciej Krysztuł / hodował pszczoły na Kresach i kochał biel. / [...] Mój pradziadek ze strony ojca, Justyn Wiłun, / jeździł saniami do zdziwaczałego księcia Gasztołda / przez ciemne litewskie lasy i kochał wilki”. Kresowy rodowód jest w tej poezji wciąż ważnym doświadczeniem konstytuującym tożsamość jej lirycznego bohatera, jego otwartość na świat, ciekawość innych, ale też tragizm losu ukazany w wierszu *Trzy drogi do jeziora*, skondensowanym komentarzu do twórczości i śmierci Ingeborg Bachmann.

Klasycystyczna harmonia tych wierszy – jak w świetnie skomponowanej *Inwokacji* – skrywa dramat niespełnienia,

głodu, niepewności, lęku. Wszystko to wtopione w potoczystą narrację, w bieg życia, w którym dramat istnienia zdaje się niedostrzegalny:

Nieuzbrojonym okiem trudno do-
strzec
tak jak odkrytym sercem nie ocenisz
jak się kaleczą o kształty zbyt ostre
zglodniałe kropki rozszerzonych
żreń.
(*Petersburg 1998*)

Wiemy, że „niepewność jest naszym ulubionym prawem”, o czym czytamy w znakomicie skonstruowanym wierszu *Za oknem*. I właśnie owa niepewność otwiera w poezji Piwowskiej nowe przestrzenie kreacyjne, także te, które inspiruje oglądanie starych fotografii.

*

Tom *Farbiarka* (2009) nakazuje powtórkę z antycznej (a czasem i innych) mitologii (nie przypadkiem spotykają się wszak w zamykającym zbiór poemacie *Wieża Babel* trzy postaci: Dydona, Walkiria i Sakuntala). Ale warto też i sięgnąć do eseju Audena *Ręka farbiarza*. Odniesień zresztą jest więcej, a „klasycyzująca” forma również niesie w sobie odwołania do tradycji. Powrót do rymu i rytmu jest wyzwaniem coraz częściej podejmowanym w naszej poezji, jest też znakiem dla czytelnika: wchodzisz w obszar stylu wysokiego, mowy wtajemniczeń, języka tych, którzy wiedzą, że „mit to wieczność, / która wdziera się w czas”. Pozornie pogodna narracja w tym samym wierszu nagle odsłania mroczne obszary:

o zmierzchu nawoływania puchaczy i sadzę czerwone róże przy ganku, mam poczucie, że cała trójka nadal tu jest, choć przecież nie dotknę ich ręki, nie napiję się z nimi herbaty, nie dowiem się, co myślą o świecie, który zamienili na inny. Jedyne, co mogę zrobić, to utrwalić pamięć o nich, podzielić się nią z innymi. A że w moim przypadku niemal wszystko zaczyna się od Kazimierzy – stąd ta krótka o niej opowieść”. Zapewne właśnie, wywodłem z obu tekstów, tutaj narratorka wiersza znalazła przystań pozwalającą na zdystansowanie się od szumu i zgiełku codzienności:

W tej bogdańskiej arce jest czar, ale
nie wiem
czy jest to czar przymierza.

Bo do czego właściwie przymierzyc
nasze wspólne poranki przy kawie
z sikorkami jak barwne śmieszki
wariatki tańczące za oknem? [...] Samotni
furtanie strzeżemy tego
skrawka naszej ziemi
podnosząc kamyk, okrywając róże,
albo odpowiadając smutny poranny
obrzęd,
gdy spalamy małe ciało jeża, który
umarł w nocy
w miękkim pudełku w kuchni, tak
nieskończenie mały i samotny
bez ciepła matki i szurgotania ro-
dzeństwa.

W gruncie rzeczy następuje w wierszach Piwkowskiej rewitalizacja dworkowego mikroświata, co zresztą zdaje się potwierdzać delikatna archaizacja tych utworów nie tyle przez powrót do rytmu i rymu, ale przede wszystkim przez przywoływania – a tym samym próba

ich uwspółcześnienia – takich słów lub form jak „ochędóstwo” czy „zamknięta”, „obiecowała” lub zwrotów typu „nie masz nadzieje”, jak właśnie w otwierającym zbiór wierszu *Nie masz, nie masz nadzieje*, w którym uwaga „już śmierć spisuje / jak spiskowiec, szeptane przez ciebie imiona / jeszcze wczoraj” – przy czym owe „imiona” tyczą tyleż imion własnych, co samych wyrazów, które wyszły z użycia. Ożywa tu klimat ziemiańskiej egzystencji w oddaleniu od miejskiego zgiełku i doraźnych problemów. W „bogdańskiej arce”, której rekonstrukcją zdają się te wiersze, ocalona być pragnie kraina łagodności utracona w biegu czasu i towarzyszących mu przemian.

Można zaryzykować twierdzenie, że ta poezja – niemal od samych jej początków – jest swoistym manifestem spokojnego, otwartego konserwatyizmu zarówno w jego wymiarze artystycznym, jak społecznym, zwróconego ku głębokiej tradycji, kultywującego pamięć przeszłości, nieskorego do rewolucyjnych wizji czy szaleństw wyobraźni pozwalającej na ekscesy typu „but w butonierce”. Solidna dykcja tych wierszy, pełne, rozwinięte okresy, szeroka fraza, jasność, a nawet przejrzystość wywodu zdają się być wyrazem wiary w racjonalny porządek świata ugruntowany przez „przedustawną harmonię”, która usprawiedliwia wszelkie, nawet pozorne i doraźnie jedynie dojmujące zakłócenia ładu.

Interesujący w tym kontekście staje się opatrzony datą 24 lutego – 25 marca 2022 wiersz *Irpień* poprzedzony mottem z piosenki Karela Kryla, barda Praskiej Wiosny: „Pod czerwonymi jarzębinami / Miotłał się motyl między karabinami...”

(warto może przy okazji zauważyć, że czeski artysta pewnie nie bez powodu nawiązywał do znanej rosyjskiej piosenki o „jarzębinie czerwonej”):

To irpień Ireno, a może już sierpień,
październik kołysz drzewami,
i miota się motyl Ireno na sierpie
pomiędzy zimnymi ostrzami. [...]
Już nie bój się, czule swój smyczek
do skrzypiec
przytulaj, krwią białe nasiąkły spód-
nice,
to irpień Ireno, nie lipiec.

Irpień to ukraińskie miasto, o które po 24 lutego 2022 roku toczyły się zacięte walki w trakcie rosyjskiej inwazji i w którym, po wyzwoleniu, odkryto dowody zbrodni wojennych popełnionych przez Rosjan. Tutaj, nazwa pisana małą literą, staje się określeniem wyjątego z kalendarza „miesiąca” (miasto wyzwolono w końcu marca), czasu przekłętego, naznaczonego cierpieniem. Kraina łagodności tej poezji okazuje się jedynie pozorem, nie żyjemy w „najlepszym z możliwych światów”, w każdym razie nie żyją w nim „dzieci w Mariupolu”, które być może „nie modliły się dostatecznie żarliwie”, by uniknąć swego losu (***) (*Ile razy w życiu...*). I nie dziwi refleksja partnera narratorki:

Nasze śródziemnomorza to tylko
piękne intermezza
między piekłem a piekłem, powie-
działeś wczoraj,
gdy piliśmy kawę w szemrzącym ulu
miasta.

Ale właśnie owe „śródziemnomorza”, by przypomnieć słowa wiersza

Jerzego Zagórskiego: „Przyda się zawsze łaćńska kotwica, / By z myśli huśtającej się jak obłok / Uczynić okręt utwierdzonej w świecie” – stają się szansą na kultywowanie dwóch przenikających się wzajem przestrzeni ludzkiej egzystencji – piękna i miłości, lecz i tutaj skazani jesteśmy, dryfując w „bogdańskiej arce”, na dramat nieustannego wyboru, jak w *Próbie miłości*:

Oddać malarstwo włoskie i całe
życie patrzeć na piękne,
ale jakże w końcu w swoich Verme-
erowskich błękitach
[...] malarstwo holenderskie. [...]
Tak, pokochać to wybrać. Jakże niszc-
zący paradoks, trujące
jagody, krzyk mewy zranionej tą
strzelbą, którą zawsze
ktoś nieproszony zdejmie niechcący
ze ściany w trzecim akcie.

Może więc jednak, mimo wszystko, działa „przedustawna harmonia”, w której monady wierszy łączą wszelkie paradoksy i jakoś je poza czy ponad czasem rozwiązują? I może wyjściem jest – przynajmniej w sztuce, w poezji – wydostanie się z pułapki doraźności przy jednoczesnym respektowaniu przemijających detali egzystencji.

Leszek Szaruga

Anna Piwkowska, *Furtianie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2022

Znaki szczególne istnienia

Piotr Szewc jako prozaik i poeta zafascynowany jest przeszłością, upływającym czasem, a ściślej ich odbiciem w pamięci. A więc „pamiątkami” czasu, które mnożą się poprzez szczególne znaki istnienia, wywoływane z pamięci właśnie. Psychologia zapamiętywania rzeczy i zdarzeń to tajemniczy proces, uzależniony z pewnością od uważności i wrażliwości, od empatii zapamiętującej osoby. Autor zamojskiej trylogii powieściowej, zapoczątkowanej *Zagładą* (1987), kilku zbiorów wierszy, w tym: *Całkiem prywatnie* (2006), *Moje zdanie* (2009), *Cienka szyba* (2014), *Światelko* (2017), *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019) i *Po nitce* (2021), a także tomu rozmów z Julianem Strykowskiem – *Ocalony na Wschodzie* (1991) – od początku utrwała w swojej twórczości te znaki istnienia, które odgrywały i odgrywają ważną rolę w jego życiu. Utrwała także te fakty realne i psychiczne, które czytelnikom mogą wydawać się niewarte uwagi, a i autor nie zawsze rozumie sens ich przypominania. I sam nie wie, dlaczego zapamiętuje właśnie to, a nie coś innego i dlaczego przypomina mu się to akurat w tym, a nie w innym momencie. Bo takiej wiedzy nikt nie ma.

Tytułowy wiersz najnowszego zbioru przynosi niezwykle precyzyjny opis wydarzenia z przeszłości. Chociaż autor mówi na początku – „Nie pamiętam który to był rok ani miesiąc” – wymienia potem szczegóły pejzażu z podróży rowerem do kuzynki Winusi, do której

wysłała go babcia. Choć sprawy, w której tam jechał, też nie pamięta, opisuje dokładnie przebytą wtedy drogę, kończąc ten opis przejmującą konkluzją: „droga prowadziła na małe / wzniesienie tam zatrzymałem rower w oczach / uwięzły mi kwitnące maki rozgrzane powietrze / podnosiło dachy Zamościa a po prawej stronie / pośród zagonów jak barwinek położyła się / Kornelówka słowa koniec i początek rozumiałem / nie tak samo jak dzisiaj zajmował mnie kamyk / promyk kształt liścia wtedy one szukały dla siebie / miejsca”. Uczuciowość poety, ukształtowana w dzieciństwie, owocuje w tej książce wypowiedzią, określającą w zaskakujący sposób mechanizm jego twórczych spełnień.

Właściwie wszystkie książki Piotra Szewca ujawniają ten związek z jego własnym „miejscem na ziemi”, gdyż – tak jak w poprzednich powieściach i zbiorach wierszy – powracają tu nazwy miejscowości i zakątków otaczających Zamość, ze wsią Czołki, gdzie mieszkali jego przywoływani często dziadkowie. Powracają także imiona i nazwiska innych bliskich mu osób z kręgu rodziny i sąsiadów, a także nazwy zwierząt, roślin i przedmiotów gospodarskich, które akurat objawia mu pamięć. Andrzej Zawada w nocie na okładce tej książki mówi: „Piotr Szewc [...] rozumie literaturę jako medium minionych pokoleń”. A Piotr Śliwiński, rekomendując zbiór *Moje zdanie*, przypomina: „Szewc jako prozaik i tak był poetą oraz jako poeta nie przestał być prozaikiem. Granicę między opowiadaniem a medytacją uważał zawsze za pozbawioną większego znaczenia i przekraczał ją w obie strony bez pytania

o pozwolenie". Utwory prozą Piotra Szewca pisane są, jak widzę to ja, w formie realistycznych oznajmień z nutą lirycznej fantastyki, co nadaje im często charakter literackiej magii. A w poezji dokonuje Szewc innego magicznego zabiegu: nawija mianowicie nitkę wspomnień na twardy rdzeń teraźniejszości, by stworzyć swoisty kolaż obrazów, utrzymanych w nostalgicznym nastroju w stosunku do dzisiejszego tu i teraz.

Kiedy pisałam po raz pierwszy o Piotrze Szewcu w miesięczniku „Przeгляд Powszechny” (9/1987), recenzując *Zagładę*, zatytułowałam recenzję *Ocalająca czułość spojrzenia*. Uważam, że tamta formuła idealnie określa styl i perspektywę poznawczą całej jego twórczości. W *Zagładzie* autor zastosował trik narracyjny w postaci aparatu fotograficznego, utrwalającego obrazy toczącej się w książce akcji. – „Kim jest narrator *Zagłady*? – pytałam w tamtej recenzji. – To »my«, zaimek oznaczający nieokreśloną, choć integralną zbiorowość. My, czyli – ja, ty, każdy z nas. Tym stylistycznym gestem autor upoważnia czytelnika do współuczestnictwa w tworzeniu Księgi Dnia. Upoważnia i oblijuje. Od pierwszego zdania – »Jesteśmy na Listopadowej« – czyni czytającego odpowiedzialnym za wymiar kreowanej rzeczywistości. Wizja autorska odwołuje się do naszej wyobraźni, wrażliwości, pamięci, ewokuje dodatkowe indywidualne obrazy, sugerując tym samym istnienie nieskończenie wielu osobnych czytelniczych perspektyw [...]. Leniwa zmysłowość stylu, atmosfera z pogranicza jawy i snu, równoczesność czasu akcji i czasu marzenia uwydatniają ów niepokój, ową udrękę

ontologiczną, wynikającą z nieoczywistości wszelkiej oczywistości. Piotr Szewc przypomina nam istnienie tej bariery, która wyrasta między realnym światem i naszym jego dotykaniem, między tym, czego doświadczamy bezpośrednio, a całą nieodgadnioną, wymykającą się kontroli zmysłów i świadomości, resztą mimowolnego, nieobliczalnego wokół dziania się”.

Przypominam fragment tamtej recenzji, bo uwypukliłam w niej wszystko to, co dla Piotra Szewca ma wymiar materialnego, zmysłowego, ale też metafizycznego porządku istnienia. W jego wierszach ów porządek jest celebrowany z podobną skrupulatnością i czułością. Oko aparatu fotograficznego zastąpione zostało w poezji uważnym spojrzeniem autora, które sukcesywnie ocala elementy i epizody przeszłego życia. Tutaj pojawia się czułość po prostu miłosna. To pamięć gwarantuje poecie trwające wciąż wzruszenie, związane z przeszłym zachwytem, olśnieniem, smutkiem czy rozbawieniem. Ostatni wiersz tego zbioru nosi tytuł *Kuferek* i jest nie tyle opisem konkretnego przedmiotu, ile symbolicznym obrazem uważnej i skrzętnej, niejako gospodarskiej pamięci. I jak w prawdziwym gospodarstwie:

Niby mieści wszystko a jednak
pełno w nim niczego porzucone
wiersze zaniechane sprawy sny
bez zakończenia [...]
kuferek mój osobisty rośnie ze mną
i obumiera ani go zgubić ani zostawić.

A chociaż – tak jak w poprzedzającym ten utwór wierszu *Lawa* – „To co przepływa we mnie i wokół mnie / zastyga tak

powoli że prawie nie zauważam / zmiany jeszcze się sączą urwane strużki słów” – w świecie poezji Piotra Szewca toczy się wszystko ze spontaniczną i zarazem wyrefinowaną zmiennością. Dla poety każda chwila istnienia jest ważna i swoje „miejsce” znajduje w niej wszystko, co pojawi się jako treść jego wspomnień, marzeń czy snów. Można by cytować każdy właściwie wiersz, bo wszędzie zjawia się jakiś szczegół, który emocjonalną intensywnością pobudza wyobraźnię czytelnika do twórczego wysiłku, żeby zagłębić się w pełen niespodzianek tygiel wspomnień poety. Jednym z przykładów jego lirycznej fantastyki jest wiersz *Bajka wieczorna*: „Kot złapał w pazurki motek światła i cichcem zaniósł go na strych / tam nietoperz niemowa pod belką rozkłada skrzydła tylko patrzeć a obejmie nimi więź kościoła / z ciemnych ogrodów wyleciała eskadra chrząszczy zaraz zrzucać na przedmieście ładunek złych snów / krowom nabrzmiały wymiona i jak co wieczór przybiegły głodne psy aby zlizać z nich mleko / skrzaty i stwory bez nazwy wyszły z kryjówek lepiej nie spotkać się z nimi oko w oko”.

Mistrzów swojego pisarstwa ujawnia Piotr Szewc z rzadka i bardzo dyskretnie, przeważnie w tytułach wierszy. Jest więc krótka proza poetycka pod tytułem *Do Juliana Strykowskiego*, jest wiersz *Kocucik Czechowicza* i *Przydomowy leśmian*, a także krótki liryk opatrzony tajemniczym tytułem *TR*, z którego treści możemy się zorientować, że chodzi w nim o Tadeusza Różewicza. Poeta przywołuje też – mimochodem – ulubionych malarzy – Gielniaka i Beksińskiego, i filozofa Spinozę w prowincjonalnym wydaniu.

A wszystko to w otocze miłosnej pasji poety, z jaką patrzy on na świat. Można powiedzieć, że Piotr Szewc pozostawia nam, czytelnikom, szczególny testament miłości, ocalając od zapomnienia nie tylko bohaterów własnych wspomnień, lecz przede wszystkim własne poczucie więzi z nimi. Jego wiersze, skupione na bliskich mu znakach istnienia, otwierają nas na przestrzeń niemalże kosmiczną, bo każdy znajdzie tu przecież jakąś znajomą drogę, która prowadzi do miejsc zapamiętanych i nadal kochanych. Poeta ma też ciekawą umiejętność pisania zagadkowym szyfrem składniowym, gdyż nie używa znaków przestankowych, przez co odczytywanie sensu kolejnych zdań staje się niekiedy dość trudne. Ale wysiłek czytelniczy opłaca się, bo odszyfrowywana treść wiersza, składając się w całość, zawsze budzi radość i uspokojenie. Taki to już (przekorny nieco!) sztukmistrz z Piotra Szewca.

Adriana Szymańska

Piotr Szewc, *Miejsce*, Seria Mozaikowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

Wielokrotne życie poety

Artur Szlosarek na swoją dziesiątą książkę poetycką kazał czytelnikom czekać aż dziesięć lat. Jednak na często przywoływane i parafrazowane pytanie Norwida: „Jestże się poetą, czyli raczej tylko bywa się?” – zdaje się odpowiadać jednoznacznie, że się nim jest, nawet jeśli akurat nic się nie pisze ani – tym bardziej – po

prostu nie publikuje. Najnowszy tomik Szlosarka jest niewielki rozmiarem, ale gęsty od różnorodnych treści, co więcej – autor dokonuje w nim swoistej manipulacji, nie wiem, czy do końca uprawnionej, wpisującej się jednak w szlosarkowe pojmowanie poezji i bycia poetą. W pierwszej części, zatytułowanej po prostu *Celan*, zamieszcza swoje przekłady tegoż, nie informując natomiast nigdzie, że są to przekłady, a nie autorskie wiersze. Gdzie indziej nawiązuje jeszcze do swoich przekładów Celana i Kafki, a także zamieszcza swoiste *credo* tłumacza w prozie poetyckiej *Translatorium*, gdzie pisze między innymi: „Tłumaczenie poezji, którego podejmuje się poeta, jest w głównej mierze poszukiwaniem przez niego wersji nienapisanych wierszy własnych”. Sądzę, że można pociągnąć dalej tę myśl i stwierdzić, że według Szlosarka bycie poetą to nieustające poszukiwanie własnych wierszy, zarówno tych, które się ostatecznie napisze, jak i takich, które się jedynie przeczuje, muśnię myślą czy słowem (uczynkiem lub zaniedbaniem). Szlosarek, mam wrażenie, chodzi po świecie i prowadzi nieustający, nie monolog, ale właśnie dialog wewnętrzny, z innymi poetami (a także innymi twórcami), z kodami kulturowymi, z samym sobą, a także swoimi bliźnimi, w tym także potencjalnymi czytelnikami. *Wagary w czyścću* to mały wycinek owego dialogu, zapisany, wydany i uzewnętrzony. I w tym kontekście przekłady cudzych wierszy jak najbardziej stają się własne, bo wpisują się w ów dialog.

Jeśli z tej pierwszej celanowskiej części wynieść „rozgryziony grosik wieczności”, „krótkie błazeńskie kazanie ciszy”

(„na śladzie wypełnionym deszczem”) oraz dwa znamienne „usłyszenia”: „Słyszysz, jak zacina deszczem, / A sądzisz, że i tym razem / maczał tu palce Bóg” oraz „słyszę, że to życie nazywają / jedynym schronieniem”, można gładko przedostać się do części drugiej, zatytułowanej *Wagary*. Te wagary to ucieczka zarówno od życia, jak i w życie właśnie, rozumiane jako życie doczesne i życie wieczne, a także życie wewnętrzne, w którym można próbować zaznać jednego i drugiego. Ucieczka w sens lub bezsens. W nadzieję albo rozpacz. Nie wszystko jest tu jasne, spójne i sensowne, ale rozmowa trwa, czasem jest bluźnierstwem, czasem spowiedzią, należy natomiast pamiętać, że „wolno liczyć jedynie na takie zdanie, które wymusza życie. Sens ma bowiem wyłącznie to, co pozwala się z powodzeniem przytoczyć; to, co dzięki powtórzeniom, jest nieobliczalne, niekontrolowane, wielokrotne” (*Diabeł to poeta*). Wagary też są takie, natomiast:

Są dwie szkoły: wedle jednej
Na wszystko jest czas
I w każdej chwili może nastąpić
Nowe otwarcie, rozdanie.

Według przeciwnej strony myślenia
Na wszystko jest za późno
I w każdej sekundzie zostaje
Wydany niespodziewany wyrok.

(*Buty, szkoły*)

A czasem bywa i tak, że „Moja nadzieja jest twoją / Udręką” (*Mówię (po raz drugi)*). Nadzieją i udręką może być także tytułowa idea trzeciej i ostatniej części tego tomiku: *YOLO*, młodzieżowy skrót od wyrażenia „*you only live once*”, czyli

„żyje się tylko raz”, współczesna wersja klasycznego *carpe diem*, która z założenia ma być zachętą do upojnego korzystania z doczesności, ale może przerozdzić się również w boleśniejszą i bardziej refleksyjną konstatację. Trzon tej części stanowi poemat złożony z pięciu pieśni, ogarniających pięć żywiołów: ogień, powietrze, ziemię, wodę i eter. Są to swoiste migawki z podróży poety, tych rzeczywistych, samochodem po Europie, jak i tych wewnętrznych, literackich, sięgających antycznej Grecji i mitologii. A w pieśni piątej, tej spod znaku eteru, Szlosarek wypowiada swoją naczelną myśl: „Bo tyle życia, ile wiersza”, i dodaje jeszcze: „[...] materiały / Dowodowe w procesie o najwyższy ład / Nie całkiem przeciekły przez palce, / Kiedy wierszy było więcej niż życia”.

Goethe powiedział gdzieś (parafrazuję), że tyle razy jest się człowiekiem, ile zna się języków, Szlosarek zdaje się mówić, że tyle razy żyjemy, ile prowadzimy poetyckich rozmów, wymian, a nawet zawłaszczzeń. W *Pieśni pierwszej – ogień* wyznaje niewymienionemu z imienia Przyjacielowi: „Nie potrafię policzyć na palcach / Ile to już było nocy temu, lecz spieszę / Wyznać: uważne i głośne czytanie / Twoich wynurzeń wprawia w lepszy nastrój”. Czytanie (i pisanie) wierszy nie tylko jednak poprawia nastrój, ale pozwala także przechytrzyć YOLO, ba! przebić nawet YOLT Jamesa Bonda, u którego, jak wiadomo, żyje się tylko dwa razy (*twice*), dzięki poetyckiemu dialogowaniu można żyć wielokrotnie, choćby i wiecznie, a z czyścica doczesności swobodnie wyrwać się na wagary do

piekieł albo rajów, albo w całkiem inny eteryczny wymiar istnienia.

Katarzyna Bieńkowska

Artur Szlosarek, *Wagary w czyścicu*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022

Fantomy mewają ciężar

Przeglądając ostatnią poetycką książkę Grzegorza Wróblewskiego *Letnie rytuały* (2022), zastanawiałem się nad tym, czy znajomość biografii autora pomaga czytelnikowi wejść w jego świat rozpisany na strofy? A co zrobić z odautorskim komentarzem, który w formie posłowania zamyka *Letnie rytuały*? Stanowi rodzaj wypowiedzi o wadze nieco innej niż zgromadzone w książce wiersze, to prawda, ale jednak ma poetycki potencjał. Odpowiedzi na postawione pytania nie mogą być jednoznaczne.

Wiersz tytułowy to rodzaj papierka lakmusowego, dzięki któremu czytelnik orientuje się w składzie „chemicznym” wszystkich zgromadzonych tekstów. Na pewno dominuje w nich dziwność utkana z elementów codzienności i ludzkich fantazji, które przybierają różne postaci – zwierzęcia (gekon, puchacz, żaba, mucha), przedmioty (nożyk, bumerang), zjawiska (wschody i zachody słońca, tęcza), rzadziej rośliny (róza, lilia, drzewo). Tak również jest w omawianym utworze, w którym postać trolla, jednego z emblematów kultury nordyckiej, występuje w poetyckim świecie na równych

prawach, co „puszka tuńczyka” i duńska miejscowość Gribskov. Granica między tym, co realne, a różnymi postaciami nierealności w zasadzie nie istnieje. Czytelnik niekoniecznie musi odczuwać jej brak; to znaczy płynne przemieszczanie się poety między znakami o różnym ontologicznym statusie zdaje się być sposobem „ujarzmiania” tajemnicy ludzkiego życia i próbą zrozumienia świata. Nie ma zatem różnicy między „badaniem” bukowego lasu a „polowaniem” na trolle, obie czynności związane – kolejno – z realną rośliną i z nierealną postacią współtworzą w wierszu *Letnie rytuały* poetycką rzeczywistość. Nie bardzo wiem, czy „bukowi”, „trollowi”, „puszce tuńczyka” przypisane zostały jakieś symboliczne sensy, a nawet jeśli, to i tak – moim zdaniem – niczego w planie interpretacyjnym wiersza nie zmieniają.

Otóż dziwność, być może wyraźniejsza z przetworzonej surrealistycznej materii, ma w wypadku tego i pozostałych tekstów tę właściwość, że nie narzuca się naszej wyobraźni, choć ją uwodzi. Po prostu jest czymś „naturalnym” i zintegrowanym z życiem człowieka „przeciętnego”. Ująłem ostatni wyraz w cudzysłów po to, by zasygnalizować autorskie ujęcie przeciętności, która w wypadku omawianych wierszy nie nabiera charakteru pejoratywnego. Banalność codzienności i przeciętność człowieka, także „ja” lirycznego, funkcjonuje w pełnej symbiozie z tym, co się powszechnie uznaje za nie-przeciętne, nie-zwykłe, co nie znaczy, że za każdym razem autor odsyła do jakiegoś zjawiska nierzeczywistego. To dzieje się sporadycznie. Na przykład w bardzo udanym wierszu *Jedna z pań*

końcowa strofa została zamknięta zaskakującą sceną rodzajową, w której autor pewną rolę przypisał ptakom:

Ich miejsce zajmują małomówni
mężczyźni z lasu.
Rozpalają ogień i częstują się tyto-
niem. Patrząc w
rozgwieżdżone niebo, nacinają lesz-
czynowe
laski. Wokół nich siedzą oswojone
czarne ptaki.

Nie wiadomo, czy te zwierzęta są „regularnymi” ptakami, dajmy na to wronami, czy też ze względu na brak sprecyzowanej taksonomii równie dobrze mogą być istotami nierealnymi. Podobnie dzieje się ze „zwykłymi” na pozór bohaterami lirycznymi omawianego wiersza, a więc panią, dzieckiem z wypłowiałymi włosami czy małomównymi mężczyznami. Wszystkie wymienione elementy tworzą estetyczny układ, dający się przenieść na płótno. Sądzę, że duża część pomieszczonych w *Letnich rytuałach* tekstów ma cechy obrazu, w którym kwestie plastyczne odgrywają, jeśli nie kluczową, to na pewno ważną, sensotwórczą rolę. Są niczym haiku, a zatem błyskiem obrazu, który wywołuje w czytelniku określone wrażenie, bowiem ukazuje się w jego wyobraźni w całej swej zagadkowej pełni niemal od razu. Tak jest na przykład w wierszu *My i gwiazdy*:

Obserwowałem siebie patrzącego
w gwiazdy.
(Czy ktoś jeszcze nas widział?)

Użyta liczba mnoga w pierwszym momencie zaskakuje, gdyż występuje tylko podmiot mówiący, ale przecież

jego „rozdwojenie” uzasadnia taki właśnie poetycki chwyt.

Z innym jeszcze surrealistycznym obrazem mamy do czynienia w tekście *Ważna wiadomość*, który należy zaliczyć do licznej grupy tekstów „śmiercionośnych”. Jego centralnym elementem jest przypadkowe („Przechadzałem się po lesie”) spotkanie mówiącego ze zmarłym przyjacielem. Scena powtarza się także we śnie: „Tamtej nocy zobaczyłem go znów. / Śniło mi się, że byliśmy w tym samym / lesie”. Ze względu na wykreowaną za pomocą prostych środków zwyczajność sceny „fantastycznej” obcowanie żywego z umarłym nie zaskakuje. Co prawda oniryczna sceneria finału wiersza wprowadza nieco poznawczego zamieszania u czytelnika, który może mieć wątpliwości co do realności prezentowanego w dwóch pierwszych strofach świata, ale przejście między obiema rzeczywistościami – czuwania i sennego marzenia – zostało wyraźnie złagodzone. Poeta daje nam do zrozumienia, że poruszamy się każdego dnia w kilku wymiarach, a obecność tego wszystkiego, co w powszechnym odruchu wrzuca się do worka z napisem NIEREALNOŚĆ, nie ma w żadnym wypadku charakteru dziecięcego bajania czy widzeń obłąkanego umysłu. Po prostu istnieje w takim samym sensie, jak tytułowe owoce z wiersza *Mandarynki*:

Skurczone ze strachu schroniły się
w koszyku pełnym pustych butelek.
Jestem panem ich krótkiego życia.

Tematyka śmierci pojawia się w wielu omawianych wierszach (tak jak u znakomitego Irlandczyka Seamusa Heaney’a), w których autor prezentuje różne

sposoby mówienia o niej. Niekiedy jest to scena z pogranicza jawy i snu (*Ważna wiadomość*), ale najczęściej poeta wybiera ujęcia zmysłowo konkretne, a nawet mające pewien walor naturalistyczny, jak w tekście *Wierni przyjaciele*:

[...] Umierając zostawił w spadku
swe ciało.
Był potężnym chłopem. Starczyło go
na wiele miesięcy

Obrazów śmierci spodziewanej (*Skończoność światła*, *Sonda Juice*) czy też przybierającej postać numerycznego połączenia (*Assistens Kirkegård*) w omawianej książce czytelnik znajdzie niemało. Nietrwałość ludzkiego życia i powolny rozpad materii wydają się być ważnym tematem wierszy. Poeta traktuje sprawy ostateczne bezpretensjonalnie i bezpośrednio. Nie epatuje grozą tego, co niesie z sobą nieistnienie: „Niedługo dołączę do tych, którym się nie udało”. Tak wyrażoną rezygnację chciałoby się nazwać pogodną, ale szerszy kontekst utworu nie pozwala na tak daleko idące uogólnienie.

Na inną jeszcze kwestię, którą wcześniej tylko zasygnalizowałem, warto zwrócić uwagę przy okazji lektury książki *Letnie rytuały*. Otóż część wierszy osadzona jest w aurze spotkań człowieka i zwierzęcia: muchy (*Nasze latające obiekty*), małpy (*Testy na małpach*), motyla (*Za dużo mówisz mi o aniołach*), mrówki (*Zenit*)... Poeta nie odbiera faunie funkcji biologicznej, nie redukuje jej do poręcznego i uświęconego tradycją symbolu. Sądzę, że idzie tropem posthumanistów, jak choćby Donny Haraway (tu wspomnieć warto jej ostatnią, arcyciekawą

egzystencji ma charakter tylko chwilowej „przypadłości” i stanowi efekt głębszego procesu, który związany jest z naszym rozdzieleniem, pojmowanym w duchu Kartezjańskim. Nad nim nie potrafimy zapanować. Cieleśno-duchowa schizofrenia mija wraz z naszym nieistnieniem, wieńczącym mozolny i nieefektywny proces realizowania planów trudnych do zrealizowania (*Kiedy nagle odczuwamy piękno ziemi*). Jak poeta napisał w wierszu *Północny szlak*: „Natura ciągle nas uświadamia” o tym, że nasze odczucia, myśli i emocje dość szybko rozpadają się lub w najlepszym razie trwają zapisane w jakimś miejscu – w małej miejscowości na północy Europy, w Meksyku, na Mokotowie w Warszawie. I to chyba w całym tym pulsującym ludzkimi cząsteczkami kosmosie wydaje się być stałe, a w konsekwencji chroni nas przed szaleństwem.

Najnowsza, „przeglądowa” książka Grzegorza Wróblewskiego warta jest polecenia jako poezja niełatwa, ale sprawiająca intelektualną przyjemność. Zawiera bowiem, poza tym, co dotychczas napisałem, także wiele znaków przeszłości i drażniącej współczesności, w której kreacja medialna w zaskakujący sposób staje się częścią rzeczywistości, choć tak naprawdę ma wszelkie walory złudzenia. Surrealistyczne obrazy rozpisane na kilka dziesiątków wierszy nie epatują dziwnością acz uwodzą wyobraźnię. Mają co prawda naturę fantomu, ale zarazem podlegają prawu ciężenia typowego dla lektury uważnej.

Maciej Wróblewski

Grzegorz Wróblewski, *Letnie rytuały. Wybór wierszy (1980–2020)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

Ponowienie natreszczenia

Dziesięć lat po pierwszym wydaniu *Tajny dziennik* ukazują się ponownie, u innego wydawcy – troszczącego się od dekad o spuściznę po Mironie – w dwóch tomach zachowujących autorski podział części. W tej chwili otrzymujemy *Dokładane treści*. A ponieważ między oboma wydaniem nie występują żadne różnice w treści ani opracowaniu, poszukajmy praktyczno-estetycznych uzasadnień i korzyści z nowej edycji. Znakowski *Tajny dziennik* dość szybko zaczął mi gubić kartki; nadto jest wydrukowany dość małą i bladawą czcionką a w wielkim formacie (niezbyt wygodnym do „zwykłego” czytania, trzymania w rękach) – po prostu męczy wzrok. Edycja PIW-owska przeciwnie, jest dobrze szyta, wytrzymała (już zdołałem przetestować), format jest poręczny, czcionka duża i wyraźna. Dorzucmy argument estetyczny: ładnie wygląda na półce biała seria *Utworów zebranych* z kolejnym tomem. Jedna rzecz wypada na korzyść edycji Znakowskiej, mianowicie umieszczenie przypisów na dole strony, choć w wypadku stałego PIW-owskiego formatu całej serii było to po prostu niemożliwe.

Niemal od razu po publikacji *Tajny dziennik* płynnie zintegrował się – złą się? – z całością dotychczasowego dzieła Białoszewskiego, a szczególnie jego prozy. Potwierdził jej status „superdziennika”, w którym poszczególne teksty czy fragmenty stanowią jakby wyimki z jednej wielkiej diaryistycznej całości.

Lapidarnie ujął to Tadeusz Sobolewski w „MiroForze” (w eseju *Pisarz pism nie św.*): „Wszystko, co Miron Białoszewski napisał od czasu *Było i było* – wydanego w 1965 roku tomiku wierszy przechodzących w prozę – ma charakter dziennika. Teksty te, łącznie z *Tajnym dziennikiem* i *Listami do Eumenid*, tworzą jeden rozgałęziony ciąg”. „Tajniak” po prostu „dołożył treści”. Natychmiast został włączony do badań, cytowany, traktowany jako źródło wiedzy biograficznej – nie tylko o samym Białoszewskim zresztą – albo jako „potwierdzacz” tego, co w innych miejscach wydawało się ledwo zarysowane czy muśnięte (i „muźnięte”). Organicznie wszedł do białoszewskologii i mironofilii – konsekwencją jednak było nieopisywanie go jako odrębnego i samoistnego tekstu.

W odpowiedzi na to rozpoznanie II Spotkania Mironologiczne w Warszawie w 2019 roku zostały poświęcone właśnie samemu *Tajnemu dziennikowi*, następnie zaś stanął on w centrum głównego bloku tematycznego drugiego tomu „MiroFora” (pod red. Macieja Byliniaka, Agnieszki Karpowicz i moją, 2021). W kilku wypadkach publikacja zresztą odbiega od pierwotnego zestawu wystąpień – Joanna Orska na konferencji porównywała *Tajny dziennik* z *Chamowem*, mówiąc o tym drugim utworze jako o „imperatywie”, w „MiroForze” zaś zamieściła tekst o zbieżnościach w awangardowym myśleniu między Białoszewskim a Johnem Cagem. Ja z kolei wygłosiłem na konferencji referat zestawiający dwie wersje relacji o pobycie w Ameryce, jedną obrobioną i podcenzurowaną do druku (AAAmeryka), drugą *in crudo* i w zasadzie

in flagranti w „Tajniaku”; ukazał się on jednak po angielsku w 2020 w międzynarodowym czasopiśmie „Pl.It” i jak dotąd nie jest dostępny po polsku. W tekstach z „MiroFora” można szukać dalszych cennych rozpoznań na temat *Tajnego dziennika* jako głównego przedmiotu badań, nie zaś po prostu części „superdziennika”, choć oba podejścia są cenne. Agnieszka Karpowicz we wprowadzeniu *Autobiograficzne szlaki, ścieżki, tropy i ślady* podkreśla obecność polityki i swoistą polityczność Białoszewskiego, zmytyzowanego w potocznym obrazie i nawet badaniach jako ten, który o polityce w ogóle się nie wypowiadał (także i ja w 2012, w chwilę po publikacji edycji Znakowskiej zwracałem uwagę tu, na łamach „Kwartalnika”, na owe „dołożone treści” polityczne). „Nieuchronnie prowadzi to do pytań o możliwość przeformułowania myślenia o (nie)zaangażowaniu autora czy społeczno-politycznym wymiarze tej twórczości, wpisywanej dziś również w kontestacyjny, a więc polityczny (we współczesnym, szerokim rozumieniu tego terminu), »egoistyczny« nurt kultury polskiej” – pisała Karpowicz. Ta sama badaczka w tekście *Ekstraspekcje. Dwie autobiografie „lizbońskie”* zestawiała „Tajniaka” z *Chamowem*, ale też wskazywała na *Dziennik we dwoje* Jadwigi Stańczakowej, którego Białoszewski był współautorem (temu dziennikowi zaś osobny tekst w tomie poświęciła córka Stańczakowej, Anna Sobolewska). Ważne odczytanie i koncept zaproponował Adam Poprawa w szkicu *Dziemiętnik*, gdzie wskazywał na obecność powstania w *Tajnym dzienniku*, a zarazem żywiołu dziennikowego w brulionach *Pamiętnika z powstania*

warszawskiego (w jednym z poprzednich numerów „Kwartalnika”, w bloku tematycznym na stulecie pisarza pod moją redakcją, pokazaliśmy skany pięciu kart tych brulionów). „Diariotropizm”, jak błyskotliwie powiada Poprawa, jest stałą cechą pisarstwa Białoszewskiego (tj. to, co wyżej mówiłem o „superdzienniku”), ale jest tu i biegun „pamiętnikowy” (memuarotropiczny? jeśli mogę zażartować), przy czym nie jest tak, że pierwszy odpowiada „ja” i intymistycie, a drugi kieruje się ku „my”: „Rzykowna jednak byłaby teza, w myśl której pojedynczej egzystencji pisarza odpowiadałby dziennik, przedstawianiu zaś najbliższego środowiska – pamiętnik. Interakcje, związki, napięcia, konflikty, oscylacje – jakkolwiek rzecz nazwać – stanowią również relacje łączenia”.

Trudno się dziwić zarówno temu, że i badacze, i czytelnicy, i inni użytkownicy „Tajniaka” oscylują wokół dwóch – pozornie sprzecznych – tendencji, to znaczy że biorą dziennik jako „przedłużenie i pogłębienie” twórczości znanej wcześniej, a zarazem najczęściej koncentrują się na wyimkach, fragmentach, wątkach tego tekstu, nie jego „wydłużonym trwaniu”, jego działaniu *longiem*, by tak rzec. *Tajny dziennik* zaczyna się *in medias res*. Ktoś do pisarza przychodzi. Tak zaczynały się i inne utwory prozą, a także wiersze („przyszła Nanka / poszła Nanka...”, wiersz o znaczącym tytule z *dziennika*, jeszcze z *Mylnych wzruszeń*, a więc nim na dobre Białoszewski sproził poezję). Tyle że ten początek powstał poprzez brak pierwszych czterdziestu pięciu stron. Nie wiadomo, czy świadomie je pisarz zniszczył, czy przypadkiem zgubił,

ale brak ten był mu wiadomy, na brulionie napisał „nie istnieją strony 1–45”. To nie wyjaśnia zagadki zagubienia/zniszczenia (lub mistyfikacji), niemniej pisarz był świadom, że dziennik w ewentualnej publikacji rozpocznie się „Jot został wpuszczony”. Można tedy popofolgować fantazji i wyobrazić sobie, jak taki początek dziennika wyglądał: czy zaczynał się od uzasadnienia, czemu chcę prowadzić te notatki, definicji gatunkowych, formuł metaliterackich? Czy na przykład zaczynał się „Nie zostałem wpuszczony do Le.” – albo „Jot nie został wpuszczony”, albo „Pukał Le., ale nie wpuściłem”. Albo „Dziś było niesłonecznie, nie za bardzo ciepło”. Albo „Dziś słońce, ale i wiatr”. Przypomijmy sobie otwarcie *Pamiętnika*: może po to, by nie wyjść od teorii, gatunków, autodefinicji, ale osadzić od razu w czasie i to od strony cywilnej, czyli meteorologicznej, zaczyna się on „1 sierpnia we wtorek 1944 roku było niesłonecznie, mokro, nie było za bardzo ciepło”. Wszak już drugi akapit wprowadza jednak i perspektywę współczesną, dystans historyczny, i definicje gatunkowe, i formuły metatekstowe (owo słynne: „Będę szczery, przypominający sobie siebie tamtego w fackikach, może za dokładny, ale za to tylko prawda będzie”). A może nigdy nie było pierwszych czterdziestu pięciu stron „Tajniaka” i powinniśmy na serio potraktować rozpoczęcie „gdzie byle” filozoficznie, jako wyraz idei, że gdy zaczynamy mówić „w środku życia”, w tym nawet „w środku dorosłości”, to nie możemy sztucznym otwarciem zdradzać „przeptywu życia”. Jot? W trzeciej prozie z *Szumów, lepów, ciągów*, znanej ze względu na tytuł (*Spiszę wszystko*)

i pointę (o szmaragdzie podbijanym zieloną bibułą), „Jot, wpuszczony, siada, głową w pochył. [...] – już wiem, kupię samochód. Będziemy jeździli, chcesz? Będziesz? Będziemy się rozbijać... Rozbijemy się, co? Zabijemy się... – co? po co? – no... zabijemy się razem”. A może wolno nam nawet stworzyć analogię pomiędzy pisaniem i jego rytmem oraz stylem – a alegorią Jota, by tak rzec, to znaczy między rytmem pisania a rytmem życia erotycznego? (Pisałem o tym silnym acz ukrytym związku rytmów w przedostatnim „Kwartalniku”). Jot był Mirona stałym, ale dochodzącym... hm, więcej niż kochankiem, mniej niż partnerem, miłością; kolegą od seksu był. Po związku z Adamem, w wieku około czterdziestu pięciu lat pisarz postanowił, że z nikim się już trwale nie zwiąże, bo to nadmiernie angażujące. Jotem się nie przejmuję, nie przeżywa jego osoby, obecności, nieobecności, zdrad, on czasem jest, czasem nie, Jot się „przydarza”. Czyż nie tak dzieje się i z prozą Białoszewskiego, która przechodzi od zwartych, nierzadko wspaniale zakomponowanych opowiadań z otwarciem i mocną pointą, ku „ciagutce” (krowie, ale świętej)? Bez podbijania szmaragdu, bez przeżywania za bardzo, bez wydzielania i uświęcania. Prawdziwe „przyjmowanie wszystkiego” (jak się wyraził w wierszu z *Było i było*). Albo też może i ten Jot nie jest tak całkiem nieważny jak pisarz próbuje nam – i może sobie – wmówić? W planie uczuciowym. Jako wehikuł alegorii zaś jest ważny bez dwóch zdań: w *Szumach, zle-pach, ciągach* formuła „spiszę wszystko” ma oczywisty wydźwięk ironiczny; ale, choć każdy ma świadomość, że „spisać

wszystkiego” się nie da, czy pisarz nie podjął jej w swoim mniemaniu na serio, bez ironii, maksymalistycznie, w *Tajnym dzienniku*? Bez zielonej bibułki – więc sam szmaragd. (Acz istotnie, to jest oczywiście łatwo odwracalna metafora i ktoś złośliwszy mógłby powiedzieć, że została jednak sama zielona bibułka).

Nie dziwi także druga tendencja wskazana wyżej jako przeciwstawna, to znaczy wyjmowanie kawałków czy bloków tematycznych. W badaniach literackich to jest dość zrozumiałe, to znaczy, nie jest „Tajniak” traktowany pod tym względem wyjątkowo inaczej niż inne teksty literackie, zwykle wszakże badacze stawiają jakiś zawężony problem, wyprofilowują swoje interpretacje. Taki charakter ma choćby mój wspomniany szkic o samej podróży do USA. Są jednak i użycia bardziej problematyczne. Pisałem w „MiroForze” o spektaklu teatralnym *Tajny dziennik*, niewiele ponad godzinę trującym. Lecz problematyczne nie jest „900 s. w 70 minut”, tylko zrobienie z *Tajnego dziennika* czegoś, czym ten nie jest, mianowicie wybór wyłącznie świetnie napisanych (bo przecież w dzienniku są partie różnej jakości), spointowanych fragmentów – w dodatku na tak zwane Ważne Tematy (śmierć, starość, choroba, erotyka, miłość). Zrobienie Mirona wtórnie modernistą, Wielkim Modernistą od Wielkich Tematów. Wypreparowanie fragmentów tak, że przypominają one właśnie prozy z *Donosów rzeczywistości, Szumów, zle-pów, ciągów*, „szmaragdy podbite bibułą”. Arcydzienne tak zwane *tout court*. To jednak zaprzecza istocie tego projektu życiopisaniowego. Znika codziennościowe wypełnienie. Szczeliny

istnienia. Codziennosc niesceniczna? To inscenizowac inne teksty. Byli zreszta rezyserzy – pokpiwalem miedzy wierszami – ktorzy potrafia pokazac na scenie codzienosc i nawet nude (nie zawsze w sposob adekwatnie nieatrakcyjny), lecz nie dostali praw.

To rzeklszy, opowiem na koniec o kilku swoich wrazeniach z ponownej lektury *Dokladanych tresci* ciagiem, *longiem*. Czytalem bowiem *Tajny dziennik* kilka razy, ale nigdy od pierwszej lektury w 2012 w calosci ciurkiem, zawsze skaczac po notatkach, fragmentach, watkach, indeksie. Teraz postanowilem czytac nie jako „badacz”, na ile to mozliwe, a czytelnik, bez robienia notatek, na samo dzialanie tekstu. Jak wiecej wypada zrozumienie dla owej filozofii codzienosci z jej banalem i „watą wypeelnienia” w ponownej lekturze? Ano róznie. Gdy mam tak szczerze i szczególowo odtwarzac warunki lektury, to musze zaczac od tego, ze tuz przed *Dokladanymi tresciami* czytalem nie dla przyjemnosci (co sie okazalo samospelniajaca przepowiednia) Andrzeja Stasiuka *Jadac do Babadag*, ktora to ksiazke mozna do pewnego stopnia – i, mowiac uczciwie, raczej pozornie – uznac za zbiezna w projekcie codzienosci, „malego teraz”, braku efektów fabularnych i tak dalej. Po wymenczeniu i trudnym dobrnieniu do konca *Babadag*, obawialem sie, ze wrazenie to zainfekuje mi Mirona. Tymczasem nie: przeskok do Bialoszewskiego byl ozywcy, jego pisanie zywsze, wciagajace. Zadzialalo! Tyle ze to wrazenie nie utrzymalo sie juz po jakichs dwustu stronach. Moze „Tajniak” jest jednak ksiazka zamierzona na dozowanie? Nie negujac owej idei filozoficznej uchwylenia banalnosci

i wspanialosci w jednym – zycia? Uderzyly mnie nadto dwie sprawy, ktorych dziesiec lat wczesniej nie dostrzeglem. (To zreszta moze zrozumiale: czytalem wówczas – moze wszyscy tak czytalismy – w podkscytowaniu, ze oto trafia do nas ten wyczekiwany dokument, masa nowych informacji do przyswojenia, czytanie bylo wiece chlonieniem). Sa to sprawy z pogranicza psychologii i poetyki. Pierwsza to stopien – *excusez le mot* – „pierołowatosci” Mirona, braku otwartosci na pewne nowe rzeczy przychodzace ze swiata, od mlodych ludzi. Oczywiscie, ze to „naturalne”, pokoleniowe, ale mamy jednak mit Bialoszewskiego – wiecznie otwartego, ciekawego nowych form, inspirujacego mlodych ludzi, ktorym moze byc partnerem. To po czesci prawda, dogaduje sie z kregiem mlodszych ludzi, wszak zdumialo mnie, ile razy jednak wyrzuca im na kartach dziennika, ze nie chca spowazniec, majac juz (!!!) trzydzieci lat – a mowi to pisarz, ktory w wieku trzydzieci czterech lat dopiero zaczynal sie bawic i rozrabiac w literaturze i najlepsze bylo przed nim. Jalem sie zastanawiac, czy i to nie jest powiazane – jak motyw Jota – z owym wleczeniem sie, *longiem* formy. Czy to nie forma rezygnacji, niecheci do napinania sie, wola jechania na pół-formie. Jednak – na szczescie – rownolegle pisywal zwarte, napiete wiersze i prozy rowniez. Oraz – rowniez na szczescie – niekiedy wpadal w tryb autodiagnozowania tej swojej gderliwosci czy epizodów stetryczenia („Oczywiscie to wszystko razem smieszne i niewazne. Ale zycie na tym nieraz schodzi”). Czytelnik daruje brak cytatu na potwierdzenie, ale, jako sie rzeklo, nie jako badacz czytalem. Wezmy tylko

przykładowo taką sytuację: Białoszewski poszedł z Heringiem na film *Maratończyk*. Wyszli z niego w trakcie zde gustowani, dywagując, dlaczego Laurence Olivier wystąpił w czymś takim. „Na zarobek, albo chciał któregoś młodego poprzeć [...]. Na jakie gusty to liczone?” Konkludują, że film byłby lepszy, gdyby cały czas, nie tylko na samym początku, pokazywał żydowski Nowy Jork, bo ten przypomina im przedwojenną ulicę Chłodną (co jednak wskazuje na ich zwrot ku przeszłości a odwrót od współczesności). Dziś, jak wiemy, *Maratończyk* dość powszechnie uchodzi za arcydzieło kina. A już wtedy bardzo się podobał Ani [Sobolewskiej], która im go poleciła, a więc trzydziestolatce. Druga rzecz, która mnie zaskoczyła, to jednak stopień plotkarstwa. Oczywiście, dzienniki są w zasadzie zbiorami anegdot i plot. Oczywiście, Maria Janion czterdzieści lat temu pisała, że źródło sporej części utworów Białoszewskiego to ploty („babskie ploty”, pisała naonczas). Tu jednak chodzi mi o piętrowe układy nie tyle może nawet „plot”, co obgadywań – jako wyraz interakcji między różnymi osobami, z którymi Miron przestaje. To są całe ciągi, ten powiedział o tym to, a tamten uważa o nim tamto, ten się obraził o to, tamten zerwał o tamto, a ktoś trzeci o nich obojgu że..., i powtarzamy to czwartemu a ten piątej i tak dalej, a każde daje swój komentarz. Względnie krótki przykład na to znajdujemy w zapisach z 4 VII 1976: „We wtorek u mnie Anula o Kici Koci, że jej wycięła jakieś tam numery [...]. Malina od razu – Kicia Kocia zmyśla sny, nie znoszę, jak ktoś kłamie sny [...]. Kiedy ja do Tadzia o Anuli na temat Kici Koci, to on – To już? Tylko czekałem na to”. Czasem takie

przerzuty obgadywań ciągną się stronami. I to także mieści się wszak w formule „dokładania treści”.

To i dołożyłem.

Piotr Sobolczyk

Miron Białoszewski, *Dokładane treści. Tajny dziennik 1*, tom XV, *Utwory zebrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

Fachowiec

Książki Aleksandra Fiuta towarzyszą nam od zawsze. Wymieńmy najważniejsze: *Dowód nietożsamości. Proza Wilhelma Macha* (Kraków 1976), *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza* (wydanie pierwsze, Libella, Paryż 1987; drugie, poszerzone: Warszawa 1993; trzecie, dalej poszerzone: Kraków 1998, czwarte, zmienione i ponownie poszerzone, Kraków 2011), *Pytanie o tożsamość* (Kraków 1995), *Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem* (Kraków 1999), *W stronę Miłosza* (Kraków 2003), *Spotkania z Innym* (Kraków 2005), *Z Miłoszem* (Sejny 2011). Rangę tych prac podkreślają także ich przekłady na języki: angielski, francuski, włoski, serbo-chorwacki, rosyjski, litewski czy rumuński. Książki Fiuta dotyczą w większości literatury XX i XXI wieku – najwybitniejszych i najbardziej interesujących przypadków prozy czy poezji. Nie ma dziś wątpliwości, że tworzą one historycznoliteracki kanon, w którym znaleźć można prace Kazimierza Wyki, Jana Błońskiego czy Jerzego Jarzębskiego (by ograniczyć się tylko do klucza geograficznego).

Wyglądy i wglądy nie są pod tym względem wyjątkiem. Ta rozległa, ponad czterystustronicowa opowieść o polskiej literaturze jest w gruncie rzeczy małą historią literatury. Dzięki rozległej wiedzy, jasnemu i przystępnemu wywodowi oraz stosowaniu – nazwijmy go tak – dyskursu fachowca Aleksander Fiut buduje obraz tego, co w Polsce pisano w okresie niemal całego stulecia. Ważne wydaje się jednak nie to, że taki obraz powstał, ale to, jak może być dzisiaj czytany. *Wyglądy i wglądy* nie są bowiem zwyczajnym repetytorium, nie są też bukietem wybranych przez autora szkiców i esejów. Wydają się książką daleko poważniejszą, książką towarzysza literatury drugiej połowy XX wieku i pierwszej połowy wieku następnego. Są więc po części syntezą i podsumowaniem, po części – żywą gawędą świadka rodzenia się i przyjmowania tej literatury u czytelników.

O czym i o kim Aleksander Fiut pisze? Myliłby się ten, kto by pomyślał, że autor chce wyrażać swoje ambicje w sposób czysto akademicki, czyli zgodnie z kalendarzem. Opowieść zaczyna się od wypraw Henryka Sienkiewicza do Ameryki, odnotowanych w jego korespondencji; zaraz po tym następują notatki o Ameryce Mirona Białoszewskiego, śledztwo w sprawie obecności Rosjan w polskiej literaturze powojennej, poprowadzone na okoliczność opublikowania przez Marcina Zarembę *Wielkiej Trwogi*, a także sondaż na temat roli przeszłości w najnowszej polskiej prozie. Fiut prowadzi swoją opowieść przez grube pokłady literatury, gdy pisze o kilku dekadach historii literatury kobiet (niekiedy dość krytycznie), częściej jednak wyprawia się

samotnie na literackie szlaki, by opowiedzieć czytelnikowi o przyjaźniach, koleżeństwach czy znajomościach.

Książka rozpoczyna się znamienne – analizą listów Sienkiewicza. List to ulubiony gatunek Aleksandra Fiuta. Zwłaszcza list poety do poety. Dlatego czyta korespondencję między Wisławą Szymborską a Zbigniewem Herbertem, Wisławą Szymborską a Stanisławem Barańczakiem czy Arturem Międzyrzeckim, Julią Hartwig i Czesławem Miłoszem. Listy w studiach Aleksandra Fiuta odzyskują blask dawnych wartości, przypominają o łączących ludzi relacjach, o zdolności pokonywania setek kilometrów odległości, o trudnej sztuce kamuflażu i zmaganiach z cenzurą. „Jest to forma więzi, która staje się rozpaczliwym remedium na dławiącą samotność i dotkliwie opuszczenie. Przynajmniej częściowo osłabia raniące poczucie obcości”. Nie bez przyczyny autor nazywa rozdział poświęcony wymianie listów między Międzyrzeckim, Hartwig a Miłoszem czymś „Zamiast przyjacielskiej rozmowy”. List występuje w tym rozdziale w roli zbliżonej do literatury, którą kiedyś tak precyzyjnie opisywał w książce *Zamiast* Marek Zaleski.

Listy dają wgląd w minioną rzeczywistość, rozkładają i rozprostowują czasy zgniecione w grubych tomach. Fiut pisze o emigracjach pisarzy opozycji, Polakach w Paryżu, resentymentach emigrantów, „roztrząsaniu spraw polskich”. Zupełnie inaczej rysuje się korespondencja Jana Błońskiego z Czesławem Miłoszem: „Wyrażane w listach Błońskiego sądy o kolejnych książkach Miłosza, docieklivość, z jaką chciał przeniknąć sekrety jego warsztatu i filozoficzne inspiracje,

dowodzą, że nie tylko znał tę twórczość jak mało kto, ale także, że nie ustawał w niestrudzonym pogłębianiu i rozszerzaniu swojej o niej wiedzy i stale odnajdywał u poety bliskie sobie ujęcia [...]. Niezwykle ciekawe są fragmenty listów Błońskiego, w których wyjawia on cel czytania Miłosza, nazywając go »przyłgnięciem« czy »uciszeniem« – a bynajmniej nie był on regułą w lekturach tego krytyka.

Ale chyba najlepiej w tej książce wypadają sprawy aktualne. A za takie z pewnością uznać należy rosnący kryzys globalny, kryzys uchodźczy, wojnę Rosji z Ukrainą. Fiut przypomina uwagi Josifa Brodskiego o Ukrainie, relacjonowanie szarpanych stosunków z Rosjanami, grę miłości i nienawiści, nieporozumienia. Wszystko to dzisiaj nabiera mocy przekleństwa i czyni z Brodskiego poetę jeszcze bardziej aktualnego niż kilkanaście lat temu.

Niczym testament zostawiony ludzkości wybrzmiewa przede wszystkim poezja Adama Zagajewskiego. Rozdziałem o niej Aleksander Fiut kończy swoją książkę, przypominając dwa, niezwykle mocne wiersze – *Komunikat* i *Trzy czwarte*. Oba one mówią o ludzkiej *hybris* i cudownej zdolności odwracania głów od ludzkiego cierpienia, od spraw nieważnych dla żywych, takich jak śmierć, cmentarze, obozy zagłady, obozy dla uchodźców, masowy głód. Zagajewski pisze o nich spokojnym, wyważonym tonem, w którym odbija się sarkazm. Sarkazm u poety oznacza zwykle silne przeżywanie rzeczywistości. Te wytłumione emocje Zagajewskiego zostają doskonale przeczytane w książce Fiuta:

„Postanawiam pisać, jak lubił: powściągliwie, konkretnie i rzeczowo”.

Książki krytycznoliterackie ukazują się w Polsce coraz rzadziej, jakby z lęką przed nieżyczliwością rynku i czytelników, którzy nie chcą czytać o literaturze dla literatury. *Wyglądy i wglądy*, choć raczej są historycznoliteracką syntezą, a nie recenzencką przygodą, wiodą czytelnika po tekstach drogami współczesnymi, pokazując świetnie udokumentowaną, rozległą i wartościową wiedzę, którą nabywał piszący właściwie tak, jak nabywają taką wiedzę dzisiejsi krytycy – zżywając się z książkami, gdy się ukazywały. Na gorąco. Narracje Fiuta są raczej spokojne i wyważone, ale przenika je jakiś gorączkowy *Zeitgeist*, który podpowiada, że autor ma w sobie także siłę reportera i kronikarza.

Marta Tomczok

Aleksander Fiut, *Wyglądy i wglądy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

Wypowiedzieć niewypowiadalne

To chyba jakiś znak czasu, nad którym warto się zastanowić. Skąd się bierze obecnie tak wielka popularność i poczytność biografii wybitnych pisarzy? Wyraża się tym sposobem, raz jeszcze, kryzys literatury fabularnej, głód faktów bądź znudzenie konwencją fantasy? Czy też dosyć niezdrowa chęć dowiedzenia się pikantnych szczegółów, towarzysząca lekturom intymnych wynurzeń rozmaitej rangi celebrytów? Albo szlachetniejsze

pragnienie, by poprzez zajrzenie za kulisy życia i twórczości autorów, nierzadko pilnie i uparcie strzegących swojej prywatności, lepiej i pełniej zrozumieć sekrety ich pisarstwa? Jakkolwiek by było, łatwo zauważyć, że w ostatnim okresie pojawił się cały szereg nierzadko wybitnych książek tego rodzaju, w których szperanie po archiwach, wczytywanie się w mało znane teksty czy korespondencję, a także własna znajomość epoki uzupełnione zostają psychologiczną intuicją oraz historyczną wyobraźnią. Z wielką siłą powraca tym sposobem podgatunek prozy fabularnej, w którym faktograficzna rzetelność miesza się z hipotezami oraz domysłami, zaś uwagę przykuwają tyleż osoba głównego bohatera, co wyłaniające się za nim wielobarwne tło kulturowe, polityczne i obyczajowe. Takimi właśnie cechami odznaczają się choćby, nierzadko wybitne: biografia Jarosława Iwaszkiewicza – pióra Radosława Romaniuka, Witolda Gombrowicza – pióra Klementyny Suchanow, Wiśławy Szymborskiej – pióra Anny Bikont i Joanny Szczęsnej, Czesława Miłosza oraz Zbigniewa Herberta – pióra Andrzeja Franaszka czy Stanisława Lema – pióra Agnieszki Gajewskiej. Mnie w tej galerii portretów najbardziej, poza wszystkim, intelektualnie pociąga, a nierzadko porusza, potrzeba przybliżenia pojedynczego doświadczenia egzystencjalnego, opis ludzkiego losu, zawsze niepowtarzalnego, w istocie tajemniczego, a nabierającego szczególnej, nieraz tragicznej intensywności w naszej części Europy, gdzie historia żłobi w życiu jednostek i społeczeństw głębokie, krwawe ślady.

Tymi cechami odznaczająca się biografia Paula Celana, której autorką jest Anna Arno, prezentuje się dosyć wyjątkowo. Dodać wypada, że Arno zdobyła w tym gatunku pewną biegłość, skoro wcześniej napisała dwie znakomite biografie: Konstantego A. Jeleńskiego oraz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Jednakże opis życia i twórczości jednego z najwybitniejszych poetów języka niemieckiego XX wieku stanowił szczególne wyzwanie. Wpierw dlatego, że pomimo całej ogromnej biblioteki poświęconej kolejom życiowym oraz poszczególnym tekstom Celana, pozostaje on nadal postacią niezwykle zagadkową i niejednoznaczną. Następną niebagatelną przeszkodę stanowi wielojęzyczność źródeł, która wymaga od badacza szczególnych kompetencji. Wreszcie silny opór stawiają w lekturze teksty poetyckie Celana – enigmatyczne, pełne ukrytych aluzji oraz znaczeń trudno uchwytnych, bądź w ogóle nieuchwytnych w przekładach na inne języki. A przecież Anna Arno z tymi problemami świetnie się uporała. Czyta się tę biografię, napisaną z pisarską werwą, niczym pasjonującą powieść, pełną dramatycznych zwrotów akcji, tragicznych wydarzeń, cudownych ocaleń oraz barwnych opisów miłosnych perypetii.

Dzieje Celana oraz świata, w którym żył i tworzył, biografka układa zręcznie w całość niczym z puzzle, łącząc dyskretnym komentarzem przytoczenia wielorakich tekstów: wierszy autora *Fugi śmierci*, nierzadko we własnym przekładzie, jego korespondencji z przyjaciółmi, fragmentów wspomnień i pamiętników, wypowiedzi badaczy, prac historycznych oraz utworów literackich. Podziwiać

należy tyleż erudycję autorki, co jej talenty narracyjne i kombinatoryczne. Arno opowiada o perypetiach Celana z uczuciowym zaangażowaniem, pozostawiając wszakże czytelnikowi miejsce na własne przemyślenia i dopowiedzenia, z czego trochę skorzystam.

Powieściowy zamysł wyraża kompozycja książki: poszczególne rozdziały, poprzedzone cennymi archiwalnymi fotografiami, które od razu wprowadzają w omawiane problemy, skupiają się wokół wybranych tematów i jedynie w przybliżeniu, za cenę nieuniknionych powtórzeń, zachowują układ chronologiczny. Pod tym względem książka Anny Arno różni się zasadniczo od klasycznej już monografii poezji Paula Celana, autorstwa Johna Felstinera (polskie wydanie: *Poeta, ocalony, Żyd*, wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt 2010) zresztą przez badaczkę cytowanej, gdzie w centrum uwagi pozostają drobniaczko analizowane teksty poetyckie Celana oraz trudności ich przekładu na angielski, natomiast tło biograficzne potraktowane bywa wrywkowo i ograniczone do niezbędnego minimum.

Arno żywo opowiada o świecie zmarłym i świecie umarłych. Jej pisarskie ambicje zdradza już sam początek biografii: plastyczny opis spaceru po współczesnych Czerniowcach, które jedynie w swojej architekturze przechowują nieliczne, mocno zamazane ślady dawnej świetności. Tropiąc te ślady, Anna Arno stopniowo, coraz głębiej wchodzi w dzieje tego wyjątkowego miasta oraz jego mieszkańców. Zamieszkiwane przez Żydów i Polaków, Rusinów i Rumunów, wypełnione gwarem wielu języków, bujnie rozwijające

się w cieniu synagog, kościołów i cerkwi, podczas ponad stuletnich rządów cesarstwa austro-węgierskiego stało się stolicą Bukowiny. Jego najbardziej wpływową warstwę społeczną, z której wywodził się Celan, urodzony w 1920 roku, stanowiło średniozamożne, posługujące się językiem niemieckim, żydowskie mieszczaństwo. Ono właśnie stało się główną ofiarą historycznych wydarzeń. Podobnie jak inne wielonarodowe miasta z tej części Europy, Czerniowce, cieszące się kulturą i religijną tolerancją podczas rządów Franciszka Józefa, po pierwszej wojnie światowej doświadczyły eksplozji antysemitycznych nastrojów. Stały się nadto przedmiotem intensywnej romanizacji miasta wcielonego wraz z Bukowiną do Rumunii. Obydwa procesy boleśnie dotknęły niemieckojęzyczną społeczność żydowską. Ale jeszcze wówczas tradycja Austro-Węgier, jak pisze Arno, pozostawała żywa i była starannie przechowywana, a miasto wiodło po trosze żywot fantomatyczny. Nie przypadkiem Celan zwykł się później przedstawiać jako obywatel Cekanii, mieszkaniec prowincji nieistniejącej. Ostateczny kres przyniosły tej społeczności kolejne okupacje. W 1940 roku Czerniowce zostały zajęte przez Armię Czerwoną i ich udziałem stały się rusyfikacja, komunistyczna indoktrynacja, stalinowski terror oraz wywózki. Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich Żydzi ulegli bezlitosnej eksterminacji. Kiedy w 1944 roku miasto wraz z północną częścią Bukowiny ponownie stało się częścią Związku Sowieckiego, a dokładniej – Republiki Ukraińskiej, z tej licznej kiedyś grupy ludnościowej ocaleli nieliczni. Rodzice Celana, jak wielu czerniowieckich Żydów,

w okresie okupacji hitlerowskiej zostali wywiezieni na Zadniestrze i zamordowani w obozie pracy. Poeta właściwie cudem ocalał, tuż po zakończeniu wojny nielegalnie przekroczył granicę ZSRR i znalazł się w Bukareszcie, gdzie spędził dwa lata, zaś w obliczu narastającego komunistycznego terroru wyemigrował wprawdzie do Wiednia, a następnie w 1947 roku do Paryża, w którym zakończył życie samobójstwem w 1970 roku.

Paul Antschel, bo tak brzmiało prawdziwe nazwisko poety, za namową przyjaciół przyjął w Bukareszcie dźwięcznie brzmiący pseudonim. Ponieważ, jak zauważa Arno, zromanizowana wersja „Ancel” to dosyć pospolite nazwisko w Rumunii, uznał, zgodnie zresztą ze stałym zamiłowaniem do zabawy słowami, że najlepszym rozwiązaniem będzie anagram: Celan. W tym pseudonimie ośmielał się dopatrzeć całego szeregu symbolicznych znaczeń. Jest weń przecież wpisana, zatarta, ale wciąż obecna aluzja do żydowskiego rodowodu poety. Pseudonim zawiera pośredni wizerunek osobowości wewnętrznie pękniętej, jak gdyby bytującej na opak. Stanowi wyobrażenie kogoś, kto wie, że żywot nie całkiem własny, skoro to nowe nazwisko inaczej wymawiali Francuzi, inaczej Niemcy, zaś dla pierwszych pozostawał długo twórcą nieznanym, dla drugich był poetą posługującym się dialektem dalekiej prowincji. Dodać wypada, że „Celan” to po hebrajsku „cien”. Tak jakby tragicznie zakończone życie Celana było niczym przygodne przebywanie na ziemi cienia jednego z pomordowanych pobratymców.

Arno pieczołowicie odtwarza drogę życiową poety, kreśląc plastyczny obraz miast, w których kolejno przebywał i które odegrały zasadniczą rolę w jego pisarskiej biografii. Poza Czerniowcami zapadają w pamięć wizerunki: Bukaresztu, którym rządzą komuniści, Wiednia, usiłującego zamazać, a nawet unieważnić pamięć o swej nazistowskiej przeszłości, odradzającego się powoli Paryża. Biografka uważnie śledzi wprawdzie pierwsze poetyckie wtajemniczenia Celana, a następnie, w okresie emigracji jego stopniowe kształtowanie własnej niepowtarzalnej i oryginalnej dykcji poetyckiej. Opisuje drobniutko adaptację Celana w nowych literackich otoczeniach oraz jego kontakty towarzyskie, a nierzadko bliskie przyjaźnie z wpływowymi twórcami, między innymi z Nelly Sachs, Theodorem Adorno, René Charem, Henrim Michaux. Nie zapominała o pamiętnym spotkaniu z Martinem Heideggerem, utrwalonym w wierszu *Todtnauberg*. Pisze o usilnym, nieraz rozpaczliwym ubieganiu się Celana o uznanie u współczesnych, wspartym jedynie przez garstkę nielicznych oddanych mu rumuńskich, francuskich i niemieckich przyjaciół. O trudnej drodze, jaką przeszedł nieznanemu czerniowiecki poeta od anonimowości do międzynarodowej sławy.

Osobne rozdziały Arno poświęca licznym romansom Celana, cieszącego się niebywałym powodzeniem u kobiet, w tym jego długoletniemu związkowi z wybitną poetką Ingeborg Bachmann oraz dramatycznym perypetiom małżeństwa z graficzką Gisèle Lestrangé. Na wielu stronach biografii przedstawiona zostaje brutalna i wieloletnia nagonka

na Celana zainicjowana przez Claire Goll, wdowę po jego przyjacielu, która, odrzucona przez poetę, mściła się na nim przez wiele lat, psując mu opinię w środowiskach twórczych bezpodstawnymi oskarżeniami o plagiat. To głównie wskutek tej nagonki Celan, przeczulony na punkcie antysemityzmu, niejednokrotnie zrywał długoletnie przyjaźnie, a także trafiał do zakładów zamkniętych.

Arno pisze o Celanie z dyskretną współczującą empatią. Ale nie bezkrytycznie. Jawi się on jako człowiek całe życie naznaczony traumą Zagłady, pełen poczucia winy wobec rodziców, których opuścił tuż przed deportacją, a których, jak sądził, mógł ocalić. Zawsze dotkliwie, rozpaczliwie samotny. Identyfikujący się wyłącznie przez judaizm, który uznał za jedyną dla niego istotną i niewzruszoną formułę człowieczeństwa. Pełen sprzeczności: z natury łagodny, wewnętrznie kruchy, potrafił stać się bezwzględny i okrutny, zwłaszcza wobec bliskich mu kobiet; spokojny, zamknięty w sobie i wyciszony, bywał zdolny do nieoczekiwanych, nieokiełzanych i gwałtownych wybuchów gniewu; przeżywający chwile euforycznego szczęścia, wpadał następnie w długotrwałą depresję; prawdziwie głęboko kochający żonę i syna, wskutek zdrad oraz w objawach szału doprowadził do rozpadu swoje małżeństwo. Słowem, osobowość uczuciowo labilna, miotana ukrytymi obsesjami, naznaczona urazami i narastającą chorobą. Tragiczna ofiara historycznego czasu, w której przyszło jej żyć.

Autorka biografii przypomina, jak wielkie znaczenie dla rozwoju twórczości Celana miał fakt, że swoje wiersze

tworzył w obcojęzycznym otoczeniu. Poza sześcioma wierszami i sześcioma utworami poetyckiej prozy opublikowanymi po rumuńsku cała jego twórczość pozostała wierna wyniesionej z domu niemiecczyźnie. W młodości otaczał go wielość Czerniowców oraz rosyjski okupantów, w Bukareszcie – rumuński, w Paryżu – francuski. Jedynie sześć miesięcy w Wiedniu przeżył w otoczeniu niemieckim. Znając biegle kilka języków, Celan nie tylko tłumaczył na niemiecki wybitnych poetów francuskich oraz angielskich i anglosaskich, lecz także z rosyjskiego na rumuński pisarzy rosyjskich, co pozostawiło istotne ślady w jego własnej twórczości.

Poezja Celana, pełna przemilczeń i niedomówień powoli stawała się pod jego piórem szyfrem, do którego klucze ukryte zostały w biografii poety, symbolicznych znaczeniach słów czerpanych z kilku języków, a także w erudycyjnych aluzjach. Arno, inaczej niż Felstiner, unika interpretacji wierszy Celana – raczej umiejętnie przesuwając stopniowo granicę ich rozumienia. Krok po kroku naprowadza na trop aluzji do intymnej, najbardziej skrywanej, a nierzadko niezwykle bolesnej sfery osobistych doświadczeń poety. Przypomina, że już we wczesnych wierszach Celan, z zapałem interesujący się botaniką, w symbolicznych nazwach roślin w języku łańskim, niemieckim i francuskim odnajdywał poetycki potencjał. Czerpał także inspirację z zainteresowania surrealizmem, swobodną, łamiącą reguły grą słów. Stąd znaczenia wyrazów w jego wierszach będą nieustannie przenikać się ze sobą, oscylować semantycznie, wzbogacać i zapładniać wyobraźnię,

budząc wielokierunkowe skojarzenia. Przy czym Celan zawsze ostro protestował przeciwko zarzutowi, że pisze wiersze hermetyczne. Uparcie twierdził, że „wiersz nie jest przedstawieniem rzeczywistości, lecz sam jest rzeczywistością”.

Na marginesie *Wierszy* Paula Eluarda napisał: „Kto nie udzielił wierszowi siły oporu tego, co niewyraźne, ten nie napisał wiersza”. Niewyraźna była Zagłada, bezprzykładowy akt nie tylko ludobójstwa, ale także wyjątkowego barbarzyństwa, zaprzeczającego wszelkim ludzkim wartościom, czego symbolicznym wyrazem staje się, przedstawiona w *Fudze śmierci* scena, w której gestapowiec, pisząc w przerwach liryczny list do ukochanej, zmusza żydowską orkiestrę do przygrywania dla kopiących swoje groby pobratymców. Zagłada tym bardziej traumatyczna dla Celana, że pochłonęła jego najbliższych. Ale również niewyraźna staje się sama pamięć o tej zbrodni, kwestionująca możliwości mowy, zatrzymująca się na granicy milczenia, bezradnie potykająca o słowa – pamięć tym trudniejsza do wyrażenia, że posługująca się mową oprawców. W jednym z cytowanych przez Arno listów Celan napisał: „Swoją prawdę można wypowiedzieć tylko we własnym języku”. Gdzie indziej dodawał: „[...] trudno jest, będąc Żydem, tworzyć poezję po niemiecku. Kiedy ukażą się moje wiersze, z pewnością dotrą także do Niemiec i [...] ręka, która otworzy moją książkę, być może ścisnęła dłoń mordercy mojej Matki”. Prawdziwy wstrząs, jak pisze biografka, stanowiły dla niego podczas pobytów w NRF spotkania byłych

zbrodniarzy hitlerowskich, nierzadko zbyt łagodnie osądzonych przez sądy zachodniemieckie. Bolesny paradoks polegał zaś i na tym, że właśnie w Niemczech Celan zdobył największą sławę za nim jego wiersze przełożono na obce języki. Wypada dodać, że niewyraźność Zagłady stała się w tej poezji figurą trudności oraz samego, nigdy nieostatecznego i niedostatecznego wysiłku dotarcia do tajemnicy ludzkiej egzystencji oraz enigmatyczności samej rzeczywistości.

Czytając tę biografię trudno nie pomyśleć o piszącym w Pradze po niemiecku Franzu Kafce, piszącym po polsku w Drohobyczu Brunonowi Schulzu. Zasympilowanych Żydach znajdujących ojczyznę w językach krajów swojego osiedlenia. Dziedzicach tego zdumiewającego tworu, jakim była monarchia austro-węgierska – drażniąca nieraz sztucznością, dziwaczna i anachroniczna, a zarazem w jakiś sposób nowoczesna, bo zapowiadająca ideę wspólnoty europejskiej, w której mniej ma się liczyć odrębność językowa, etniczna czy kulturowa niż zakorzenienie w tej samej śródziemnomorskiej tradycji. Trudno również zapomnieć o tak nielicznym gronie ocalałych przedstawicieli żydowskiej społeczności, niesłuchanie intelektualnie płodnej, społecznie zróżnicowanej, obyczajowo bogatej, którą unicestwiły nacjonalizm, antysemityzm i totalitaryzm i która, niczym Atlantyda, bezpowrotnie pograżyła się w niebyt.

Aleksander Fiut

Anna Arno, *Paul Celan. Tam, za kasztanami, jest świat. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

N O T Y O A U T O R A C H

SAMUEL BECKETT (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; autor m.in. *Końcówki, Ostatniej taśmy Krappa, Szczęśliwych dni, Komedii, Katastrofy*, powieści: *Molloy, Watt, Malone umiera, Nienazywalne*, tomików wierszy i esejów [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1996 nr 4 (12), 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr 4 (60), 2010 nr 4 (68), 2012 nr 4 (76)].

KATARZYNA BIEŃKOWSKA, ur. 1972 w Warszawie, tłumaczka, krytyk literacki, autorka wierszy; ostatnio opublikowała przekłady *Dziewczyna z wieży* (2021) Katherine Arden i *Cienie między nami* (2022) Trici Levenseller. Mieszka w Pułtusku.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował tomiki *Oumuamua. Atlas wierszy światologicznych* (2022) oraz *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022). Mieszka w Olsztynie.

CHARLES BUKOWSKI (1920–1994), poeta i prozaik amerykański; pierwsze opowiadanie opublikował w 1944, pierwszy wiersz – jedenaście lat później; między 1960 a 1993 ogłosił drukiem około pięćdziesięciu pozycji: tomów wierszy, zbiorów opowiadań i powieści, których tłem są Los Angeles i Kalifornia; w Polsce znany z większości swoich powieści i zbioru wierszy *Miłość to piekielny pies. Wiersze 1974–77* (2003) w przekładzie Leszka Engelkinga.

STEFAN CHWIN, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) oraz *Wolność pisaną po Jalcie* (2022) [patrz

m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

ALEKSANDER FIUT, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował tomik prozy *Wypchany niedźwiedź?* (2021) oraz *Wyglądy i wglądy* (2022). Mieszka w Krakowie.

DANA GIOIA, ur. 1950 w Hawthorne w Kalifornii, amerykański poeta, eseista, krytyk literacki; autor pięciu książek poetyckich, antologii i czterech librett operowych; współpracował z muzykami reprezentującymi różne gatunki muzyki, od klasyki po jazz. Przekłady jego wierszy ukazują się w Polsce po raz pierwszy w tłumaczeniu Krystyny Lenkowskiej.

JORGE GUILLÉN (1893–1984), hiszpański poeta; autor tomów poetyckich m.in. *Cántico, Y otros poemas, Historia muy natural, Final, La expresión*.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

BOGUSŁAW KIERC, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował *Tyle na chwilę. Wiersze z lat 1967–2020* (2022) oraz *Był sobie* (2022). Mieszka we Wrocławiu.

RYSZARD KRYNICKI, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował przekłady wierszy Bertolta

Brechta *Elegie bukowski* i inne wiersze (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 2 (78)]. Mieszka w Krakowie.

KRYSTYNA LENKOWSKA, ur. 1957 w Rzeszowie, autorka wierszy, tłumaczka poezji anglosaskiej; ostatnio opublikowała tomy wierszy *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020) i *Balkon* (2021). Mieszka w Rzeszowie.

ANTONI LIBERA, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował nowe przekłady *Eleutherii* Becketta (2021), *Tragedii rzymskich* Shakespeare’a, tomy 1 i 2 (2021, 2022) oraz *Dymitra* Schillera (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

ARTUR MIĘDZYRZECKI (1922–1996), poeta, prozaik, autor utworów dramatycznych, szkiców literackich i piosenek, tłumacz literatury francuskiej, angloamerykańskiej, rosyjskiej; opublikował m.in. *Namiot z Kanady. Wiersze 1942–44, Wygnanie do rymu, Koniec gry* [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2007 nr 3 (55)].

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmety murów obronnych* (2021). Mieszka m.in. w Toruniu.

KAZIMIKERZ NOWOSIELSKI, ur. 1948 w Rybnie na Kujawach, autor tomików wierszy, eseista, krytyk; ostatnio opublikował tomik wierszy *Jestem znacznie bliżej* (2021) oraz szkice *Czułość i ślad. O tym. Co kto pokochał* (2022). Mieszka w Gdańsku.

PIOTR PIASZCZYŃSKI, ur. 1955 w Olsztynie, autor wierszy, publicysta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Pamiętnik meteopaty* (2021) oraz *Po północy. Wiersze 2020–2022* (2022). Mieszka w Eitorf k. Bonn.

ARTUR PRZYBYSŁAWSKI, ur. 1970, filozof, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłumacz z języka angielskiego

i tybetańskiego; ostatnio opublikował powieść *Pana Profesora dziennik sekretny* [...] (2022). Mieszka w Krakowie.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

WILLIAM SHAKESPEARE (1564–1616), jeden z największych dramaturgów świata, autor m.in. *Romea i Julii, Makbeta, Hamleta, Króla Leara i Burzy*.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. 1980 w Lublinie, badacz i krytyk literatury; ostatnio opublikował *Obstrukcję insługi* (2022) oraz *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

LESZEK SZARUGA, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. tomik wierszy pt. *Mucha* (2022) i zbiór esejów *Ukraiński kalejdoskop* (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Po nitce* (2021) oraz *Miejsce* (2022). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZLOSAREK, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czystcu* (2022). Mieszka w Berlinie.

ANDRZEJ SZUBA, ur. 1949 w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *Wygasić* (2020) i *666 strzępów* (2022) oraz przekłady wierszy Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019), D.H. Lawrence’a *Kici, kici!* (2019) i Edgara Lee Mastersona *Epitafia ze Spoon River* (2020; II wydanie). Mieszka w Katowicach.

ADRIANA SZYMAŃSKA, ur. 1943 w Toruniu, poetka, eseistka, krytyk literacki, tłumaczka; ostatnio opublikowała tomik wierszy *Zielone rolety* (2021). Mieszka w Pułtusku.

MARTA TOMCZOK, ur. 1980 w Knurowie, literaturoznawczyni, profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio opublikowała *Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja* (2019). Mieszka w Katowicach.

BOGDAN TOSZA, ur. 1952 w Jaworznie, eseista, publicysta, autor wierszy, reżyser teatralny; ostatnio opublikował zbiór pt.

Daremny przechodzień (2021) oraz *Zapiski z Rosji* (2022). Mieszka w Krakowie.

GRZEGORZ WRÓBLEWSKI, ur. 1962 w Gdańsku, autor książek poetyckich, prozatorskich i dramatów; ostatnio opublikował *Letnie rytuały. Wybór wierszy (1980–2020)* (2022) i *Polowanie* (2022). Mieszka w Kopenhadze.

MACIEJ WRÓBLEWSKI, ur. 1968 w Ełku, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Doświadczenie dzieciństwa. Studium z antropologii literatury* (2019). Mieszka w Toruniu.

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY

BIBLIOTEKA
Kwartalnika Artystycznego

poezja
proza
eseje
dzienniki
rozmowy



Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu


Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl

 Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2023:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Sławomir Karetko

Druk i oprawa: Drukarnia Cyfrowa druk-24h.com.pl

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I A Ź K I

Instytut Badań Literackich PAN

Mieczysław Grydzewski, Kazimierz i Halina Wierzyńscy, *Listy*, tomy I–IV, opracowanie Beata Dorosz przy współpracy Pawła Kądziewicza, Warszawa 2022

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tadeusz Dąbrowski, *To jest fajka: wiersze z lat 1999–2020*, Warszawa 2022

Maria Jentys-Borelowska, *Portret w półcieniach*, Warszawa 2022

Opowieści niesamowite (6) z Hispaoameryki, wybór i wstęp Tomasz Pindel, przekład Nina Pluta i Tomasz Pindel, Warszawa 2022

Yan Lianke, *Dzień w którym umarło słońce*, przekład Joanna Krenz, Warszawa 2022

Wydawnictwo a5

Wojciech Bonowicz, *Wielkie rzeczy*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, Kraków 2022

Wydawnictwo Czytelnik

Sándor Márai, *Sąd w Canudos*, przekład Irena Makarewicz, Warszawa 2022

Sōseki Natsume, *Sedno rzeczy*, przełożył Mikołaj Melanowicz, Warszawa 2022

Wydawnictwo Flos Carmeli

Teresa Tomsia, *Liryki przedostatnie*, Poznań 2022

Wydawnictwo Forma

Kazimierz Brakoniecki, *Oumuamua. Atlas wierszy świątologicznych*, Szczecin-Bezrzecze 2022

Anna Frajllich, *Wiersze zebrane*, tom 1, *Przeszczep*, tom 2, *Powroty*, postłowie Wojciech Ligęza, seria Znaki, Szczecin-Bezrzecze 2022

Andrzej Kopacki, *Gra w hołobkę*, seria Forma 21, Szczecin-Bezrzecze 2022

Wydawnictwo Iskry

Anna Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, przedmowa Julian Hartwig, Warszawa 2022

Wydawnictwo MG

Fiodor Dostojewski, *Opowieści fantastyczne*, przekład Maria Leśniewska, Warszawa 2022

Homer, *Iliada*, przekład Franciszek Ksawery Dmochowski, Warszawa 2022

Wydawnictwo Pasaż

Gombrowicz na językach: lekcje tłumaczy, pod redakcją Anny Spólnej, seria Granice wyobraźni, Kraków 2022

Rafał Rosół, *Chorągiewki z tałesu: piłka nożna, antysemitizm i Zagłada*, seria Przędza, Kraków 2022

Wydawnictwo Warstwy

Karolina Jaklewicz, *Czarne łabędzie, biały puch*, Wrocław 2022

Karol Maliszewski, *Silnik na trawie*, Wrocław 2022

Wydawnictwo Widnokrąg

Beka Adamaszewicz, *W tej powieści wszyscy umierają*, przekład Magda Nowakowska, Piaseczno 2022